Nr. 12. Poznań, dnia 25 Marca 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 12-go.

Od Redakcyi.

Cieszymy się, że możemy z Czytelnikami naszymi podzielić się następującą wiadomością. Otóż pozyskaliśmy dla „Pracy“ nowego współpracownika w osobie

profesora Juliana Baczyńskiego,

znanego już w szerokich kołach społeczeństwa naszego autora *„Dziejów Polski“*, wydanych w Poznaniu nakładem prof. *Karola Kozłowskiego.*

Mamy nadzieję, że wiadomość ta sprawi Czytelnikom naszym prawdziwą radość, tem więcej, że już w kwietniu rozpoczniemy druk pracy prof. Baczyńskiego, który opisywać będzie szczegółowo epokę dziejów Polski porozbiorowej. Brak dzieła tej epoki odczuwano od dawna. Lukę tę zapełni „Praca“ przy pomocy nowego swego współpracownika. *Redakcya.*

Wydzierają nam duszę!

Znany miesięcznik niemiecki „Westermanns Monatsheft“ obchodzi w tym roku pięćdziesięcioletni jubileusz swego istnienia. Dla uczczenia tego jubileuszu redakcya wydała osobny zeszyt uroczystościowy, zawierający rozmaite sentencye i aforyzmy z pod pióra najwybitniejszych współpracowników tego pisma. Między aforyzmami temi znajdują się dwa, które i dla nas mają pewne znaczenie. Napisał je znany i głośny profesor uniwersytetu [illegible]ławskiego, autor wielu niemieckich powieści historycznych, Feliks *Dahn.* Był czas, gdzie autor ten cieszył się w Niemczech podobną popularnością, jak u nas Sienkiewicz. Jego romans historyczny „Der Kampf um Rom“ uważają jeszcze dziś za jednę z najlepszych powieści na tle historycznem. We wszystkich swoich utworach Dahn wynosi pod niebiosy dawnych germanów jest wogóle najwybitniejszym pisarzem germańskim.

Otóż w owym zeszycie jubileuszowym „Westermanns Monatsheft“ zamieścił on następujące zdanie:

„Das höchste Gut des Mannes ist sein Volk;
Das höchste Gut des Volkes ist sein Staat,
Und seine Seele lebt in seiner Sprache!

Znaczy to po polsku:

„Największym skarbem człowieka — jest jego naród;
Największym skarbem narodu — jego państwo,
A dusza jego żyje w jego języku!“

Istotnie — głęboką prawdę w tych krótkich zdaniach wypowiedział niemiecki uczony.

„Najświętszym skarbem człowieka — to naród! Każdy człowiek rodzi się cząstką jakiegoś narodu, razem z życiem odbiera w dziedzictwie po dziadach i ojcu kulturę swego narodu, jego cywilizacyę i wszystkie skarby, jakie zawiera przeszłość, jakie narodowi może przynieść przyszłość.

Niech te słowa spamiętają sobie Polacy, niech złotemi, nie, niech raczej płomiennemi literami miłości i przywiązania wypiszą je w sercu swojem, by niezatartem one tam wyryły się piętnem.

Najwyższy skarb, najświętszy skarb dla człowieka — to *naród!*

A dla narodu najświętszym skarbem — to łączność państwowa. Ile naród bez państwa cierpieć musi, tego dowodzi męczeńska historya naszego narodu, ile naród boleje po stracie państwa, niech przekona się każdy krótkim rzutem oka na te nasze sto lat niewoli. Ile to krwi, ile to najszlachetniejszych wysiłków zmarnował naród nasz na zdobycie tego największego i najświętszego dobra. Gdzież bo brakło bohaterów naszych wiedzionych nadzieją niesienia pomocy swojej dla Polski: Kościuszko i Pułaski w Ameryce, gen. Dąbrowski na wszystkich polach walk w Europie pod sztandarami Napoleona — nie brakło nas na Węgrzech. Wszędzieśmy byli, wszędzie ducha synowie Polski zionęli, błagając ostatniem tchnieniem — o państwo dla swego narodu.

Nie łaskaw był dla nas los — my wciąż w niewoli. Ale to też tem głębiej, tem jaśniej i tem boleśniej, tem stokroć boleśniej rozumiemy prawdę wygłoszoną przez — niemieckiego męża nauki i pióra.

A duszą narodu — jego mowa.

Weź mowę narodowi, to zabierzesz, zniszczysz jego duszę.

Czyż może być więcej druzgocący wyrok na system rugowania języka polskiego w Prusiech, jak w tych słowach — Niemca!

Być nie może. Ale ten wyrok, jak wysoko podnosi on nasze dążenia do obrony języka naszego! Toż my nie języka naszego — ale duszy, duszy naszej bronimy. Bronimy duszy naszej, a więc i życia naszego. Bez duszy bowiem życia nie ma.

Może uczony niemiecki, pisząc swoje słowa nie myślał wcale o Polakach. Myślał zapewnie o własnym narodzie. To jednak nie osłabia znaczenia jego słów, to raczej znaczenie to potęguje.

Przecież stara to prawda: nikt nie jest prorokiem we własnym narodzie. Kiedy więc Polacy, kiedy polskie pisma nawołują do obrony tych skarbów — narodowości i języka, to do tego ogół już tak jest przyzwyczajony, że nie słucha. On to wszystko dobrze i da wno wie.

Niech i tak będzie. W tej chwili gotowiśmy przyznać racyę ogółowi, ale dla tego tylko, że możemy wskazać obcego, który to samo mówi, z tą samą, co my odzywa się czcią dla — narodowości i języka.

Niemniej godzien uwagi jest drugi aforyzm tego samego uczonego:

Wenn sie zu dir sprechen,
„Biegen oder brechen!“ —
Ruf: „Brechen eh' als biegen!“ —
Gieb acht — so wirst du siegen.

A gdy kto do cię rzeknie:
„Zgiąć że czyli złamać!“ —
Wołaj: Złamiesz zanim ugniesz“
Bacz — wówczas ty zwyciężysz!“

I te słowa niemniej głęboką zawierają prawdę. Gnie nas system srogi, ale dotąd ugiąć nie zdołał, nie zdołał nas nakłonić do swoich dążności, do zrzeczenia się naszych praw przyrodzonych i boskich, a choć nieraz z bólu i gniewu duch nasz się łamie, choć „dusza w strzępy się targa“, my jednak nie upadamy, ducha hartujemy, czoło podnosimy po klęskach pogodne z głęboką wiarą w przyszłość, w słuszność sprawy naszej i w wypisane w duszach naszych zwycięstwo.

Niech pobudką do wytrwania w tej wierze będą nam słowa niemieckiego uczonego i poety:

zwyciężysz!!

Istotnie zwyciężysz narodzie, bo walcząc o język — *o duszę, o życie* swoje walczysz.

„Straż“ a Związek Polaków w Niemczech.

Dwie istnieją wśród nas organizacye polityczne o tych samych celach: obrony interesów narodowych przed zalewem germanizacyi, „Straż“ w kraju, a na obczyźnie *„Związek Polaków“*.

Pomiędzy dwoma temi organizacyami istnieje dziś pewien rodzaj rywalizacyi. Datuje on się od chwili, kiedy „Straż“ urządziła w Dortmundzie pierwszy swój wiec pod własną firmą. Było to w sierpniu ubiegłego roku.

Krótko potem uchwalił więc „Związku Polaków“ w Wanne rezolucyę, witającą z uznaniem powstanie „Straży“ w kraju, domagającą się z drugiej strony zupełnej samodzielności dla „Związku“. Rezolucya ta kazała się domyślać, że „Związek“ obawia się pochłonięcia przez „Straż“, że przynajmniej uważa organizowanie się „Straży“ w Westfalii za zamach na swój byt.

Na podstawie tej rezolucyi domagano się następnie na kilku dalszych wiecach „Straży“, ażeby „Straż“ koniecznie stosunek swój do Związku postawiła jasno.

Rozgoryczenie pewne do tego położenia wmieszał p. *Brzeskot*, niedoszły mąż zaufania „Straży“ napaściami swojemi na „Wiarusa Polskiego“ i pp. Brejskich, sądząc, że starali się oni przeszkodzić urządzeniu wieca „Straży“ w Bruchu. Wstrętna stąd wywiązała się polemika. Ucierpiała na niej tylko dobra sława „Straży“.

W takiej chwili przygotowywali we Westfalii komisarze „Straży“ coś około 20 wieców. Obawiając się — i słusznie — pogorszenia sytuacyi, sekcya organizacyjna „Straży“ wiece te odwołała, a natomiast wystósowała do zarządu „Związku Polaków„ list pełen życzliwości dla rodaków naszych na obczyźnie i dla „Związku Polaków“, zapytujący się, jakby obie organizacye na obczyźnie pracować mogły dla pożytku sprawy narodowej.

Był to pierwszy krok do uregulowania stosunku „Straży“ do „Związku Polaków“.

Na list ten odpowiedział „Związek Polaków“ pismem z dnia 18-go lutego również życzliwie, postawił jednakże jako warunek rozdział obczyzny od kraju. Powiada on, że pierwszym warunkiem *współdziałania* jest ten, że

„Straż“ pozostawia „Związkowi Polaków“ jako pole działania prowincye na zachód od Łaby i nie urządza tam wieców pod własną firmą, a nawzajem „Związek Polaków“ nie urządza wieców na ziemi polskiej, ani w prowincyach na wschód od rzeki Łaby“.

To jest najpierwszy i najważniejszy warunek, na którym „Związek Polaków“ opiera możność przyszłego *„współdziałania“* ze „Strażą“ dla dobra sprawy narodowej.

Wynika zeń jedno przedewszystkiem jasno, że „Związek“ w ten sposób chce zabronić przystępu do rodaków na obczyźnie i pragnie przez to zabezpieczyć sobie na przyszłość swoją samodzielność, jaką cieszył się dotychczas.

Z drugiej strony warunek ten robi *wrażenie*, jakby „Związek Polaków“ rzeką „Łabą“ jak murem chińskim chciał się odgrodzić od „Straży“ w ciągłej obawie o swój byt.

Czyż istotnie organizowanie „Straży“ w zakresie działalności „Związku“ jest tak groźnem dla niego niebezpieczeństwem, i czyby rzeczywiście złączenie się „Związku“ ze „Strażą“ było czemś tak niesłychanie złem?

Wydaje nam się, że nie.

Powiadają jednakże na obczyźnie, że „Związek“ ze „Strażą“ połączyć się nie może, bo „Związek“ jest starszy, oni go już dobrze znają, wiedzą, ile dobrego dla nich zdziałał, a nie wiedzą, czem jeszcze dla społeczeństwa będzie „Straż“.

Jest to widoczny objaw nieufności do „Straży“ w obecnej chwili. Czyż jednak, jeżeli „Straż“ okaże się istotnie dla społeczeństwa organizacyą pożyteczną — nawet w mniemaniu rodaków naszych na obczyźnie — czyż wówczas nie lepiej byłoby, ażeby te dwie organizacye — o tych samych celach — złyczyły się w jedną?

Nam myśl ta dla „Związku“ nie wydaje się wcale straszną. Przeciwnie, jeżeli „Związek“ szczerze pragnie, jak pisał do „Straży“, współdziałać ze „Strażą“ i wszystkiemi istniejącemi instytucyami narodowemi w kraju, *bo utrzymanie łączności między wychodźtwem a rodakami, którym losy pozwoliły pozostać na ziemi ojczystej, to pierwsze z zadań, które „Związkowi“ wskazali jego założyciele* — to „Związek“, jeżeli nie teraz, to na przyszłość myśli połączenia „Związku“ ze „Strażą“ odpychać od siebie nie powinien.

Pierwszym zaś warunkiem w tym celu, to zaniechanie tego odgraniczenia się „Łabą“ od kraju i od „Straży“.

Toczą się dziś na podstawie powyżej postawionego warunku pomiędzy „Strażą“ a „Związkiem“ układy. — Uważaliśmy przeto za nasz obowiązek dziennikarski, sprawę tę poruszyć za-

sadniczo i obszernie. Stanowisko nasze wobec tych układów zaznaczamy w końcu następująco:

Zarządy „Związku“ i „Straży“ mają obowiązek uwzględnić położenie obecne i stosunek wzajemny, jaki ułożył się skutkiem wieca dortmundzkiego pomiędzy obiema. Na zasadzie tego należałoby według naszego mniemania zrezygnować z połączenia obu organizacyi w najbliższej przyszłości. Nie należy jednakże myśli połączenia zatracać na przyszłość — a dziś już ułożyć możliwe ku temu warunki.

W tym celu sądzimy, że może się „Straż“ zgodzić na to, ażeby nie urządzać na obczyźnie wieców, może jednakże zażądać od „Związku“, ażeby w sposobie organizacyi zbliżył się do niej. Mamy tutaj na myśli przeprowadzenie ścisłej organizacyi za pomocą mężów zaufania i komisarzy.

Na tej podstawie — sądzimy — zapanować może pomiędzy rywalizującemi pozornie dziś organizacyami temi zgoda, i to na razie będzie największysukces — dla narodowej naszej sprawy.

Walne zebranie Związku Polaków w Niemczech

odbyło się dnia 18-go marca b. r. w Essen. Na zebraniu tem obecni byli pp. poseł *Wojciech Korfanty* i redaktor „Pracy“ *Idzi Świtała*, jako delegaci „Straży,“ powitani przez zebranych żywymi okrzykami sympatyi.

Prezydyum zdawało z ubiegłego roku swoje sprawozdania, nad któremi wywięzywała się żywa, czasami polemiczna dyskusya.

Sprawozdanie sekretarza, dające pogląd na całą działalność „Związku“ zawierało następujące szczegóły: „Związek“ załatwił w przeciągu roku 37 spraw, toczących się o imię polskie, pokrył koszta procesu, który wytoczony został jednemu z prezesów towarzystw, załatwił członkom 43 sprawy piśmienne i odbył 45 wieców.

Szczególnie podnieść należy, że „Związek“ rozdał pomiędzy rodaków 5650 elementarzy i wydał na ten cel przeszło 300 mrk.

Najważniejsza, jaka rok cały zajmowała „Związek,“ to sprawa opieki duchownej w języku ojczystym. „Związek“ starał się usilnie o naprawę tych stósunków, a nie widząc dostatecznego polepszenia, postanowił zwrócić się z prośbą do Ojca św. o poparcie próśb swoich. W tym celu stara się „Związek“ o zebranie możliwie najdokładniejszego spisu ludności polskiej we Westfalii i Nadrenii, aby na podstawie tego materyału wykazać konieczną potrzebę powiększenia opieki duchownej w języku polskim, o którą Polacy od lat na próżno pukają do swych władz przełożonych, proboszczów, dziekanów i biskupów.

Nie mniej obchodziła „Związek“ dola robotnicza. Wysłał więc do parlamentu wniosek o przyznanie prawa koalicyi także robotnikom *wolnym* i prosił Koło polskie, ażeby tę prośbę jego poparło.

Dochód Związku wykazuje sumę mrk. 2960,50, a rozchód 646,37, tak że na rok 1906 pozostało mrk. 2313,13.

Związek liczy 968 członków.

Taki jest istotny stan rzeczy w „Związku Polaków.“ Zdawałoby się, że może on zadowolić jego członków, że „Związek“ na obczyźnie nie powinien mieć niezadowolonych z tej działalności.

Tak atoli nie jest. Uwydatniło się to w różnych interpelacyach, zapytaniach skierowanych pod adresem zarządu, a wprowadzających tenże w istotny ambaras. Pytano n. p., czy liczba członków pochodzi z 12-letniej działalności „Związku.“ Zarząd zmuszony był odpowiedzieć, że jest to liczba z roku tylko ostatniego. Policya bowiem zażądała spisu członków, a ponieważ w dawniejszych rocznikach zaszły różne zmiany, skutkiem tego zarząd uchwalił, *wszystkich dawniejszych członków skreślić*, tylko nowo zgłaszających się podał na policyą.

Oczywiście ważną rolę odegrał tutaj wzgląd na kary za nie zameldowanie członków na policyi.

Prawdziwe zamieszanie jednakże powstało wśród zebranych przy obieraniu członków zarządu i rady. Prezes p. *Tomasz Kubiak* wymawiał się od przyjęcia urzędu, długie targi dopiero zniewoliły go do ponownego objęcia prezesury. Gładko tylko poszło przyjęcie p. Jana Wilkowskiego na sekretarza. Pan W. przyjęty został przez zarząd jako płatny urzędnik „Związku“. W jego miejsce wybrano drugim zastępcą prezesa p. Skraburskiego z Uekendorf.

Rozpoczęły się następnie wybory rady, której liczbę z 6 podniesiono na 11. Kiedy oddano pod głosowanie kandydaturę p. *Żnińskiego*, redaktora „Dziennika Polskiego“, zamieszanie powstało na dobre. W pierwszem głosowaniu odbiera p. Żn. głosów 55, przeciwnych jest około 40, w drugiem głosowaniu za p. Żnińskim oświadczyło się tylko 38, liczba przeciwników rośnie, w trzeciem zaś głosowaniu już tylko 27 jest *„za“* a 55 *„przeciwko“* p. Żnińskiemu.

Fala wzburzenia się podnosi, prezes p. Kubiak i pierwszy jego zastępca p. Kwaśniewski składają przewodnictwo, robiąc sobie wzajemnie zarzuty stronniczości. Wtenczas podejmuje się do prowadzenia wyborów do końca p. Skraburski. Na sali niepokój, czas uchodzi, zebrani czekają na przemówienia delegatów, szczególnie posła Korfantego.

Nastała jednakże chwila groźna gotowa rozbić zebranie. O głos prosi p. Sosnowski i powiada, że p. Brzeskot radził na kasyera obrać p. Antoniego Brejskiego, bo będzie mógł tak oszukiwać, jak gdzieś indziej...

Okrzyki!... hańba — precz z nim... Zdaje się jakby wiecownicy na pięściach roznieść chcieli p. Brzeskota za ten niesłychany zarzut.

W tej chwili udziela głosu p. *Korfantemu* p. Kubiak.

Cicho, cicho — odzywają się na sali głosy — poseł Korfanty mówi.

Na estradę wchodzi mówca, pochwala Pana Boga — wzburzenie cichnie i niknie powoli zupełnie, wszyscy słuchają w skupieniu. A mówca karci ich niezgodę i niesnaski.

One to Polskę zgubiły, a zaiste, kto się wadzi i sieje niezgodę w dzisiejszych czasach, na imię patryoty nie zasługuje.

Spokojnie, dźwięcznie i w rytmicznem wysłowieniu płyną z ust mówcy słowa skargi, słowa żalu, donośniej słowa zachęty do zgody i jedności, do wzajemnej braterskiej miłości, do ratowania zagrożonych skarbów ojczystych, wytrwania w tej stanowczej walce, bo słuszna sprawa zwyciężyć musi.

Z zapartym oddechem słuchają zebrani. Toż to poseł z ludu, sam synem ludu, sam kilofem pracował w kopalni, a teraz o dobro tego ludu stacza utarczki w parlamencie i sejmie.

Pierwszy raz go słyszą. Pochłaniają więc słowa jego z chciwością i niezatartemi głoskami znaczą je w sercu i pamięci. Niezapomniana to dla nich chwila.

Burza okrzyków i oklasków zrywa się, gdy poseł Korfanty skończył.

Krótko przemawia jeszcze p. Świtała, bo gospodarz domaga się opuszczenia sali. Zwraca uwagę na ważność chwili obecnej. Galicya — powiada — blisko jest samodzielności, Królestwo Polskie domaga jej się, tam i tu mija ucisk narodowy — czyżby obecny w [illegible]gi, a pochłaniający nas system wiecznie miał trwać pod zaborem pruskim? Nie— i nam zawita czas pogodniejszy i dla nas zabłyśnie gwiazda swobody.

Przechodzimy na mniejszą walkę, gdzie wśród różnych przemówień zabawiamy się do godz 9.

Pozostały nam po tem zebraniu dwa

skrajnie różniące się od siebie wrażenia — zamieszanie i wzburzenie zebrania przez przeciwne sobie obozy wśród rodaków na obczyźnie — i przyciszenie podrażnionych namiętności przez delegatów „Straży". O ile pierwsze było przykre, o tyle drugie pozostawiło po sobie wrażenie podniosłe, wzmacniające ducha i napawające nadzieją lepszej przyszłości.

Oby te uczucia zawsze płynęły w kraju do braci naszych na obczyźnie.

Z Warszawy.

(Własna korespondencya „Pracy".)

Złagodzenie stanu wojennego. — Wybory. — Plotki polityczne. — Znaczenie wyborów. — Bojkot ich przez socyalistów i zbrodnia w Płocku. — Zamachy i krwawe starcia. —Dzisiejsze oblicze Warszawy. — Humorystyka. — Uwolnienie Parczewskiego.— Prawa o duchowieństwie.

Ucichły już w znacznym stopniu srogości stanu wojennego, zarówno na prowincyi, jak i w samej Warszawie. Dziś stan ten mało się daje we znaki spokojnej ludności a prowadzone przygotowania do wyborów nie napotykają na przeszkody władz. Nie było dotąd wypadku, by nawet najbardziej śmiałe i energiczne przemówienia wiecowe spowodowały rozwiązanie wiecu. A tych się odbywa bez liku, w Warszawie niemal codziennie, a na prowincyi najdrobniejsze miasteczka i osady żywo się zakrzątnęły około przeprowadzenia agitacyi przedwyborczej. Urządza się głosowania próbne, co jest koniecznem wobec złożonej bardzo procedury wyborów dwu i trzystopniowych. Zorganizowaną już jest znaczna część kraju i przygotowaną do wstąpienia w szranki wyborcze. Wobec postawienia i próbnego wyboru kandydatów, same wybory w wielu okolicach kraju będą już tylko formalnością. Słyszałem o gminach, które wybór przedstawicieli do powiatu już przeprowadziły na własną rękę w formie uchwały gminnej. Wątpić należy, czy takie „wybory" będą przez władze potwierdzone.

A już się odbywają i wybory prawdziwe. Odbyły się w kilku powiatach gub. lubelskiej i mimo nacisku władz, które umyślnie termin wyborów wyznaczyły niespodziewanie, na 2 dni naprzód zaledwie, wybory z gmin gub. lubelskiej wynik wydały pomyślny: przeszły kandydatury włościan z demokracyi narodowej. Wybory z gmin zostały już ogłoszone i na gub. kaliską; odbyć się mają 20 b. m. W tym samym czasie odbyć się mają i wybory z miast. Gminy i miasta wybierają pra i prawyborców, a więc całe wybory odbywać się muszą stopniowo i powoli. Że się odbędą i z Królestwa, pomimo chwilowego pominięcia kraju naszego przez wyznaczający terminy wyborów ukaz carski — takiem jest zdanie w Warszawie. Zresztą, prawybory w Królestwie *już* się zaczęły, idzie więc tylko o to, czy zdążą się skończyć przed pierwszą sesyą Izby.

Za fantazyę uważam wiadomość „Słowa Polskiego" o istnieniu tajnej umowy Rosyi z Niemcami, mocą której Niemcy zagarnąć mają część Kongresówki po Wisłę i Narew. Dlatego też, twierdzi „doskonale poinformowany" korespondent „Słowa Polskiego", car nie wyznaczył terminu wyborów w Królestwie, jako w najbliższym już czasie prowincyi... pruskiej. Bajkę tę powtarza i warszawska „Praca Polska". W ten sposób tyle już razy odgrzewana stara plotka, że „Prusacy idą", znów pokutować zaczyna w prasie polskiej, pomimo dowiedzionej bezpodstawności.

Głos tryumfu się rozległ na łamach bojkotującej wybory prasy dem. postęp. na wieść o pominięciu Królestwa. Radość bezpodstawna i przedwczesna, bo przecież same przygotowania do wyborów mają dla nas znaczenie ogromne, jako znakomity sposób uświadamiania ludu. Rozumiecie to Wy, mieszkańcy pruskiego zaboru, dla których nie wynik, lecz same wybory są celem. Dla tego też przyjmujecie w nich udział, aczkolwiek nikt z Was nie spodziewa się polepszenia twardych warunków politycznego bytu na drodze walki parlamentarnej, przynajmniej przy dzisiejszym systemie wyborczym.

Wszystkie przedwyborcze zebrania w Warszawie się odbywają przy udziale 60-ciu uzbrojonych członków nar. dem. drużyny bojowej, gotowej odeprzeć w każdej chwili napad socyalistów. Ci w inny już sposób przeszkadzają wyborom: w Kaliszu na sali wyborczej rozlali płyn cuchnący, uniemożliwiając obrady, a w Płocku przed estradą sceniczną w sali wyborczej podrzucili bombę, która, gdyby wybuchła, pozbawić by *musiała* życia 400 ludzi. Jest to już zbrodnią tak potworną, że brak słów poprostu do napiętnowania tej ohydy. Sprawca zapalił lont, obliczywszy go na 20 minut, i mógł zdaleka się przypatrywać skutkom zamachu. Opatrzność chciała, że bombę spostrzegł woźny i zamach udaremniono. Artylerzyści spróbowali siły bomby w polu, zakopawszy ją w ziemię i przykrywszy ją belkami. Wybuch wystąpił tak straszny, że go słyszano o 5 wiorst. Bomba zawierała silną nadzwyczaj substancyę, zdolną gmach cały wysadzić w powietrze.

Znów mam do zanotowania zamach na przedstawiciela władzy: w Pabianicach zamordowano z rewolwerów naczelnika powiatu łaskiego, Iwanowa. Jakaś fatalność ściga to nazwisko.

W Warszawie w dniu 10 b. m. na Pradze nastąpiło krwawe starcie robotników z wojskiem, z wynikiem: kilku robotników, rewirowy i dwóch policyantów zabitych. Dzień 10 b. m. był krytycznym dla całej Warszawy: na rozkaz wojennego gen. gubernatora ze zmrokiem otoczono ulice wojskiem i poddano przechodniów masowej rewizyi. Jak zwykle, szukano broni, tem bardziej, że żandarmerya złapała na stacyi kolei warszawsko-wiedeńskiej cały transport naboi rewolucyjnych. Część publiczności, odzwyczajonych od takich niespodzianek, nie posiadała paszportów i legitymować się zmuszoną była w cyrkułach i prowizorycznych więzieniach.

Był to wypadek odosobniony, dziś bowiem Warszawa przybrała w całości swój wygląd dawny. Patroli konnych nie ma wcale, piesze spotykać się dają bardzo rzadko. Ruch na ulicach wielki, ożywienie powszechne. Teatry i zakłady publiczne odwiedzane licznie. Nawet humoru nie brak w tych ciężkich czasach i cały szereg nowych pism humorystycznych: „Dzięcioł", „Żądło", „Plotka" niemiłosiernie ostrzy swój dowcip na prawdziwych Rosyanach warszawskich, którzy dostarczają dla humorystyki jęczącej jeszcze do niedawna w jarzmach cenzury, pastwy i materyału co niemiara. Kwitnie i kolportaż uliczny, pomimo surowego rozkazu; sprzedają prócz jawnych i pisma tajne, zwłaszcza „Robotnika".

Z pośród nawału wiadomości zanotować muszę tylko najważniejsze.

A więc władze sądowe umorzyły zupełnie sprawę mecenasa Parczewskiego z Kalisza, oskarżonego bezpodstawnie o wyrób i przechowywanie bomb i rewolwerów. Wolno mu wrócić do kraju i, co najważniejsze, przyjmować udział w wyborach. Skutkiem procesu sądowego Alfons Parczewski był wykreślonym z listy wyborczej. Wpisano go znowu. Jest to człowiek, którego cała opinia polska z rzadką jednomyślnością uważa za przyszłego posła.

Drugą pomyślną wiadomością jest

wydanie praw, uwalniających duchowieństwo katolickie w państwie rosyjskiem od nieznośnego, a bardzo ścisłego dozoru policyjno-żandarmskiego oraz zmniejszających znacznie zależność księży od gubernatorów rosyjskich. *Sarmata.*

Korespondencya z Galicyi.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Kraków, dnia 19-go marca 1906.

(Dalsza walka o reformę wyborczą. Impertynencya Gautscha. — Widoki reformy. — Wniosek Wszechniemców. Wystawa „Ligi pomocy przemysłowej“. — Teatr lwowski. — Konna policya w Krakowie. — Frekwencya wszechnicy jagiellońskiej).

Walka o reformę wyborczą w parlamencie austryackim trwa dalej. Nazajutrz po przytoczonej w przeszłej korespondencyi mowie prezesa Koła, hr. Dieduszyckiego, zabrał głos prezes gabinetu baron *Gautsch.* Polemizował on z przeciwnikami reformy, a czynił to w sposób tak stanowczy i poniekąd wyzywający, że ogólne powstało mniemanie, iż musi już mieć pewność zwycięstwa w tej sprawie. Najgorzej w tej polemice obszedł się z *Kołem Polskiem.* Przeciwne wywody poprzednich mówców polskich zbył krótko, niemal lekceważąco, a na twierdzenie hr. Dieduszyckiego, że Galicya zawsze gorliwie popierała wszelkie potrzeby państwa odpowiedział wśród ogromnej radości „wszechniemców“ zwrotem, który miał sens taki: *„Aleśmy wam też za to dobrze płacili!“* Zwrot ten wywołał ogromne oburzenie w Kole Polskiem; w podobny sposób żaden jeszcze prezes rządu austryackiego nie śmiał się odezwać do Polaków. Zaraz też na następnem posiedzeniu dał Gautschowi ostrą odprawę wiceprezes Koła, Dawid *Abrahamowicz.* Wykazał on, że Polacy w Galicyi popierali ofiarnie monarchię austryacką już wówczas, gdy rząd ani guldena nie chciał łożyć na ekonomiczny rozwój Galicyi, że i następnie dawali monarchii tej więcej, niż ona im dawała. W tej naszej polityce — wywodził Abrahamowicz — kierowaliśmy się nie względami materyalnemi, lecz jedynie wdzięcznością dla monarchy, który nam wrócił *narodowe prawa.* Nadto pragnęliśmy tem wykazać, że Polacy w państwach, w których szanuje się ich prawa narodowe, są żywiołem, utrzymującym państwo („staatserhaltende Partei“). Twierdzenie Gautscha nazwał mówca w końcu czemś „niesłychanem“. Dalej przypadło mu w udziale także rozprawienie się z posłem socyalistycznym z Krakowa, *Ignacym Daszyńskim,* który w wygłoszonej krótko przedtem mowie w zwykły swój sposób atakował szlachtę wogóle, a w szczególności *polską.* Po Abrahamowiczu przemawiał w parlamencie główny reprezentant grupy *narodowo-demokratycznej* w Kole, prof. *Głąbiński.* I ten mówca dał prezesowi gabinetu dosadnią odprawę, nadto zaś na nowym przykładzie stwierdził krzywdę, jaką projekt reformy wyborczej wyrządza Galicyi. Mówca wskazał mianowicie na to, że Galicya, jakkolwiek ludność jej stanowi tylko niespełna 30 procent ogólnej ludności Austryi (bez Węgier), dostarcza jej *34,5 procent rekruta.*

Tymczasem projekt rządowy przyznaje jej tylko *18 procent* wszystkich mandatów! Ostatnim mówcą polskim był reprezentant obozu tak zw. skoncentrowanych demokratów w Kole, grupującego się około „Nowej Reformy“, dyrektor *Petelenz* z Krakowa. Mowa tego posła rozwiała legendę, jakoby członkowie tej grupy zamierzali wobec opozycyi większości w „Kole“ przeciwko reformie, posunąć się do *secesyi.* Poseł Petelenz oświadczył wprawdzie, że jest zwolennikiem powszechnego prawa głosowania, dodał atoli, że projekt rządowy, uszczuplający narodowy stan posiadania Polaków, i on uważa *za nie do przyjęcia,* w końcu zaś zaznaczył z *naciskiem, że w obronie narodowych interesów polskich wszystkie grupy w Kole są najzupełniej solidarne.* Na tem wyczerpała się lista mówców polskich. W środę lub czwartek rozprawy nad reformą, czyli pierwsze jej czytanie skończy się wogóle i projekt odesłany zostanie do *komisyi.* Tam dopiero rozpoczną się na dobre targi o mandaty. Wtajemniczeni zapewniają, że ostatecznie walka skończy się na pomnożeniu ogólnej liczby mandatów o 20 do 30, z których *7 do 10 otrzymają Polacy,* i to uzyskawszy, Koło już nie będzie się sprzeciwiało reformie. Zysk to będzie niewielki — więcej atoli bogdaj czy dałoby się uzyskać nawet przez najzaciętszą obstrukcyę. Jedno atoli dobre wyniknie z tej walki, to mianowicie, że Koło Polskie, otrzymawszy takie podziękowanie za swoją lojalność, w przyszłości nie będzie już tak ślepo uległem rządowi. Kraj na tem dobrze wyjdzie.

Wszechniemcy austryaccy, jak wam już może z depesz wiadomo, stracili w parlamencie austryackim wniosek żądający *wyodrębnienia Galicyi,* przyznania jej mniejwięcej takiego stanowiska, jakie zajmuje *Chorwacya* wobec *Węgier.* Żądanie to zbiega się z jednym z postulatów *narodowej demokracyi polskiej,* lecz wynika z zupełnie innych motywów. *„Wszech-Polacy“* występują z tem żądaniem w tym celu, aby wyzwolić Galicyę z politycznej i ekonomicznej zależności od Wiednia i krajów niemieckich — *„Wszechniemcy“* zaś dla tego, aby po wykluczeniu polskich i ruskich posłów z parlamentu austryackiego *Niemcy tam wyzyskali absolutną większość nad resztą Słowian* i mogli resztę Austryi rzeczywiście zamienić na państwo *niemieckie.* Tymczasem to ich wysunięcie rzeczonego postulatu odniesie ten tylko skutek, że Polacy analogicznie *swoje* żądanie odroczą na czas znacznie późniejszy, gdy stosunki w Austryi pomyślniej się ułożą dla Słowian *wogóle.*

Mówiąc o dążnościach wyzwolenia Galicyi z zależności ekonomicznej od przemysłu niemieckiego Austryi wspomnieć muszę otwartą tu przed kilku dniami *wystawę ruchomą „Ligi pomocy przemysłowej“.* Wystawę tę urządzaną po kolei we wszystkich miastach Galicyi zwiedziło dotychczas 200,000 osób. Ma ona wykazać dobroć wyrobów krajowych i skłonić ogół, aby raz wreszcie zerwał ze szkodliwym zwyczajem dawania pierwszeństwa obcym wyrobom. „Liga“ rozwija w tym kierunku zwłaszcza przy pomocy *młodzieży* bardzo gorliwą działalność i może też pochlubić się pod niejednym względem bardzo pomyślnym rezultatem.

Z innych spraw galicyjskich donieść wam jeszcze muszę o zmianie w dyrekcyi *teatru lwowskiego.* Dotychczasowy dyrektor teatru, Tadeusz *Pawlikowski,* cieszący się sławą „najlepszego dyrektora scen polskich“, utopiwszy w teatrze lwowskim kroćiowy majątek, zrzekł się dalszej dyrektury. W jego miejsce obrano dyrektorem p. *Hellera,* byłego współdyrektora teatru lwowskiego i dyrektora kilku trup. operowych polskich, który niedawno zaznajomił Włochów z naszą „Halką“.

Po Pawlikowskim, który jako „pan z panów“ łożył dużo na scenę, nie oglądając się za zyskiem, czeka nowego dyrektora trudne zadanie.

Przybywających w tym roku do Krakowa uderzy nowy „widok“. Ujrzą oto na ulicach miasta *konną policyę.* O ile wiem, Kraków jest najmniejszem miastem Europy, posiadającem tego rodzaju straż bezpieczeństwa. Utworzoną ona została głównie przeciwko awanturom socyalistycznym, liczy dwudziestu pięciu konnych policyantów, którzy na dzielnych swoich

koniach przedstawiają się bardzo dodatnio, nawet elegancko. Czy spełnią należycie swoje zadanie, trudno jeszcze przewidzieć. Obecnie mają do walczenia tylko z tłumami otaczających ich — gapiów. Obok nich czuwa nad bezpieczeństwem w mieście jeszcze 290 pieszych policyantów, liczba, jak na 100,000-ne miasto ogromna.

Uniwersytet krakowski liczy obecnie 2500 słuchaczów, w liczbie tej przeszło *600* z „zagranicy'' wyłącznie prawie z *Królestwa*. Nowy dowód, jak ogromny jest napływ *koroniarzy* do naszego miasta. *Galicyanin.*

Przegląd prasy.

Sprawa górnośląska co raz więcej się rozjaśnia. Nie mało do tego przyczyniła się odezwa centrowych posłów górnośląskich, którą niedawno podawaliśmy. Skutki jej dziś się już uwydatniają. Oto pierwszy z nich ten, że poseł *Teofil Królik* złożył swój mandat parlamentarny i donosi o tem do „*Katolika*'':

„Wystąpiwszy z frakcyi centrowej, miałem zamiar złożyć mandat do parlamentu, powierzony mi przez wyborców okręgu bytomsko-tarnogórskiego.

Ponieważ jednak wiedziałem, że pomiędzy pewną grupą księży górnośląskich a pewną grupą partyi polskiej toczą się *układy, zmierzające do porozumienia*, z wykonaniem zamiaru mojego się wstrzymałem, nie chcąc stać się przyczyną, ażeby nowe wybory ujemnie wpłynęły na tok układów, po których, zdaniem mojem z uprawnieniem, mogłem się spodziewać złagodzenia przeciwieństw i tak pożądanego uspokojenia naszego społeczeństwa.

Znane oświadczenie posłów śląskich z parlamentu i sejmu z dnia 16-go lutego, położyło, jak mnie informują, kres owym układom. Wobec tego wzgląd, wstrzymujący mnie dotąd do złożenia mandatu, przestał istnieć i dlatego donoszę szanownym wyborcom moim, że mandat do parlamentu złożyłem.

Teofil Królik.

Tarn. Góry, 15-go marca 1906.''

Była więc w działaniu p. Królika rozumna przezorność polityczna, która mu się chwali. Z pism górnośląskich domyśla się „Głos Sląski'', że p. Królik więcej już kandydować nie zechce, bo oświadczenie swoje ogłosił tylko — w „Katoliku''. Wątpimy, czy taki jest istotny powód p. Królika i czy domysł „Głosu'' jest słuszny, choć już dawniej jawnie mówiono o złożeniu przez p. Królika mandatu i o nieprzyjęciu nadal kandydatury.

* * *

Jeszcze jeden nowy, a silny argument podaje „*Germania*'', katolicki organ berliński na poparcie twierdzenia, że germanizacya, to *protestantyzacya.* Pisze ona, że

„przed 10 laty założono na zachodzie Niemiec: „Ewangelickie Towarzystwo opieki nad sierotami na kresach wschodnich''. Towarzystwo to wysyła osierociałe i osamotnione ewangelickie dzieci niemieckiego zachodu w okolice wiejskie prowincyi poznańskiej, celem poparcia tamże niemiecko-ewangelickiej i germanizacyjnej sprawy.

W tym celu zatrzymuje Towarzystwo z pieniędzy przeznaczonych mu na sprawy opiekuńcze, a wynoszących 160 mk. od dziecka, 100 m., resztę zaś składa na procent i wypłaca całą sumę wraz z procentami tym dzieciom, które doroślszy, osiedlają się w Księstwie lub Zachodnich Prusach.

Towarzystwo to otrzymało, według doniesień „Geselligera'' już z 16 miast 402 dzieci, dla których rocznie odkłada się po 60 mk. Jeżeli dziecko takie wcześnie przechodzi pod opiekę Towarzystwa, to suma zaoszczędzona wraz z procentami może wynosić 900 do 1000 mk., które wychowanek odbiera, gdy kończy 24 rok życia.

W Neuzedlitz (po polsku: Ruchocin w pow. witkowskim, dawniejszej własności pp. Gutowskich — Red.) nabyło Towarzystwo resztowiznę i założyło tam Dom sierot. Tam nasamprzód wysełа się owe sieroty. Część ich pozostaje w owem „Neuzedlitz'', reszta zostaje przekazana innym przytuliskom, rozsianym po Księstwie i Prusach Zachodnich. Przytuliska te rozmieszczają sieroty w odpowiednich ewangelickich rodzinach i stale wykonywają nad niemi nadzór. Z owych 400 przez Towarzystwo do kresów wschodnich przeniesionych sierot, już 100 opuściło szkoły i oddało się zawodom zarobkowym.

Chcąc jednak pomnożyć liczbę wychowanków, przeznaczoną na popieranie niemczyzny i życia ewangelickiego w dzielnicach polskich, potrzebuje Towarzystwo znacznych środków pieniężnych. Celem osiągnięcia ich ma służyć składka, mająca być zbierana za zezwoleniem ministra spraw wewnętrznych w domach protestanckich królestwa pruskiego.''

Do wszystkich innych warto i ten zapisać dowód równoczesnej protestantyzacyi kraju z germanizacyą. Szkoda, że „Germania'' nie wyjaśnia, skąd owe 160 mk. opiekuńcze płyną, czy płacą je gminy skąd owe sieroty pochodzą, czy też pochodzą one z t. zw. „funduszy gadzinowych.'' Wartoby i tę kwestyę wyjaśnić, bez tego bowiem ta opieka nad sierotami wygląda prawie na handel — żywym towarem. A tego zakazują przecież ustawy krajowe.

* * *

Tolerancya i poszanowanie religii katolickiej nie należy do cnót protestanckich przedstawicieli pióra i poetyckiej muzy. Świeży tego mamy dowód w wydanej w Mylhuzie w Turyngii jednoaktowej farsie pod tytułem: ein fideler kaisertag (wesoły dzień cesarski). Autorem jej jest niejakiś Edmund Branu. Z tytułu wydaje się, że przeznaczył ją autor dla zabawienia towarzystw wojackich, a może nawet żołnierzy czynnych podczas obchodów urodzin cesarskich. Farsę tę opisuje „*Wielkopolanin*'' tak:

„O marnej tej ramocie nie wspominalibyśmy wcale, gdybyśmy nie znaleźli w niej ustępu, wyszydzającego spowiedź. Ustęp ten na stronie 15 farsy brzmi jak następuje: Feldfebel Hilsebein: „Wann geht er mal wieder zur Beichte, Polacke? (Kiedy pójdziesz znowu do spowiedzi Polaku?)

Kowalski: Freitag zu Befehl! (W piątek, do usług pana feldfebla.)

Hilsebein: Na, dann beichte er mal dem Pfarrer, dass er ein Riesen-Kamel mit Eichenlaub ist, verstanden? (No, to wyspowiadaj się księdzu, żeś jest olbrzymim wielbłądem z dębowym liściem, zrozumiano?!)

To wystarczy, aby scharakteryzować ducha tej ramoty.

Spowiedź ma nam służyć do pojednania się z Bogiem jest aktem skruchy grzeszącego człowieka — a tu mieszają się do tego wielkiego aktu pojednania się z Bogiem liche dowcipy koszarowe!

Tego rodzaju przedstawienia muszą gorszyć katolików i dziwić się należy, że jeszcze żadne pismo katolickie przeciwko takim ramotom nie wystąpiło. Prawdopodobnie ramota ta nie dostała się do żadnej redakcyi pisma katolickiego.

W owej ramocie starają się też oczywiście ośmieszać polskość — tania przyjemność.

Tak czytamy na stronie 23 farsy.

Kowalski: Dobsze panna Feldfebel. (Dobrze panie feldfeblu).

Hilsebein: Will er wohl die verfluchten polnischen Brocken lassen Kerl! Er ist ein Deutscher, lebt im deutschen Reich, dient im deutschen Heer unter dem deutschen Kaiser, der heute seinen Geburtstag feiert und ganz Deutschland begeistert mit ihm — und da redet der Kerl polnisch! Soll ich ihm deutsche Sprachstunden geben — He? (Nie mieszaj mi tu polskich słów, chłopie! Jesteś Niemcem, żyjesz w niemieckiem państwie, służysz w niemieckiej armii pod niemieckim cesarzem, który dziś ma urodziny, obchodzone z zapałem przez całe Niemcy, a ten chłop gada po polsku! Może mam ci [illegible]elić lekcyi języka niemieckiego — hę?''

Jaka to ma być lekcya nie trudno sobie wystawić, zwłaszcza gdy się pomyśli, że podpory armii pruskiej, podoficerzy, sierżanci i feldfeble nie żałują żołnierzom a szczególnie Polakom kułaków i innych przyjemności.

Przyzwyczajeni już jesteśmy do tego, że pismaki niemieckie niegodnie szkalują narodowość naszą, że wrogi wierze katolickiej protestantyzm nie waha się kalać jej zasad i prawd świętych, że jednakże brudy takie przenikają do armii, w których katolicy obok protestantów składają przysięgę na wierność królowi pruskiemu, to bądź co bądź jest nowością. Może posłowie nasi zwrócą w parlamencie uwagę na to, komu należy.

Tydzień polityczny.

Rząd pruski zdecydował się po latach przeszło pięćdziesięciu na reformę wyborczą. Właściwie to wniesiona w tej sprawie nowela na miano reformy, a już najmniej na miano reformy wyborczej nie zasługuje. Ktoby bowiem spodziewał się po niej jakiej zmiany istniejącego trójklasowego systemu wyborczego, tego spotka straszny zawód. Cała bowiem reforma wyborcza polega wyłącznie na drobnej zmianie niektórych okręgów wyborczych. Nadmieniamy, że w dzielnicy naszej w tym względzie nic się nie zmieni. Zmiany te bowiem dotyczą tylko stolicy państwa — Berlina, okręgu arnsberskiego, we Westfalii i opolskiego na Górnym Śląsku.

Liczba posłów powiększoną zostanie o 10, a więc do ogólnej liczby 443. — Społeczeństwo polskie z tej zmiany nie odniesie żadnej korzyści, prędzej raczej stratę, gdyż powiększy się w sejmie liczba naszych nieprzejednanych wrogów.

Pewną sensacyę wzbudziła wiadomość pism niemieckich, że przygotowuje się pewna zmiana w urzędzie *kanclerskim!* Prawdopjodobnie książę Bülow ustąpić nie ma ochoty — ale przeciwnicy jego widocznie kopią pod nim dołki. Przyczyną tych pogłosek ma być sprawa urzędu kolonialnego. „Berl. Tagebl.“ bez ogródki też przyznaje, że wypadki w Algeciras uwidoczniły „wielką niezaradność w polityce zewnętrznej Niemiec“.

Gdyby się pogłoski te sprawdziły, znówby poszedł zając — a królik by się został.

Sprawa *marokkańska* oddycha już ostatkami i dobiega końca. Jeszcze jednak przedtem zawisły nad nią groźne chmury. Zdawało się, że zmiana gabinetu we Francyi sprowadzi i zmianę stanowiska Fancyi wobec konferencyi. Gabinet zaczął stanowczej stawiać swoje żądania, w pomoc przyszła mu Anglia, wywarła „lekki“ nacisk na Niemcy i dziś już porozumienie jest zapewnione. Policya marokkańska oddana zostanie prawdopodobnie Francyi i Hiszpanii za odpowiedniemi gwarancyami i ubezpieczeniem interesów międzynarodowych. Za to zrzeknie się Francya szerszych praw swoich w sprawie urządzenia państwowego banku marokkańskiego.

Na Węgrzech położenie się zaostrza. Rząd rozwiązał komitet wykonawczy opozycyi. Samowola ta wywołała ostrą krytykę w prasie. Koalicya prawdopodobnie ostro przeciw takim podszczuwaniom rządu bronić się będzie.

Sprawy polskie w parlamencie i sejmie.

Działalność posłów naszych w sejmie pruskim, a niemniej i w parlamencie niemieckim, to nieprzerwane pasmo skarg i żalów na system antypolskiej polityki rządowej. Nie ma dziedziny życia politycznego i publicznego, w której Polacy nie czuliby krzywd i żelaznej dłoni systemu, godzącego jawnie i brutalnie na nasze narodowe życie, to też nie ma mowy polskiego posła, któraby w żywych barwach nie odźwierciedlała tego ucisku narodowego, ucisku planowego i zmierzającego do wytkniętego z góry celu.

Ileż to już procesów nie przechodzili Polacy przez wszystkie instancye. A najczęściej brzmiało oskarżenie o „grubą swawolę“ albo o „podburzanie do gwałtów“. Pod tę kategoryę oskarżeń podpadały artykuły gazet, patryotyczne śpiewniki, obrazkowe karty pocztowe, książki, niewinne gry dziecięce a nawet — granatowe maciejówki!

Wszystkie te skargi znalazły wyraz w ostatnich przemowach naszych posłów, szczególnie zaś w mowie posła mec. *Bernarda Chrzanowskiego,* popierającej wniosek Koła o zmianę słynnego dziś § 130 kodeksu karnego. Warto doprawdy paragraf ten uwiecznić. Brzmi on tak:

Kto przeciwne warstwy ludności publicznie podnieca do gwałtów przeciwko sobie w sposób zagrażający publicznemu spokojowi, podlega karze pieniężnej do 600 mk. albo więzienia do dwóch lat.

Paragraf ten niejednego kosztował już grube grzywny albo długie miesiące a nawet lata więzienia.

Słusznie więc przeciwko temu paragrafowi zwracała się opinia nasza, prasa nasza, szerokie koła społeczeństwa. To też wdzięczni jesteśmy Kołu naszemu, że stawiło w parlamencie wniosek o jego zmianę.

Poseł *Chrzanowski* wykazał w obszernej mowie i na podstawie skrzętnie zebranego materyału, składającego się z wyroków sądowych, kart pocztowych, obrazów — nawet maciejówka widniała na mównicy parlamentarnej — że sposób, w jaki § 130 bywa stosowany w dzielnicach polskich, świadczy *o naginaniu prawa* wobec politycznych przeciwników. Na podstawie tego paragrafu niedawno skazano redaktora za artykuł wywodzący, że Polacy w razie wojny Niemiec z Anglią — nadzieje powinni pokładać w Anglii — na $1^1/_2$ roku więzienia. (Pana Macieja Wierzbińskiego z „Pracy“). Przedłożywszy dalszy materyał — kilka pieśni zakazanych, znane karty z widokami Sokołów i chorągiewkami, powiada mówca, że w ludności polskiej wyrobiło się przekonanie, że wyroki z tych powodów wydają sędziowie wręcz „w złej woli“.. — Za twierdzenie to powołuje mówcę polskiego marszałek parlamentu hr. Stolberg do porządku.

Rzeczywiście, że wyroki takie niepokoją w wysokim stopniu ludność polską i wywołują wśród niej ogromne rozgoryczenie, to też § 130 koniecznie należy zmienić.

Do wywodów posła naszego przyłączyli się socyaliści, wolnomyślni i centrum. Ostatecznie wniosek Koła przeszedł.

Wiadomość tę społeczeństwo nasze z niemałem przyjęło zadowoleniem. Widziano w tej uchwale parlamentu moralny wyrok na sądownictwo pruskie, które tylekrotnie dało nam się we znaki. Czas istotnie najwyższy, ażeby paragraf ten został usunięty jak najwcześniej, stał on się bowiem w ręku sądów wprost kagańcem, nałożonym na prasę i wydawnictwa polskie, za każdą żywiej objawioną myśl, za każde nieomal śmielsze słowo.

Czy jednakże wniosek ten znajdzie poparcie w radzie związkowej?!...

Niemniej zasługują na uwagę sprawy podniesione przez posłów naszych w pruskim *sejmie.*

Niestety nie udało się Kołu naszemu wywołać obszernej dyskusyi przy etacie komisyi kolonizacyjnej. Przeciwne Polakom partye mimo przyrzeczeń danych posłom polskim, odcięły ich od dyskusyi i obradom przeszkodziły. A miał to być t. zw. walny polski dzień.

Wynagradzają sobie teraz posłowie nasi ten zawód skargami przy etacie sprawiedliwości i ministerstwa spraw wewnętrznych.

Poseł *Leon Czarliński* użalał się, że pewnego referendaryusza usunięto od służby państwowej, ponieważ nie chciał się zobowiązać, że jako adwokat nie będzie występował jako Polak.

Następnego dnia skarży się poseł *Mizerski* na przeinaczenie imion i nazwisk polskich, na nierozsądne przezywanie prastarych nazw polskich miejscowości i żąda usunięcia „systemu polityki kłucia szpilkami“.

Minister *Bethmann-Hollweg* zapewnił posła naszego, że postara się o zmiany w tych sprawach, że szczególnie wydał już rozporządzenie w sprawie zapisywania nazwisk *żeńskich* na „ska“ a nie „ski“ i nie szykanowania ludności polskiej.

Poseł mec. Dr. *Dziembowski* charakteryzuje sposób nacisku, wywieranego na właścicieli, oddających swe sale na wiece polskie.

Poruszono więc w parlamencie i sejmie wszystko nieomal, co nam dolega — niestety naprawy spodziewać się nie można.

Z działalności naszych Spółek.

Z Ponieca otrzymujemy następujące pismo:

Sądząc z kilku korespondencyi, które się pojawiły ostatniemi czasy tu i owdzie z Ponieca, zdawałoby się, że u nas nie dobrze się dzieje.

Tymczasem tak nie jest, jak niezadowolniony widocznie ze świata i ludzi przygodny korespondent, tutejsze stosunki opisuje.

Najlepszym bodaj tego dowodem są Walne Zebrania naszyh dwóch insą Walne Zebrania naszych dwóch inw Poniecu odbyły: „Rolnika“ założonego 1-go sierpnia 1905 roku i „Banku ludowego“ składającego doroczne sprawozdanie z XIII roku swej pracy.

Dla ludzi przychylnie śledzących bieg rozwoju naszego społeczeństwa były to prawdziwie pouczające zebrania, na których dowiedzieliśmy się wiele pocieszających rzeczy, wymownie świadczących o powolnym i stałym rozwoju społecznym naszej najbliższej okolicy.

Proszę tylko zauważyć: do „Rolnika“, założonego przed pięciu miesiącami, należało 1 stycznia r. b. 42 członków z odpowiedzialnością 48 000 marek i 2 640 marek wpłaconemi na udział.

Pomiędzy tymiż członkami, co na wyszczególnienie zasługuje, są wszyscy wielcy posiedziciele i dzierżawcy okoliczni, którzy wspólnie z gospodarzami i księżmi pracują, o ile tylko się da, z tutejszym „Rolnikiem“.

To też „Rolnik“ poniecki może się poszczycić poważnym stosunkowo obrotem: 367 536,65 marek — w rozchodzie i tyleż w dochodzie wynoszącym podczas pięciumiesięcznej pracy.

W tym czasie zakupił 33 442,68 ctr. rozmaitych towarów za 104 094,07 mk. i sprzedał za 99 749,15 mk. — tak, iż na składzie pozostało na 1-go stycznia 1906 roku towarów za 6 626,85 mk., na czem było zarobku 2 281,93 marek.

Po zapłaceniu wszelkich kosztów założenia, pensyi i innych handlowych pozostało jeszcze na czysto: 221,69 m., które Walne zebranie do funduszu rezerwowego i rezerwy specyalnej przekazało!

Walne zebranie — pod przewodnictwem p. Bernarda Sypniewskiego z Czarkowa przyjęło z zadowoleniem sprawozdanie Zarządu złożonego z pp. ks. L. Skrzydlewskiego, W. Miśkiewicza i M. Dezora i udzieliło tak Radzie Nadzorczej jak i Zarządowi pokwitowania.

Walne Zebranie „Banku ludowego“, które się w tydzień potem na sali p. T. Stangreckiego odbyło, przedstawia jeszcze korzystniejszy rozwój naszej okolicy.

Ze sprawozdania Zarządu na Walnem Zebraniu dowiadujemy się, że „Bank ludowy“ w Poniecu miał w ubiegłym roku, a 13-tym swego istnienia tak w rozchodzie jak i dochodzie 2 193 398 mk.

Członków liczy 472 z 13 702,20 mk. udziałów. Deponentów było 963 z 676 355,90 mk. złożonych oszczędności. Pożyczek było 500 na sumę 590 333 mk. Reszta ulokowana była jako depozyt w Bankach i w Akcyach Banku Związku Spółek Zarobkowych. Fundusz rezerwowy wynosił do 8 121 mk., a specyalna rezerwa do 5000 mk. Czystego dochodu wygospodarowano 5 267,70 marek, którą to kwotę — po potrąceniu 6 procent dywidendy od udziałów przeznaczyło Walne Zebranie do funduszu rezerwowego i rezerwy specyalnej.

Strat pomimo bankructwa dwóch czy trzech członków nie było, co jest najlepszym dowodem oględnej pracy komisyi kredytowej, Rady nadzorczej i Zarządu.

To też Walne Zebranie pod przewodnictwem ks. dziekana Kinowskiego z Oporowa sprawozdanie z uznaniem przyjęło i udzieliło Radzie nadzorczej i Zarządowi prawem przepisanego pokwitowania.

Czynności tych dwóch naszych instytucyi uwydatniają się też w rozwoju okolicy coraz widoczniej. Mianowicie wskutek założenia „Rolnika“ podniósł się znacznie ruch w naszem mieście — targi nasze tygodniowe ożywiły się od tego czasu bardzo, nawet z dalszych stron przybywają gospodarze z zbożem i zakupują za otrzymane pieniądze swoje zapotrzebowania. Przy tej sposobności miło też stwierdzić, że nasi przemysłowcy i kupcy wytrwale wywalczają sobie stanowisko — ten i ów dorabia się powoli — a nasz lud okoliczny, gospodarze i obywatele — widząc, że „swoi“ dzielnie się sprawują, coraz bardziej poczuwają się do obowiązku pamiętania o tem, że tylko wspólna praca społeczna, oparta na wzajemnej życzliwości i wyrozumiałości, zdoła nas ocalić.

Jeżeli do podniesienia tego poglądu na rozwój naszej okolicy wspomnimy jeszcze na pracę społeczną w Towarzystwie Przemysłowców, Sokołów i Robotników, Kółek rolniczych, na dwa razy odegrany teatr amatorski podczas zimy, to śmiało możemy patrzeć w przyszłość, byle tylko każdy z nas spełnił sumiennie swój obowiązek społeczny w swoim zakresie.

Przyjaciel „Pracy.“

Głosy od Przyjaciół.

Na kresy.

Z korespondencyi, którą odebraliśmy z *Rawicza* wyjmujemy następujące godne uwagi zdania:

Polonia w rzeczywistości się tu wzmaga, lecz rekrutuje się przeważnie z robotników, a do tych niezawsze łatwo dotrzeć z „Pracą“. Mam jednakże nadzieję, że stosunki te polepszą się z czasem; chodzi jednakże o to, ażeby to mogło nastąpić jaknajprędzej. W celu tym powinien pomódz nam *Poznań;* i nietylko nam, ale wogóle wszystkim miastom *kresowym.* Lecz niestety dużo się o tem mówi, lecz mało czyni praktycznie. Głównie chodzi o to, ażeby *wskazywać miejsca osiedlania się.* Iluż n. p. Polaków w Poznaniu rzuca się z małym zasobem kapitału, aby po niedługim czasie zbańczyć! podczas gdyby, *osiedliwszy się w małem miasteczku,* mógł nie tylko prosperować, ale się nawet dorobić, wypierając przez to niejednego żydka. A takich miast, gdzie jeszcze dużo poszczególnych zawodów jest wolnych dla Polaków jest wiele. Do tych miast zalicza się także nasz Rawicz; potrzebujemy n. p. lakarza,

golarza, kowala, blacharza, ślusarza, rzeźnika, kupca bławatnika. Z tych zawodów niema tutaj Polaka żadnego. Powodzenie zaś byłoby pewne bez zastrzeżeń, skoro przyśli by ludzie tacy, którzy rozumieją swój zawód.

Może tak przed dwoma laty było tu dwóch lekarzy Polaków, dla czego się pierwszy wyprowadził nie wiem. Drugi tak po pół roku wyprowadził się także do Poznania.

O ile wiem mało miał klientów Niemców, lecz także nie ogólnie był popierany przez Polaków, dla tego, że podobno zanadto był czułym (przezwano go babą) więcej nastękał sam jak chory.

W to miejsce dostaliśmy lekarza Niemca z Ponieca (Dr. Hübnera). Swego czasu korespondent z Ponieca przestrzegał przed nim, z tego powodu, że niby nie brał od swych biedniejszych pacyentów honoraryów, lecz gdy się wyprowadzał, przysłał każdemu sążnisty rachunek. Ten oto lekarz umiał sobie zjednać w krótkim czasie ogólną sympatyę; a chociaż wątpliwem jest, aeby miał tak ogromną praktykę, jest jeszcze bowiem młody, oblegają go ludzie jak cudotwórcę, od rana do wieczora (mieszka obok mnie i widzę na własne oczy) przychodzą do niego aż z okolicy Ponieca i zarabia dziennie można powiedzieć grube sumy z polskiego ludu. Dla czego? Oto dla tego, że umie się z każdym grzecznie obejść, mile porozmawia i szczególnie po polsku! dla tego, że jest nietylko lekarzem, lecz także sprytnym kupcem.

Z winnym szacunkiem i poważaniem

J. M . . . . i.

* * *

Kostrzyn, 19. 3. 06

Coraz więcej ziemi ojczystej przechodzi na długi czas w obce wrogie ręce kolonizacyi. W krótkim czasie utraciliśmy 2 piękne gospodarstwa w mieście i to:

I. Pana Grochowieckiego(który tu niedawno przybył, wykupiwszy jedno polskie gospodarstwo, po krótkim czasie z dość wysokim zyskiem w obce ręce zaprzepaścił).

II. Pani Sieńskiej. P. Sieńska jest siostrą obywateli tutejszych p. Luberskich.

Smutnie to świadczy o naszych, że dla chciwości więcej grosza zaprzedają zagony ziemi, która jest krwią i potem naszych przodków przesiąkniętą. Potomność ich nie będzie im tego czynu błogosławić, bo tyle Ojczyzny ile naszej ziemi.

Oprócz tego przeszedł piękny majątek Niemca Schulca także w ręce kolonizacyi, która całą ziemię rozparcelowała, tak, że Kostrzyn będzie zaszczycony „kulturträgrami ze zachodu, których wielka część będzie się z małych rękodzielników składała, przez co przemysł tutejszy, przeważnie w polskich rękach się znajdujący znaczny uszczerbek poniesie.

Jak słyszałem, ma się w Kostrzynie przez dziedziców z okolicy zawiązać spółka pod nazwą „Rolnik“ i trudnić się specyalnie handlem zboża, którego dotychczas niestety w polskich rękach nie mamy, przez co rolnicy są zmuszeni swoje plony żydom odsprzedawać.

Jednakże mówią tutaj, że „Rolnik“ ma również mieć na składzie inne artykuły i to: budowlane, drogeryjne i t. d. Przez to jednakże by naszemu przemysłowi polskiemu znacznie zaszkodził, i tylkoby niektórych kupców do ruiny doprowadził, albowiem mamy już tutaj podobne handle przez naszych reprezentowane, a ci już mają swoich odbiorców.

Zatem Panowie, nim przystąpicie do dzieła, to tylko rozważcie sobie dobrze obecne położenie, poznajcie tutejsze stosunki handlowe, które nie są takie różowe.

Krachów i konkursów w krótkim czasie było tu już dosyć, pomiędzy naszymi przemysłowcami, przeto nie przyczyńcie się czasem do reszty upadku naszego handlu.

Jest tu młyn parowy, którego właściciel p. Pilaczyński walczył długo z obcą konkurencyą, lecz dla braku kapitałów obrotowych musiał poprzestać czynności.

Tenże młyn z handlem zboża nadaje się na kupno dla „Rolnika“, boć to obszerne zabudowania i spichrze. Przymusowa sprzedaż tego młyna jest naznaczona na przyszły miesiąc w sądzie w Pobiedziskach.

Jeden z młodych kupców.

* * *

Miejska-Górka, dnia 10 marca 1906.

Potrzeba organizacyi pracowników handlowych.

Palący ten brak znać zrozumiało „Towarzystwo Młodzieży Kupieckiej“ w Poznaniu, i jak wiec handlowców w Rawiczu z 11-go b. m. świadczy, będzie trzeba usilnie pracować, by wiele przesądów wyrugować. — Noworodzący się związek będzie bodaj najważniejszym czynnikiem usamodzielnienia naszego społeczeństwa, gdyż *10—15 tysięcy pracowników handlowych* zacznie wspólnie myśleć nad polepszeniem bytu dla siebie, swej przyszłości i swych następców. Już pierwsze trzy numera pisma związkowego „Przegląd kupiecki“ wydają donioslość głębokiej i treściwej pracy — a wiele bardzo wiele jest na tem polu do spełnienia.

Bracia! Całe Królestwo Polskie leży w najbliższej przyszłości odłogiem dla nas, by obce pijawki na wszystkich polach rugować, — trzeba przysposobienia, trzeba nam przy nabyciu wiedzy i oszczędzać, a oszczędzać jak najwięcej, by nasampród u nas luki zapełnić. — Potrzeba nam hurtownych składów, jednostek zasobnych w zawodzie nie mamy, — róbmy to wspólnemi siłami. Pomocnik przeciętny może połowę pensyi, 200 m. rocznie zaoszczędzić, niech 10 000 kolegów tak oszczędza, a mamy 2 000 000 marek rocznie. Od razu staje potężny skład hurtowny jednej branzy, — a ludzi rutynowanych chyba nam nie brak. I czy to tak trudno oszczędzać — nie! Trzeba nam tylko skromności, tej cechy największych ludzi interesu jak Carnegie itd. Pracujmy za to więcej w naszych towarzystwach, starajmy się naszą zdobytą wiedzę i naszym rzemieślnikom wpajać, a zabawy i roztargnienia dosyć mieć będziemy. — W pojedyńczych towarzystwach kupieckich rej wodzą jednostki, które się starają ten zapał organizacyjny osłabić, przypatrzmy się im: to ludzie co mają w tem interes, dalej zarozumiałe próżniacy, tchórze, mający długi u krawca, szewca, — wnijdźmy w sumienie, a powiemy to prawda! Towarzysze, dalej zapijanie się koleżeńsko to nie honor, nie honor wynoszenie się jeden nad drugiego, to malpowanie, marnotrawstwo! — Dla polepszenia doli pracujmy dalej, zarazem z szefami nad zaniechaniem marek rabatowych, bo wytwarzają one tylko niezdrowe fermenty przez wkradanie się nierzetelnego obsługiwania, a robią nas nadto pachołkami hurtowników.

Pamiętajmy o przyszłości, poddajmy się pod jeden centralny regiment, a wiele dokonamy. Towarzystwu Młodzieży Kupieckiej w Poznaniu wytrwałości w podjętych trudach się życzy.

Handlowiec.

„Straż.“

Oświadczenie.

W porozumieniu z Głównym Zarządem „Straży“ ogłaszamy co następuje:

Zważywszy, że

1) Najprzewielebniejszy ksiądz Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański zażądał „Okólnikiem“ z dnia 22-go stycznia b. r. od duchownych swych dye-

cezyi, aby *„urzędów „Straży" nie przyjmowali i nie przemawiali na wiecach"* naszego Towarzystwa,

zważywszy, że

2) Najprzewielebniejszy ksiądz Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański zawezwał kilku duchownych starostów pismem z dnia 5-go marca, aby mu *„w przeciągu tygodnia donieśli, czy rozporządzeniu z dnia 22-go stycznia uczynili zadość,"*

zważywszy, że

3) w wyżej wzmiankowanem piśmie z dnia 5-go marca b. r. zagroził Naj. Ksiądz Arcybiskup kilku duchownym starostom, iż w razie niezłożenia urzędu w „Straży" *„uważać musiałby odnośnych duchownych za winnych grzesznego nieposłuszeństwa wobec Władzy Duchownej i w razie trwania w tem nieposłuszeństwie zastósowałby przeciwko nim kary kanoniczne,"*

zważywszy w końcu, że

4) powyższemi rozporządzeniami ogół społeczeństwa silnie jest zaniepokojonym, a przeważna część wielce jest wzburzoną,

Oświadczamy:

I. W dyecezyach gnieźnieńskiej i poznańskiej piastowali urzędy starostów księża:

1) na powiat bydgoski ks. Stankowski z Potulic.

2) na powiat grodziski ks. Dykier z Buku.

3) na powiat obornicki ks. Bratkowski z Objezierza.

4) na powiat pozn. wschodni ks. Smorawski z Wronczyna.

5) na powiat rawicki ks. Zakrzewski z Golejewka.

6) na powiat skwierzyński ks. Hemmerling z Góraja.

7) na powiat wrzesiński ks. Bogdański z Miłosławia.

8) na powiat witkowski ks. Mierzejewski z Niechanowa.

9) na powiat wyrzyski ks. Kaczmarek z Wyrzyska.

10) na powiat wieleński ks. Spychalski z Roska.

II. Kilku duchownych starostów uczuło się zniewolonymi do złożenia urzędu w „Straży;" innych, nie chcąc ich narażać na przykre im grożące następstwa, poprosiliśmy sami o tychże urzędów złożenie.

III. W miejsce ustępujących duchownych przyjęli z biegiem czasu urząd starosty

na powiat skwierzyński p. J. Estrich z Góraja.

na powiat wrzesiński p. T. Grudzielski z Sołeczna,

na powiat witkowski p. S. Lutomski z Grzybowa,

na powiat wieleński p. J. Gaertig z Wielenia.

Pertraktacye z kandydatami na starostów po innych powiatach są w biegu i rokują skutek pomyślny.

IV. Wielebnym i zacnym byłym Księżom Starostom, którzy tak gorliwie i skutecznie pracowali w organizacyi naszej składamy na tem miejscu serdeczne podziękowania za Ich poświęcenie na polu pracy obywatelskiej.

V. Członków Towarzystwa naszego, których jest dziś około 14,000 zapewniamy, iż praca organizacyjna zwykłym idzie trybem, i że „Straż" z powodu przymusowego usunięcia zacnego naszego Duchowieństwa z urzędu starostów nie dozna uszczerbku, jakiekoby sobie życzyli wrogowie społeczeństwa polskiego.

Poznań, dnia 15-go marca 1906 r.

Sekcya I organizacyjna „Straży."

Karol Rzepecki, przewodniczący. *Stefan Chociszewski*, sekretarz.
St. Chmielewski. S. Dobrowolski. Dr. T. Jaworski. J. Komendziński. Dr. T. Kubacki. T. Krause. Cz. Leitgeber. Wal. Łebiński. W. Noskowicz. T. Otmianowski. St. Pfitzner. Stan. Stolpe. Idzi Switała. Stan. Zieliński.

* * *

Od sekcyi (IV) prawno- politycznej „Straży" następujący otrzymujemy komunikat:

Coraz większą jest samowola urzędników stanu cywilnego przy zapisywaniu imion i nazwisk, coraz śmielej rząd pruski łamie uchwały parlamentu i prawa Rzeszy niemieckiej.

Przypominamy zatem raz jeszcze sposób postępowania i prosimy społeczeństwo polskie, aby szanując swoją godność narodową, ściśle się naszej wskazówki trzymało.

Skoro urzędnik stanu spisał protokół, należy go przeczytać, albo o wyraźne odczytanie poprosić lub wreszcie naocznie się przekonać, czy nazwisko żeńskie zapisano na *„ska"*. Jeżeli urzędnik życzeniu temu zadość nie uczynił i nazwisko matki, żony, siostry lub córki z końcówką *„ki"* umieścił, należy oświadczyć wyraźnie, iż odmawia się podpisu i zgłoszenie się cofa.

Tylko wtedy można przez zażalenie w drodze administracyjnej spowodować poprawne zapisanie na „ka".

Dalsze wskazówki otrzymają interesenci w biurze „Straży".

Sekcya (IV) prawno-polityczna „Straży".

* * *

Z biura „Straży" otrzymujemy:

P. Józef Kościelski, Prezes Głównego Zarządu „Straży", wyjechał na kilkatygodniową kuracyę. Upraszamy zatem, tych, którzy się za jego pośrednictwem do „Straży" zwracali, aby przesyłali podania i listy *wprost do biura „Straży"*, Piekary 13, w Poznaniu. Adres: *Dr. Tadeusz Jaworski, Poznań (Posen).*

* * *

Wiece „Straży" odbędą się w niedzielę dnia 25-go b. m.

w *Przygodzicach* (pow. ostrowski) po południu. Przemawiać będzie delegat Gł. Z. pan Czesław Leitgeber.

w *Górznie* (pow. brodnicki) o godz. 12-tej w południe. Przemawiać będzie delegat Gł. Zarz. p. dr. Schroeder z Poznania.

w *Kruświcy* (pow. strzeliński) o godz. pół do 4-tej po poł. Przemawiać będzie del. Gł. Zarz. p. poseł dr. Niegolewski.

* * *

W niedzielę, *25 b. m.* odbędzie się o godzinie 4-tej po południu na sali p. Barańskiego *w Gembicach* pow. mogileński wiec „Straży".

Porządek obrad:

1) Zagajenie wieca, ukonstytuowanie biura.
2) Przemówienie Starosty powiatowego.
3) Cele i organizacya „Straży", p. Dr. Osowicki.
4) Pauza 10 minutowa dla ułatwienia zgłaszania się na członków.
5) O frymarce ziemią, p. Draheim.
6) Wnioski.

Julian Dziembowski
Starosta „Straży" na pow. mogileński.

* * *

Wiec w Gąsawie odbył się w święto św. Józefa przy udziale 300 wiecowników. Przemawiali pp. *Marciniak*, robotnik, *Stefan Chociszewski* jako delegat „Straży", *Stefański*, kowal i *Tybyszewski*, obywatel gąsawski. Na członków „Straży" zapisało się 200 obecnych.

* * *

W Wielkiem Wysocku odbył się w niedzielę wiec, który zagaił p. Stefan Rowiński z Ostrowa, starosta na powiat ostrowski. Przewodniczącym wybrano p. Fr. Chojeckiego z Wysocka. Przemawiał poseł dr. Felicyan Niegolewski. W pięknych słowach zachęcał szanowny poseł do zapisywania się na członków „Straży", wykazując niezbędną potrzebę tego towarzystwa. Po tem przemówieniu, ze 150 wiecowników zapisało się 116 na członków. Na-

stępnie przemawiali gospodarze Łukasz Józefiak z M. Wysocka i Fr. Gręda z W. Wysocka, dalej p. Matuszczak ze Sulmierzyc, któremu jednak — jak czytamy w „Gaz. Ostrowskiej". — odebrał przewodniczący głos na żądanie przedstawiciela władzy policyjnej, dla tego, bo mówił, że Bismarck nie miał racyi, twierdząc, że tylko szlachta i księża podtrzymują narodowość w ludzie polskim. W końcu przemawiał jeszcze delegat „Straży" i starosta p. Stefan Rowiński, wzywając do zgody, jedności, do czytania gazet i książek a zakończył wezwaniem naszych sióstr, żon i matek do uczenia naszych dzieci pacierza, katechizmu i pieśni polskich.

* *

Uznanie dla „Straży". Sekcya prawnicza „Straży" otrzymała od jednego z członków z Murowanej Gośliny następujące pismo:

Będąc w przykrem położeniu jako oskarżony z strony król. prokuratoryi w Gnieźnie, jakobym nazwisko swe Kloss zmienił na nazwisko polskie Kłos i skazany na 150 mk. kary, ewent. 4 tygodnie więzienia, którą karę sąd pod przewodnictwem dr. Steinhardta potwierdził na podstawie, że w urzędzie stanu cywilnego, oraz w metryce nazwisko zapisane było „Kloss" — udałem się o pomoc do biura „Straży".

Nietylko z strony kierownika biura p. dr. T. Jaworskiego odebrałem pocieszające informacye, nadto starosta „Straży", p. mecenas Karpiński z Gniezna raczył się podjąć dalszego prowadzenia sprawy bezpłatnie.

W sobotę, 3 bm. toczyła się sprawa przed izbą karną w Gnieźnie. Prokurator dr. Bracke z góry wniósł o odrzucenie apelacyi. P. mecenas Karpiński w mowie swej obronnej, trafnie zaznaczył bezpodstawność kary, żądając energicznie uwolnienia. Sąd po naradzie wydał wyrok uwalniający!

Niniejszem składam publicznie szanownemu Zarządowi biura „Straży" za łaskawą pomoc, oraz panu mecenasowi Karpińskiemu za skuteczną obronę najszczersze podziękowanie, zniewolony wdzięcznością, pragnę, aby korespondencya moja przychyliła się względem szanownych czytelników do gorliwego zapisywania się na członków „Straży" tak pożytecznej nam instytucyi, której członkowie w danym razie znajdą pomoc i obronę nieocenionej wartości.

Jan Kłos, członek „Straży".

* * *

Wiec „Straży" we Wielkich Jeziorach, w pow. strzelińskim odbył się w poniedziałek d. 19 b. m., przy udziale 140 osób. Wiec zagaił starosta p. Dr. Trzciński z Gocanówka prosząc na przewodniczącego p. Skrzydlewskiego z Wójcina. Pierwszy przemówił delegat p. Stanisław Zieliński, który wykazawszy krzywdy, jakie nam się dzieją, wyjaśnił cele i zadania organizacyi. Następnie pan starosta potępił sprzedawczykostwo i wezwał włościan, aby tak jak „starsza brać" na Kujawach, i oni wyparli się współobywateli sprzedawczyków. Jeden z gospodarzy wykazał niesprawiedliwość nowego prawa osadniczego a p. Więckowski z Woli wezwał do wykonywania hasła „swój do swego," poczem odczytał rezolucyę, wyrażającą konieczność współpracownictwa duchowieństwa z ludem. Zakończenie rezolucyi brzmi.

Z polskim księdzem polski lud
Muszą cierpieć znoje, trud.
Patrzy na to Stwórca Świata,
Wróci ziemia, polska chata.

Niech żyją i pracują razem z nami duszpasterze nasi oraz całe duchowieństwo.

Na członków zapisało się 68 zebranych.

* * *

„Straż" na Szląsku.

Donosimy, iż przystąpiliśmy do organizacyi na Górnym Śląsku. Wybór starostów został dokonany, ogłoszenie nazwisk starostów nastąpi jeszcze przed Wielkanocą. Wszystkich gorliwych i ochoczych braci Ślązaków, mających zamiar przyjąć urząd „komisarza" prosimy zgłosić się na zwyczajnej karcie pocztowej do niżej podpisanego. Nazwiska ochotników przekażemy odnośnym panom Starostom.

Czuj duch!

Sekcya (I) organizacyjna „Straży"
Karol Rzepecki, przewodniczący,
ul. Rycerska 38.

Ruch w Towarzystwach.

Nadzwyczajne Walne Zebranie Towarzystwa „Samopomocy Naukowej" w Inowrocławiu w dniu 14-go marca 1906 w lokalu p. Morawskiego zagaił krótko po godzinie 9-tej wieczorem zastępca prezesa p. K. Lipczyński okrzykiem: „Cześć nauce!"

Następnie przystąpiono do oboru przewodniczącego walnego zebrania. Obrano jednogłośnie p. Józefa Kobylskiego, dawniejszego prezesa naszego twarzystwa, który do pióra poprosił p. Wł. Zeidlewicza. — Przystępując do porządku obrad poprosił pan przewodniczący pana sekretarza o przeczytanie protokółu z ostatniego zwyczajnego zebrania i posiedzenia zarządu, które protokóły po przeczytaniu bez poprawki przyjęto. Za inicyatywą i pod batutą p. St. Pluty zaśpiewał oddział śpiewaków naszego towarzystwa 3 piosnki i to „Cześć nauce" i „Na dolinie zawierucha" na trzy głosy, zaś „Polska dziewica" na 1 głos. Jako gości przedstawił pan przewodniczący 8 panów. Władzę reprezentował urzędnik policyjny p. Eitner.

Sprawozdanie zarządu. Sprawozdanie ze swego urzędu za czas od 12 lipca 1905 do 14 marca 1906 zdał sekretarz p. Czesław Wieczorkiewicz, z którego się dowiadujemy, że obecnie towarzystwo 35 członków liczy, poczem zdali sprawozdanie skarbnik p. Roman Wieczorkiewicz i bibliotekarz p. M. Filisiewicza. Dochodu w wyżej wymienionym czasie miało towarzystwo mk. 504,23, rozchodu zaś 422,88 mk., remanent mk. 81,35, który znajduje się w gotówce po części u skarbnika, po części u wiceprezesa. W bibliotece znajduje się 37 dzieł w 71 tomach, przeważnie treści naukowej i historycznej. — Komisya rewizyjna składająca się z pp. W. Zaidlewicza i M. Matuszewskiego oświadcza, że zrewidowana przez nich biblioteka i kasa znajduje się podług przedłożonego zestawienia i książki kasowej w porządku .— W skład nowego uzupełnionego zarządu wchodzą pp. St. Pluta, prezes, K. Lipczyński, tegoż zastępca, Czesław Wieczorkiewicz, sekretarz, Roman Wieczorkiewicz, skarbnik, M. Filisiewicz, bibliotekarz, lecz tylko do *rocznego walnego zebrania,* które się odbędzie w lipcu roku bieżącego.

Deklamacyą o „Królowej świętej Polski" wygłosił p. Krukowski. — Pod wolnemi wnioskami zapadło kilka ważniejszych uchwał. Dalej przemawiali jeszcze nad celem i zadaniem towarzystwa pp. Szałkowski, Kobylski ,Pluta i Filisiewicz.

Na tem porządek obrad się wyczerpał, a ponieważ dalszych wniosków nie było, solwował pan przewodniczący zebranie w obecności 22 członków i 8 gości o godzinie 11 i pół okrzykiem: „Cześć nauce".

Młodzieży!

Z łona Twego wyszła inicyatywa założenia towarzystwa „Samopomocy Naukowej". Staraj się podtrzymać i pielęgnować naukę i cnotę, aby towarzystwo nasze nie upadło, lecz wzrastało i ciągle wznosiło się dla chluby narodu! W Tobie młodzieży leży przyszłość narodu. Pamiętajmy, że tarcz narodową naszą winniśmy zachować

nieskalaną. Działajmy więc z wiarą, ale z wiarą pierwszych chrześcijan i ufnością w przyszłość, pielęgnując w naszem towarzystwie naukę i cnotę. — „Cześć nauce!“

Władysław Zaidlewicz,
sekretarz walnego zebrania.

Niniejszy numer jest ostatnim w bieżącym kwartale, więc czas największy odnowić przedpłatę,

na nowy kwartał.

Każda poczta niemiecka i każdy listonosz w mieście i na wsi zobowiązany jest do przyjmowania przedpłaty każdego czasu, która wynosi na kwartał

tylko 1 m. 25 fen.

Jeżeli Czytelnik chce odbierać „Pracę“ bez zwłoki i przerwy, winien zapisać ją *jaknajwcześniej*, abyśmy mogli uregulować odpowiednio nakład.

Do Galicyi.

Szanownych naszych Czytelników ***w Galicyi*** i wogóle w ***Austro-Węgrzech*** upraszamy uprzejmie, aby zechcieli zapisać sobie „Pracę“ ***na poczcie***, zamiast przesełać przedpłatę do naszej administracyi, gdyż wypadnie im to taniej, a nam oszczędzi się mozolnej przesyłki „Pracy“ w kopertach.

„Praca“ kosztuje na pocztach austryackich tylko
1 kor. 90 hal. z odnoszeniem.

Kwity pocztowe na „Pracę“ na nowy kwartał zamieszczone są przed inseratami.

Pod opaską wynosi prenumerata kwartalna na „Pracę“:

W Galicyi i Austro-Węgrzech:
3 kor.
we Francyi i w Belgii:
4 franki
w Anglii:
3 szylingi.
w Ameryce:
1 dolar.

„Praca“ wychodzi w zeszytach bogato illustrowanych, obejmujących 5 wielkich arkuszów druku i posiada z górą 13 tysięcy abonentów, jest zatem wogóle

największym
najtańszym
i najpoczytniejszym

tygodnikiem polskim.

Upraszamy przyjaciół naszych i wszystkich, którym leży na sercu oświata szerokich mas, o polecanie i szerzenie naszego na wskroś narodowego pisma.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Nowi przedpłaciciele otrzymają początek bardzo ciekawej, na tle ostatnich wypadków w Królestwie polskiem osnutej powieści p. t.

„Nim wzejdzie dzień.”

bezpłatnie, jeżeli nadeślą na porto znaczek 10-ciofenygowy.

Wiadomości.

* **Proces przeciw Najprzew. ks. Arcybiskupowi dr. Stablewskiemu** o prawo prezenty toczył się w tych dniach przed czwartym senatem sądu Rzeszy w Lipsku. Od kilku lat wakowała posada prob. we Friedheim (?) w powiecie wyrzyskim. Patron kościoła, posiedziciel dóbr rycerskich Berlinicke, protestant, zaproponował na probostwo to księdza, którego atoli konsystorz nie potwierdził. Patron p. Berlinicke wytoczył więc przeciw ks. Arcybiskupowi proces o przyznanie prawa prezentacyi. Sąd ziemiański w Poznaniu zawyrokował na korzyść patrona, równitż i sąd nadziemiański, do którego założył oskarżony apelacyą. Przeciw wyrokowi wniósł Arcyb. o rewizyę do najwyższego sądu w Lipsku, który atoli rewizyę odrzucił.

* **Najprzewielebnejszy ks. Arcybiskup dr. Stablewski** rozkazał, jak donoszą „Pos. N. Nachr.“, wszystkim podwladnym sobie duchownym niemiecko-katolickim wystąpić z niemiecko-katolickich towarzystw. należących do związku. Tutejsi księża, Niemcy katolicy wysąpili już i poskładali urzędy, piastowane w temże towarzystwie.

* **Wydalania.** „Bresl. Ztg.“ donosi, że liczne rodziny, które osiedliły się w Wrocławiu z powodu niepokojów w Rosyi, odebrały rozkaz opuszczenia miasta najpóźniej do 1 czerwca. Powodu wydalenia nie podano.

* **Poseł dr. Alfred Chłapowski** z Bonikowa kupił w Gieczu pod Środą od gospodarza Nowaka 78-morgowe gospodarstwo, które kupić chciała komisya kolonizacyjna.

* **Od posła i adwokata dr. Dziembowskiego** z Poznania otrzymał „Dzien. Pozn.“ następującą wiadomość:

Na dniu 10-go marca 1906 spisano szereg akt notaryalnych, mocą których p. hr. Stanisław Poniński zagwarantował utrzymanie Wrześni w ręku swej rodziny. Cieszę się, iż udzielono mi pozwolenia doniesienia o tem „Dziennikowi,“ ponieważ przed niedawnym czasem kursowały fałszywe, niczem nieuzasadnione wieści o sprzedaży Wrześni na kolonizacyę. Myślę, iż tą wiadomością położy się kres niesłusznym i krzywdzącym posądzeniom, jakie co do osoby p. hr. Ponińskiego rozszerzano.

* **W sprawie wolności zebrań** ogłaszają pisma tutejsze co następuje. W ostatnim czasie zdarzało się, że właściciele sal wynajętych na zebranie, cofali się następnie od zawartego układu, pieniądze za salę oddawali i sali odmówili. W Środzie sam landrat wpływem swoim właściciela sali do odmówienia jej skłonił. Przepisy *administracyjne* pruskie nie dają możności żądania kary za złamanie kontraktu. Lecz zupełnie bezbronnymi i w tych razach nie jesteśmy. Broni nas prawo *cywilne.* Trzeba tak postąpić:

Salę wynajmuje się kilkanaście dni przed zebraniem i każe się wynajmującemu piśmiennie z odbioru pieniędzy pokwitować i w kwicie wymienić dzień, godzinę i osobę, która salę wynajęła. Jeżeli właściciel wskutek groźby hakaty doniesie, że sali na zebranie odmawia, należy udać się do adwokata i kazać mu podać do sądu wniosek o tymczasowe rozporządzenie z paragrafu 938 procedury cywilnej. Sąd musi takie rozporządzenie wydać, w którem bez wyznaczenia terminu nakazuje salę oddać do użytku najmującego pod zagrożeniem *kary pieniężnej,* a nawet *aresztowej.*

Wynajęcie sali na zebranie jest zwyczajnym kontraktem najmu, od którego bezkarnie cofać się nie można. Mamy w Prusach całą powódź najrozmaitszych przepisów karnych, ale prawa karzącego urzędników, krępujących wolność zebrań, nie ma. Wyzyskujmy więc przynajmniej na naszą korzyść prawodawstwo *cywilne* i brońmy się prawem cywilnem, którego zadaniem jest bronić układów prywatnych przed złą wolą wiarołomnego kontrahenta. *K.*

* **Przypominamy,** że znaczków na rzecz Pomocy Naukowej dla dziewcząt i Czytelni Ludowych nabywać można w Poznaniu w tych miejscach, w których sprzedają telegramy narodowe. Na prowincyi podjęli się dotychczas sprzedaży: pp. Gąsiorowski w Śremie, Tadeuszowa Kościelska w Brzeznie p. Czarnkowem, Kręglewski w Wągrówcu, Masłowski w Krotoszynie, Niesiołowski w Ostrowie, Anna Suchocka w Pleszewie, Wiśniewski w Gnieźnie, ul. Tumska 2.

Pamiętajmy na każdym liście i karcie umieszczać znaczek czerwony, zielony, lub szary i tym sposobem wspierać nasze instytucye narodowe.

* **„Głos Kijowski.“** Numer okazowy „Głosu“ nadesłano nam w tym tygodniu. Głos jest pismem demokratycznem, nie oddanem jednakże jakiejkolwiekbądź partyi wyłącznie, lecz stawiającem za zasadę popierania wszystkich, aby społeczeństwu z wszelkich haseł postępowych na korzyść wyjść mogło.

* **Związek Zawodowy Polski.** Filia Zw. Zaw. P. założona została na wiecu w *Königs-Wusterhausen* pod Berlinem. Na wiecu, witany owacyjnie, przemawiał poseł hr. *Maciej Mielżyński*. Członków do filii przystąpiło 15. Zarząd składa się z pp. Kwiatkowskiego, J. Ratajczaka, Jernasia, Chwalisza i Wszyszcza. Szczęść Boże.

* **Sprostowanie.** *Z Pakości* odbieramy w sprawie ostatniej korespondencyi w Nr. 10 „Pracy“ informacye o tamtejszych stosunkach i o p. dr. Znanieckim. Z materyału tego przekonujemy się dowodnie, że korespondentowi naszemu chodziło o rozmyślne wyrządzenie p. dr. Znanieckiemu krzywdy. Przedstawione przezeń fakta, albo są nieprawidłowe, albo bez koniecznego uwzględnienia warunków miejscowych i prawnych. Nieprawdą jest, jakoby p. dr. Zn. pisywał recepty po niemiecku, gdzie tego nie potrzeba. Musi je atoli pisywać w kasach chorych, podlegających rewizyi rządowej. Gdy jednak chodzi o robotników polskich, aptekarz ma polecenie wypisania przepisu lekarskiego także po polsku. Zarzut zmieniania nazwiska, wypisywania „y“ zamiast „i“, albo „l“ zamiast „ł“ jest wręcz nieprawdziwy.

Sprostowanie to uważamy sobie za obowiązek umieścić, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialność za niesłusznie wyrządzoną p. dr. Znanieckiemu krzywdę. Nadmieniamy równocześnie, że na przyszłość nazwiska korespondentów, o których nieuczciwej tendencyi się przekonamy — ogłosimy publicznie.

* **W którem mieście** mógłby Polak, kawaler, liczący 29 lat, założyć *handel kolonialny, delikatesów, win i cygar* i liczyć na powodzenie lub też w którem mieście mógłby *taki handel prosperujący korzystnie nabyć na własność?* Łaskawe informacye prosimy nadesłać do redakcyi „Pracy“.

* **Z teatru.** Bardzo wesołą komedyę a raczej farsę Tadeusza Kończyńskiego p. t. „Na wulkanie“ wystawiono świeżo na naszej scenie. Treść sztuki jest następująca:

Ziemianin Henryk Saski (p. Poleński) porzuca z żoną wieś i osiada w mieście, gdzie dzięki protekcyom, mianowicie wuja, Cezarego Szanigi (p. Dobrzański) obejmuje stanowisko dyrektora Towarzystwa akcyjnego. Dyrektor — rolnik — nie finansista — bawi się zamiast sprawami banku, sprawami miłosnemi i przyjmuje u siebie nawet „dawną kochankę“ z półświatka. Żona Sabina (p. Horska-Kuncewiczowa) spotyka w biurze męża ową kochankę Emę Kawocką (pani Tworkowska), ale mąż, dzięki zręcznemu „Qui pro quo“, wychodzi z tych opałów cało. Mimo to żona podejrzewa męża i zaniepokojona prosi go, aby podziękował za posadę dyrektora i powrócił na wieś. Ale mężowi dobrze i słodko wiedzie się na bruku wielkomiejskim, więc stanowczo odrzuca propozycyę żony, która apeluje do wuja i prosi go, jako głównego akcyonaryusza banku, by postarał się o dymisyę dla Henryka. Henryk w takim razie będzie zmuszony opuścić miasto i powrócić na wieś. Jednocześnie i Henryk podejrzewa żonę, że romansuje z kuzynkiem, Michałem Korybutem (p. Kuncewicz), który uprawia z kuzynką tylko „niewinny flirt“ na przekorę Henrykowi, bo kuzynek, choć podwładny Henryka, gra rolę satyra i wyśmiewa go. Sabina postanowiła wreszcie męża opuścić, ale zazdrość, jaką Henryk urządza kuzynowi wobec Sabiny, upewnia ją, że jest kochaną przez Henryka, zatem małżonkowie zgadzają się wspólnie powrócić na wieś. W tej chwili stanowczej otrzymuje Henryk tak pożądaną przez żonę dymisyą.

Wesołe sceny, przeplatane humorem, są w sztuce na porządku dziennym, to też publiczność, która się więcej interesuje aktorami aniżeli autorem, bawi się na tej „farsie“ wybornie, wybucha częstym śmiechem i oklaskuje grę artystów.

Sztuka miała powodzenie, dzięki ożywionej grze artystów, starannej reżyseryi i pięknej wystawie.

Na wzmiankę pochlebną zasługują: pani Horska-Kuncewiczowa (Sabina) oraz panowie Poleński (Henryk Saski) Kuncewicz (Michał Korybut), Dobrzański (Cezary Szaniga) Jaracz (Łatinek) i Czerniak (Figa). Piękne i bogate toalety pani Horskiej-Kuncewiczowej i Tworkowskiej wprowadzały w podziw nasze panie. *—ski.*

* **Pierwszy benefis** tegoroczny ofiarowała Dyrekcya *bohaterce sceny naszej, pannie Antoninie Podgórskiej.* Nie pierwszy rok pracuje heroina artystyczna w teatrze naszym i dla tego znaną jest powszechnie z wyśmienitej gry w wielu utworach. Wymienienie wszystkich znakomitych kreacyi benefisantki zajęłoby dużo miejsca, wyliczenie zresztą jest zbytecznem wobec świadectwa, jakie publiczność bywająca w teatrze złożyć może p. Podgórskiej, która niezrównanem wykonywaniem ról niejednokrotnie widzów w zachwyt wprawiała. Wybór sztuki benefisowej jest godnym sympatycznej artystki, bo odegraną zostanie w sobotę tragedya, wzorowa na repertuar klasyczny p. t. „Syn puszczy“ przez Fryderyka Halma. Rolę Partenji wykona benefisantka. Już dziś nawoływujemy do doszczętnego wypełnienia widowni teatru w sobotę.

Rolę Partenji wykona benefisantka. Już dziś nawoływujemy do doszczętnego wypełnienia widowni teatru w sobotę.

W niedzielę wieczorem po raz drugi: „Syn puszczy“ Fryderyka Halma, w niedzielę po południu o godzinie 3-ciej niezrównanie wesoła komedya Przybylskiego p. t. „Wicek i Wacek“ po cenach do połowy zniżonych.

* **Koncert Towarzystwa Muzycznego.** Wielką niespodziankę przygotowuje ruchliwe Towarzystwo Muzyczne dla miłującej sztukę publiczności naszej na *niedzielę dnia 25-go marca b. r.* Udało mu się bowiem zaprosić na koncert swój słynnego kompozytora polskiego p. *Ludomira Różyckiego* z Berlina i młodziutką jego małżonkę p. *Stefanią z Mławskich,* niezmiernie utalentowaną śpiewaczkę. Pan Różycki, jak zapewne czytelnikom wiadomo, należy do kompozytorów nawskroś nowoczesnych a tak genialnych, że nawet wroga zresztą wszystkiemu, co polskie krytyka niemiecka chyli przed nim czoło i przepowiada mu świetną przyszłość. Swiadczy o tem fakt nadzwyczajny, że Filharmonia berlińska, niezmiernie wybredna w doborze utworów, przyjęła bez żadnych zmian wielką symfonię naszego mistrza pod tytułem: „Bolesław Smiały“, która zostanie wystawioną w Berlinie w końcu b. miesiąca. Zaszczyt to więc nielada dla Poznania i Towarzystwa Muzycznego, że genialna para, występując po raz

drowski przeznaczył jej główną rolę w wielkiej operze: „Bolesław Śmiały“.

* **Koncert** p. Feliksa Nowowiejskiego odbył się w Berlinie w ub. tygodniu w środę i cieszył się ogromnem powodzeniem. Publiczność — pisze „Dz. Berliński“ — tak polska jak niemiecka zapełniła salę po brzegi i oklaskiwała z entuzyazmem każdy numer obfitego programu. Pan Feliks Nowowiejski pokazał świeżo, że nie tylko posiada bardzo wybitny talent twórczy, ukształtowany na najlepszych wzorach i pogłębiony gruntownemi studyami, ale że jest także wybornym dyrygentem tak chórów jak orkiestry. Jakiem uznaniem artysta cieszy się w tutejszych kołach muzycznych, poznać można stąd, że w orkiestrze grało wczoraj aż 5 kapelmistrzów tutejszych pułków gwardyjskich. Po wykonaniu „Swatów polskich“, za które p. Nowowiejski zdobył nagrodę Beethovena, wręczono mu ogromny wieniec laurowy i bukiet z fiołków. Jego nowa symfonia h-mol, mianowicie jej zakończenie sprawiło olbrzymie wrażenie. Wszyscy cisnęli się do estrady, aby jej twórcy uścisnąć dłoń i wyrazić gorące uznanie. Szczerze młodemu a tak wysoko utalentowanemu artyście rodakowi winszujemy wielkiego sukcesu. Zasłużył on na niego w zupełności.

Publiczność, między którą znajdował się także biskup polowy ks. Vollmar, wychodziła ze sali rozentuzyazmowana dla artysty, który nadto poczciwą, nieudaną skromnością, rzadko w świecie artystów spotykaną, do reszty podbił jej serca.

* **Odczyt.** Dowiadujemy się, że dnia 28 marca o 8 wieczorem w Domu katolickim wygłosi ks. dr. Miaskowski odczyt „Z historyi mieszczaństwa poznańskiego w XVII wieku“. Ciekawy ten temat ściągnie niezawodnie licznych słuchaczy.

Dochód przeznaczony na „Schronienie dla nauczycielek.“

* **Poznań.** (Kupno). Kamienica przy ulicy św. Marcina nr. 34 z drugim frontem na Garncarską ul. przeszła na własność braci Hedingerów, synów znanego w mieście naszem obywatela za cenę mrk. 312,000.

Młodzi przedsiębiorcy nabyli posiadłość tę celem powiększenia i rozszerzenia swego interesu technicznego pod firmą L. Kiesling Nast. Półwiejska 2.

Przedsiębiorstwo to instalacyjne i budowlano blacharskie w szerokim zakresie zdobywa sobie znajomością swego fachu i doborem materyałów coraz szerszę koła chętnych odbiorców.

* **Ruchliwość** swoją zaznaczył świeżo *zakład chemigraficzny p. Antoniego Fiedlera w Poznaniu* wydaniem całego szeregu pocztówek wielkanocnych i rodzajowych. Za zasługę poczytać należy p. Antoniemu Fiedlerowi, że wydawnictwami swemi choć w części wypiera produkcyę obcą, narzucaną nam przez handlarzy żydowskich. Jeśli bowiem każdy odruch, zmierzający do podniesienia produkcyi i handlu polskiego zasługuje w naszych stósunkach na najszczersze uznanie, to tem bardziej wypada nie poskąpić życzliwości i poparcia wydawnictwom ilustrowanym, opartym na motywach polskich.

Pocztówka bowiem pozornie rzecz drobna a nawet lekceważana niejednokrotnie, jest w swoim rodzaju równie ważnym czynnikiem społecznym, jak słowo drukowane. Dociera ona do najszerszych warstw ludności i stósownie do swej wartości ideowej szerzy zamiłowanie do rzeczy swojskich, popularyzuje sztukę polską, odświeża wspomnienia dziejowe, potęguje przywiązanie do kraju ojczystego.

Nie wątpimy też, że wydawnictwa p. Antoniego Fiedlera znajdą coraz liczniejszych odbiorców przedewszystkiem wśród kupców polskich, gdyż p. F. sprzedaje nakłady swoje jedynie hurtownie.

† **Julius Lenzmann**, radzca sprawiedliwości, znany obrońca oskarżonych członków Komitetu wrzesińskiego pp. dr. Niegolewskiego, Kościelskiego, dr. Dziembowskiego, Wolińskiego i innych, umarł w środę rano. Podczas wtorkowej sesyi rażony został paraliżem, a następnego dnia życia dokończył. Polacy zachowywali dla posła Lenzmanna żywą sympatyę dla jego znakomitej obrony w gnieźnieńskim procesie.

* **Mosina.** (*Zabobony i ciemnota*). Głośne swego czasu były wiadomości o zbezczeszczaniu grobów na tutejszych cmentarzach. Zbrodniarza długo nie zdołano wykryć. Wreszcie przypadek zrządził, że wynaleziono go w osobie gospodarza Ogrodowskiego, schwytanego na kłusownictwie. Podczas przeszukiwania jego mieszkania znaleziono głowy żyda Rosenberga i kolonisty Gotlieba Wendego oraz inne części ciała. Żona O. zeznała, że mąż czynił to dla sprowadzenia *„szczęścia“* dla domu i inwentarza. Najbliższe szczęście zaprowadzi Ogrodowskiego do — domu karnego. Prawie się wierzyć nie chce, żeby po dziś dzień ludzie wierzyli w gusła i zabobony. Temu tylko ciemnota winna. Ale naturalnie na gazetę parę groszy wydać trudno.

* **Ostrów:** W ubiegłym tygodniu, we wtorek wtargnęła policya do lokalu, w którym odbywały się ćwiczenia sokolskie, zakazała ćwiczeń i obecnych rozpędziła. Powodem tego miało być to, że równocześnie z druhami ćwiczyli także terminatorzy. Dziwne to, ponieważ bywało to przez lat 15 — a dziś naraz jest *niedozwolone!* Tak wygląda wolność w Prusach.

* **Berlin:** *Ks. Edward Cortair* rozsyła w strony ojczyste broszurki z opisami berlińskich kościołów i prosi w zamian o datki na budowę kościoła św. Józefa, który ma stanąć w północnej części miasta. — Wobec nieprzychylności księży niemieckich w Berlinie dla rodaków naszych i zaprzeczania im praw do opieki duchownej a języka ojczystego zniewoleni jesteśmy przestrzedz zawszę chętnych ofiarodawców na kościoły katolickie, by co do Berlina zrobili wyjątek. Najlepiej broszury odesłać z dopiskiem, że Polacy póty grosza nie dają na tamtejsze kościoły, póki księża usposobienia swego względem rodaków naszych nie zmienią.

Od Redakcyi.

— *Panu T. M. w Poznaniu.* — Treść bardzo piękna... ale wiersz słaby. Umieścić nie możemy. Prosimy odebrać w redakcyi.

Wielebnemu Ks. W. N. w S. — Notatkę dla braku miejsca zamieścimy w przyszłym numerze.

Panu J. Cz. w Bremenie. — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale zamieścić nie możemy dlatego, że wiersz nadesłany p. t. „Wiosna“ był już drukowany w jednym z poprzednich roczników „Pracy“.

Panu S. L. w W. — Uznajemy dobre chęci Szan. Pana, jednakże zamieścić nie możemy nadesłanego wierszyka p. t. „Nie trać nadziei“, bo jest za słaby.

Panu J. S. w Lipsku. — Niestety dziś już zapóźno o tem pisać. Korespondencyę Pana przyjęliśmy do wiadomości i dla informacyi naszej. Dziękujemy i pozdrawiamy.

— *Panu K. S. w Poznaniu.* — Anonimów nie uwzględniamy, a chociażbyśmy nawet znali nazwisko autora nie zamieścilibyśmy, gdyż wierszyk jest bardzo lichy i dlatego się dla „Pracy“ nie nadaje. Napisz Szan. Pan swoje spostrzeżenia „o pijaństwie“ *proszą dobrze krótko i treściwie* a chętnie zamieścimy.

— *Do Berlina.* — Szan. korespondenta z Berlina, którego śmy korespondencyę o fabrykacyi octu zamieścili w nr. 2-gim „Pracy“ z roku bieżącego (patrz „Dział rolniczo-ekonomiczny“) prosimy o łaskawe podanie nazwiska, ulicy i numeru domu, gdyż jeden z naszych czytelników chce u niego zasięgnąć w powyższej sprawie informacyi.

— *Stefanowi Koźmianowi* w Biskupcu, Pr. Zach. Wiersz nie posiada wyglądu poetycznego“ — umieszczony więc nie zostanie. Radzimy pilnie do gramatyki zaglądać i nie wytężać umysłu na poezye. Nie każdy rodził się — Mickiewiczem.....

Nadzwyczajny dodatek do nr. 12-go „Pracy.“

W sprawie szykan pocztowych.

MOWA

posła Dr. Alfreda Chłapowskiego

wypowiedziana w parlamencie
dnia 6-go marca 1906 r.

(Ciąg dalszy).

W pobliżu Leszna w Poznańskiem leży miejscowość, zowiąca się Żakowem, a nie należąca do oficyalnie przechrzconych miejscowości. Nie znalazłem jej również w owem pamiętnem obwieszczeniu poznańskiego prezesa naczelnego z dnia 15-go grudnia ubiegłego roku, gdzie za jednym zamachem 97 miejscowości przechrzcone zostały, tak, iż obecnie u nas mamy tyle dolin, lasów, wzgórz, szumiących potoków, błoni, nawet starożytnych „burgów“, że mieni się człowiek być przerzucony w ojczyznę Tella, a chcąc się ich nauczyć na pamięć zawrotu głowy dostaje, zwłaszcza kiedy pomyśli, jak szalenie wysoko położone są „burgi“ owe w tak płaskim kraju jak Poznańskie.

A więc Żakowo, o ile wiem, nie jest przechrzcone, atoli według administracyi pocztowej tamdotąd tylko pod nazwą „Saake“ dotrzeć można.

Hr Dąmbskiemu, ówczesnemu właścicielowi wsi, narzuciła poczta już w r. 1901 nową nazwę „Saake.“ Hr. Dąmbski wystosował zażalenie do naddyrekcyi poczty w Poznaniu, wywodząc, że po pierwsze: zapisana w księgach hipotecznych nazwa wsi Żakowa, dotąd nie zmieniona, po drugie że wyrokiem sądu ziemiańskiego w Lesznie z r. 1891 nazwa Żakowa prawnie uznaną została i po trzecie, że właściciel wsi, jako „Gutsvorstand“ w korespondencyi do władz wyraźnie Żakowo pisze oraz używa pieczęci „Gutsvorstand Żakowo, Kreis Lissa“.

Tymczasem otrzymuje hr. Dąmbski na zażalenie swe z naddyrekcyi poczty w Poznaniu następujące rozporządzenie, które odnośny urząd poczty do dziś przestrzega. Pismo to pozwolę sobie panom odczytać, ponieważ jest nadzwyczaj ciekawe.

JW. Panu odpowiada się uniżenie na laskawe pismo Jego z dn. 24 maja, że według urzędowego dla urzędów pocztowych miarodajnego spisu miejscowość Żakowo nie istnieje. Zapisy w księgach hipotecznych lub wyrok król. sądu ziemiańskiego w Lesznie z r. 1891 administracyę pocztową równie mało obchodzą jak fakt, że urząd gminny używa pieczęci z napisem „Gutsvorstand Żakowo.“ W księgach hipotecznych zachodzą często przestarzałe nazwy miejscowości, które obecnie dla obrotu publicznego, tem mniej dla poczty nie są już miarodajne. Dla oznaczenia miejsca przeznaczenia nie należy nazw takich używać.

(słuchajcie, słuchajcie u Polaków.)

Konstatuję, mości panowie, że w tym przypadku ani rząd, ani właściciel miejscowości nie są miarodajni co do nazwy miejscowości, tylko wadliwy spis poczty, która mimo zażalenia ani zmienić ani uzupełnić spisu nie zamyśla.

Gdybym się ograniczył na przytoczeniu tego jedynego przypadku, moglibyście panowie mniemać, że tego rodzaju przypadki są zupełnie odosobnione. Pozwolę sobie zatem jeszcze o jednym takim przypadku wspomnieć. Chodzi tu o miejscowość Żoń. Składa się ona z probostwa i dominium. Dominium przechrzcono na „Wilhelmstreu“, podczas gdy probostwo otrzymało swoją dawną nazwę Żoń i to na podstawie rozporządzenia król. prezesa rejencyjnego w Bydgoszcy z dn. 16 paźdz. 1891 r. w którem i na to zwrócono uwagę, że urząd stanu cywilnego zatrzymuje swoją nazwę, chociażby siedziba odnośnego urzędnika przeniesioną została. Nadmieniam tutaj, że wspomniane rozporządzenie adresowane było do katolickiego dozoru kościelnego probostwa Żoń we Wilhelmstreu. Pomimo iż odnośny proboszcz ks. Steffen wysłał zażalenie do poczty, że listy go nie dochodzą, otrzymał od ces. urzędu poczt. w Poznaniu odpowiedź taką:

Probostwo Żoń wogóle nie istnieje i dawniejsza miejscowość nazywa się odtąd Wilhelmstreu.

A więc w tym przypadku administracya poczty wogóle się nie troszczyła o rozporządzenie prezesa rejencyjnego. Z powodu tego zachowania się poczty, wobec urzędu proboszczowskiego w Żoniu powstały tak niepewne stosunki, że nawet pierwszy prokurator przy sądzie ziemiańskim w Gnieźnie ks. prob. Steffena wyszperać nie mógł i w końcu był zniewolony o adres dowiadywać się u król. komisarza obwodowego w Wągrówcu.

(Wesołość)

Punktem kulminacyjnym tych szykan wobec miejscowości Żoń jest koperta, którą tutaj trzymam. Adres na niej wypisał król. komisarz obwodowy w Budzyniu, który stósownie do rozporządzenia naczeln. prezesa adresował poprawnie do katol. urzędu proboszczowskiego Żoń. Lecz adres ten administracyi pocztowej nie podobał się, przekreśliła więc ni stąd ni zowąd słowo Żoń. Konstatuję więc, n. p., że król. pruski komisarz obwodowy dla administracyi pocztowej zanadto jeszcze był polskim.

(Słuchajcie! słuchajcie!)

Nie jestże to dalej niesłychaną rzeczą, że administracya pocztowa doręczanie telegramów wprost uniemożliwia? Pewien przyjaciel mój bawiąc u wód w Kissingen, chciał telegrafować do domu. Miejscowość nazywa się Jankowice, a odnośna stacya telegraficzna nazywała się dawniej Tarnowo, obecnie „Schlehen“. Idzie więc w Kissingen osobiście na pocztę, a chcąc być zupełnie pewnym, że depesza do domu dojdzie, podaje jako stacyę telegraficzną Schlehen. Odnośny urzędnik przy okienku wertuje księgę i rzecze:

Schlehen, obwód poznański nie istnieje!

(Wesołość.)

A więc dobrze! Przyjaciel mój przekreśla Schlehen i pisze dawniejszą nazwę Tarnowo, obw. pozn. Urzędnik przyjmuje bez wszystkiego depeszę, lecz cóż się dzieje w kilka godzin później? W kilka godzin później zwraca poczta telegram jako nie mogący być doręczony, ponieważ miejscowość Tarnowo w Poznańskiem wogóle jest nieznana.

(słuchajcie! słuchajcie!)

A więc w tym przypadku przyjaciel nie mógł wprost telegrafować do domu!

Zawiłe te stosunki co do nazw miejscowości są zatem równie niemiłe dla tych, którzyby administracyi pocztowej pomagać chcieli w jej żądzy germanizowania; mógłbym kilka takich wypadków przytoczyć, jak n. p. Puszczykowo-Elsenau, gdzie podobny los spotkał nadaną depeszę. Nader charakterystycznem jest także następujące zajście. Mam tutaj pocztówkę nadaną w Kościanie z następującym zresztą nie zaczepionym napisem.

Pan Sołtysiak Andrzej Wirt in Kąkolewo bei Granowo. Chciałbym tutaj nadmienić, że miejscowość ta nie jest przechrzconą; wymawia się po polsku Kąkolewo, głoski n atoli się nie pisze, głoska a ma pod spodem mały haczyk. Karta ta szczęśliwie dostała się do Granowa, cóż się dzieje atoli w Granowie? Otóż listowy pisze na karcie: Miejsco-

wość Kakolewo nie znana, a pod tem figuruje nazwisko „Dobron.“ Tymczasem stwierdziłem, że urzędnik ten nie nazywa się Dobron lecz Dobroń i że jest Polakiem.

Konstatuję więc, że odnośny urzędnik wbrew urzędowo coś poświadczył, znał bowiem miejscowość Kąkolewo a także prawdopodobnie osobiście ...odbiorcę karty. Nie chcę mu dla tego czynić zarzutu, ponieważ tutaj poszczególny urzędnik żadnej winy nie ponosi, winien tu wyłącznie system, który ludzi w kierunku tego rodzaju nadużyć wychowuje.

A dalej, czyż nie jest śmiesznem, że Kościan, po niem. Kosten, w sąsiednim Grodzisku, w odległości 20 km., wogóle nie jest znany, gdzie przecież każde żydowskie czy niemieckie dziecko, które umie mówić, nazwę tę zna. Czyż to nie smutne, jeżeli biuro tłomaczeń owe osławione „unbekannt“ swą pieczęcią potwierdzi? Tak jest, M. P., te nazwy polskie tylko tym urzędnikom nie są znane, którzy nie chcą ich znać, lub tym, którym się wbrew lepszemu przekonaniu nakazuje, by nazw tych nie znali. Urzędnicy pocztowi powinni znać nietylko oficyalnie uznane nazwy, lecz także ogólnie używane.

(bardzo słusznie! u Polaków)

Jednostronne policyjne zestawienia nazw lub niedokładne spisy pocztowe nie powinny być wyłącznie miarodajne w obrocie publicznym i nie powinny stać się przyczyną, że niektórych listów i telegramów wogóle doręczać nie można.

I tak mam tu kopertę, nadesłaną mi przez pewnego księdza, którego nazwiska atoli nie wymienię; obawiam się bowiem, że pan ten dostałby w owej czarnej księdze a la Stephany, którą się u nas prowadzi, bardzo grubą kreskę pod swe nazwisko.

Do księdza tego udał się pewien właściciel drobnej posiadłości ziemskiej, mieszkający o cztery czy 5 mil od owej miejscowości, z prośbą o nadesłanie metryki. Ksiądz wystawia metrykę, pisze podany adres na kopertę, lecz cóż się dzieje? Otóż list wraca jako nie mogący być doręczony! Ksiądz tymczasem nie widzi żadnej drogi wyjścia z tej sytuacyi, ostatecznie wpada na pomysł i udaje się do odnośnego proboszcza z prośbą, by tenże adresatowi mieszkającemu w jego parafii, list doręczył.

Jakże mają znać nowe nazwy ci ludzie, którzy przed laty udali się na obczyznę!

Mam tu szczególnie emigrantów amerykańskich na uwadze, którzy przecież potrzebują metryk, świadectw ślubnych i śmierci, skoro np. chcą brać spadek albo ślub; tym ludziom wprost uniemożliwia się przesłanie listów na miejsce urodzenia. Właśnie prob. Steffen zwrócił mi uwagę na tę okoliczność, że wypadki takie zachodzą; albo czyż może p. sekretarz stanu przypuszczać, że ludzie ci w Brazylii lub Paranie pilnie czytywać będą poznański dziennik rejencyjny lub wyuczą się go na pamięć.

(wesołość)

To chyba jest niepodobieństwem! W takich warunkach jest wprost obowiązkiem administracyi pocztowej posyłać urzędników tam, gdzie jak najdodatniej działać mogą, powinna również postarać się o odpowiednie spisy nazw, które za czasów Dr. v. Stephana istniały, za przyczyną atoli sekretarza stanu v. Podbielskiego zniszczone zostały.

(bardzo słusznie! u Polaków)

Sprawę nazw miejscowości tak dokładnie omawiałem, ponieważ wobec teraźniejszego postępowania poczty nie mogę się wyzbyć obawy, że stosunki te wobec masowych chrztów staną się u nas jeszcze nieznośniejsze, jeżeli, czego atoli nie przypuszczam, administracya poczty i nadal uważać będzie za wytyczne zasady przyjęte przez p. Podbielskiego.

Taki sam los prześladuje także imiona i nazwiska nasze, sprawia nam to tem większą przykrość, ile że tutaj zapędy germanizacyjne wprost skierowane są przeciwko osobistości niemi dotkniętej. Mam na to dowody, że nawet listy rekomendowane wróciły jako nie mogące być doręczone li tylko dla tego, że imię odbiorcy w polskiem brzmieniu wypisane było, tak n. p. list z adresem: Jan Łęgowski, Foluszek bei Naymowo W/Pr., dalej Wawrzyn Ostrowski, Anielewo p. Naymowo W/Pr. Muszę niestety skonstatować, że naddyrekcya poczty w Poznaniu takie postępowanie urzędów pocztowych aprobowała, stoję atoli na stanowisku, że nie można przecież zawsze mieć świadectwa chrztu lub urodzenia w kieszeni, ażeby módz dowieść, że komuś Jan na imię a nie Johann. Doczekamy się ostatecznie stosunków wprost niemożliwych; i tak mam tu kopertę adresowaną do Szymona Wąsa, a na niej uwaga urzędnika pocztowego: Szymon Wąs nieznany, natomiast jest tu Simon Wons!

Pomyśli może kto, że tego rodzaju nadużycia zachodzą u nas tylko tu i owdzie, gdzież tam, potrzebuję tylko wskazać na najświeższy spis telefoniczny naddyrekcyi poczty w Poznaniu, gdzie polskie nazwiska rzędami z umysłu błędnie wydrukowane. Kresek nie ma prawie wcale, głoski ł, którą dużo polskich nazwisk się rozpoczyna, zupełnie nie uwzględniono; przyjrzyjmy się natomiast nazwisku Jaffé, to znajdziemy tam oczywiście kreskę nad e; nie brak też akcentu w słowie Hôtel i Kaisercafée, wszystko bardzo pięknie i dokładnie oddane,

(Wesołość)

lecz gdy chodzi o nazwiska polskie, drukarnia nie ma dostatecznych czcionek!

Jakże to pogodzić z akuratnością poczty, która tak subtelnie odczuwa różnicę między słowami: Jan i Johann?! Tem się nikt nie zgorszy, jeżeli polskie nazwiska figurują na liście w brzmieniu zupełnie zeszpeconem; skoro tylko wynika z adresu, że je ktoś zniemczyć usiłuje, listy bez wszystkiego doręczone bywają. Mogę tutaj przytoczyć jako przykład nazwisko Czarnecki, które na rozmaitych kopertach i pocztówkach w tak zeszpeconej formie oddane, że trudno mi uwierzyć w możliwość doręczenia ich; tak samo nazwisko Radziszewski, które przekręcono na Radziewoski i Bóg wie jak jeszcze.

Chciałbym teraz przytoczyć zajście z hr. Szembekową z Siemianic, której poczta nie chciała znać jako hr. Szembekową, lecz jako hr. Szembek. Wobec tego zamieściła hr. Sz. w „Dzien. Pozn.“ następujące ogłoszenie:

> Ponieważ na mocy rozporządzenia poczty niemieckiej w pierwszych dniach marca b. r. jako hr. Szembekowa (ku ogólnemu żalowi) istnieć przestałam, proszę znajomych moich, którzyby pomimo to do mnie pisać chcieli, by pod Szembekowa dodali „postlagernd.“ Do odbierania listów upoważniłam hr. Szembek.

Sprawa narobiła nieco hałasu, przyjechał więc nagle nadinspektor pocztowy, który hr. Szembekową znowu powołał do życia.

(Bardzo słusznie! wesołość.)

Z tego com powiedział można dojść jedynie do wniosku, że administracya poczty niesłusznie wywiera nacisk na ludność polską, ażeby się przyzwyczajała do niemczenia imion i nazwisk, oraz nazw miejscowości.

(Bardzo słusznie! u Polaków.)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Maryan Jastrzębiec.

Nim wzejdzie dzień...

Powieść na tle wypadków Królestwa Polskiego 1905 r.

2) (Ciąg dalszy.)

Patrzał w nią z uwielbieniem. Nie była ładna, ale bardzo świeża, bardzo wdzięczna, miała dużo słodyczy w wyrazie twarzy i ślicznych, szarych oczach, ale gdy uśmiechnęła się, stawała się wprost rozkoszną, dzięki ponętnym dołeczkom różowym i ząbkom drobnym, maleńkim, jak u dziecka. W tej chwili miała wyraz bardzo poważny i surowy.

— Nad zbawienie duszy nie można nikogo przekładać, nietylko narzeczonej, ale nawet ojca i matki.

— Kiedy ja ciebie kocham więcej niż matkę.

— To źle, Wacku.

— Więcej może nie. To moje drogie matczysko żyje tylko dla mnie i tyle wycierpiała zanim zrobiła ze mnie człowieka. Ale kocham ją inaczej. Gdy patrzę na matkę ogarnia mnie jakieś wzruszenie, rozczulenie, wdzięczność, jak gdy mi grają piosenki Moniuszki; przy tobie uczuwam siłę, ogień, potęgę, jak w muzyce Wagnera.

— Ty artysto!

— Tak ty, matka i muzyka to moja ukochana trójca!

— A kraj?... A te sprawy ojczyste dla których mówiłeś, pragniesz życie poświęcić? Stoją przed nami, czy po za nami?

— Te stanowią waszą atmosferę, którą objęte jesteście i ty i mama, a które muzyka jak i poezya przepełnia.

Nastała chwila milczenia.

— Ja to jestem jeszcze wielkie zero, szepnęła znowu panienka, jakby wstydząc się tego wyznania, ale ja się wyrobię przy tobie na dobrą obywatelkę kraju.

Stał nad wezgłowiem jej fotelu, topiąc wzrok w jej twarzyczce przechylonej ku niemu. Nie odpowiedział nic, tylko złożył długi pocałunek na jej czole. Nie broniła mu. Oderwał się na chwilę, objął oczyma jej wdzięczną twarzyczkę o zamkniętych oczach i rozchylonych wargach.

— Ustka, szepnął, daj mi raz ustek twoich, tej różanej czary, dotknąć.

Porwała się nagle i stanęła zmieszana.

— O nie, aż po ślubie! — szepnęła stłumionym przez bicie serca głosem.

— Proszę panienki pantofel, dało się słyszeć za jej plecami.

Zarumieniona, wzruszona wsuwała nóżkę w pantofel, obserwując ukradkiem nakrywającą stół Józię, czy nie wyczytała w wyrazie jej twarzy, że zauważyła sielankową scenę z przed chwili. Nachmurzona zwróciła się do narzeczonego, unikając jego wzroku:

— Będziesz pił kawę czy herbatę?

— Herbatę, jeśli łaska.

— Józia skocz po surową śmietankę.... Niegrzeczny jesteś, — gderała po odejściu dziewczyny, robiąc odąsaną minkę.

— Dlaczego?... Przecież tylko prosiłem. Toć i żebrakowi wolno prosić o jałmużnę. Odmówiłaś — przyjąłem z pokorą.

— A myślisz, że mnie jest miło odmówić ci takiej... odmówić ci czegokolwiek?

— Więc czemu odmawiasz?

— Bo niewolno. Ot widzisz i teraz na coś mnie mógł narazić! Byłaby nas Józia złapała na gorącym uczynku.

— I byłoby zgorszenie!

— A pewnie!

— Okropność!

— Bezwstydny!

Zasiadła do kawy, maczając w niej sucharek, co jej nadawało dziwnie dziecinny wyraz. Wacław pieścił ją oczyma, rozgrzewał dopomagając na wzór ciepłego wietrzyka rozwijaniu się miłości ze skromnego pączka w pyszną różę.

— Matki idą, rzucił nagle.

— W pokoju prowadzącym na werandę zaszumiały suknie i rozległa się rozmowa. Wacław podniósł się, idąc witać wchodzące panie. Pani Orczyńska, właścicielka Męcin, wysoka, siwa już zupełnie, twarz miała młodą, czerstwą, pełną pogody. Pani Jackowska, matka Wacława, stanowiła jej kontrast, drobna, blondynka, figurę miała młodej dziewczyny, ale twarz zwiędłą, steraną, choć ładną dla przepysznych oczu i wyrazu inteligencyi. Zadowolenie i niemy zachwyt odbił się na ich twarzach na widok młodej pary, witającej je z entuzyazmem.

— Jakżeż udało się polowanie? — pytała p. Orczyńska.

— Niech się lepiej ciocia nie pyta, — odparł Wacław. — Fiasco zupełne.

— Nie szkoda to zmarnowanej nocy? — odezwała się matka, siadając do stołu.

— Nie zmarnowałem jej, mateczko. Poznałem przynajmniej typ gajowego, polityk-patryota.

— Mój kum i przyjaciel, Szymocha! — odgadła rozpromieniona Wanda.

— Wprawdzie mi nawymyślał, ale ja.....

— Przyzwyczajony do tego, — skończyła panienka.

— Przez ciebie, tak, odciął się Wacek.

— Nie dokuczaj mu, Dusiu, może niedługo już będziemy go miały między sobą, rzekła p. Jackowska.

— Cóż znowu! — zaprotestowała gospodyni domu.

— Mówią na wszystkie strony, że dragoni łowiccy będą wysłani na plac boju.

— Że też do wszystkiego, com przeżyła, przybywa i to, że Wackowi wypadło odbywać powinność wojskową w okresie wojny. Ty, Izo, nie masz pojęcia jaka to wogóle troska mieć syna w wojsku, w warunkach jaknajgorszych dla ciała i dla duszy! Szczęśliwy Jaś, że go to minęło.

— Ale Tadzia, Genia i Wicia nie minie! westchnęła p. Orczyńska.

— Tadzia uratuje pewnie krótki wzrok, a zanim Genio i Wicio będą potrzebowali odbywać służbę wojskową, to będziemy już mieli nasze piękne dzielne wojsko, — zawołała Wanda.

— W którem ja będę jenerałem, dodał Wacek.

— A ja głównym dostawcą furażu, — zakończył nadchodzący w tej chwili Jan.

— Ten zawsze praktyczny, umie wybrać sobie dobrą cząstkę, zawołała p. Orczyńska, tuląc głowę najstarszego syna.

— Ha, trudno, żebym obiecywał, że się nauczę obowiązków wojskowych na stare lata, ale za to ręczę, że będę dostawiał uczciwy produkt i nie będę wchodził w konszachty z intendenturą.

— Bo też my będziemy mieli uczciwą intendenturę, nie stowarzyszenie złodziei i rabusiów, jak w Rosyi, odezwał się Wacław, — sprzedające popiół zamiast węgli, buty z tekturowemi podeszwami, mające na papierze olbrzymie zapasy w pustych magazynach.

— To tak jak głowy moich braci, — zawołała Wanda. — Wszyscy nam winszują, że nasi chłopcy tacy zdolni i mądrzy, a ja co zajrzę któremu do głowy, to widzę pustki, lub plewy.

— Ty zjadliwa żmijko! Fe... nie kocham ciebie!

— Ja wiem, że mamusia tylko chłopców i Anielkę kocha.

— Bo są zdala odemnie. Brak mi ich okropnie. Jedyne szczęśliwe chwile dla mnie są gdy zjadą na wakacye i chłopaki i Anielcia z mężem i z malutkim, wtedy jestem tak szczęśliwa, że żal mi tych kilku godzin, co w nocy prześpię, bo wtenczas nie zdaję sobie sprawy z tego jak mi dobrze na świecie.

— I dla tego na ten czas bierze mama Lubusia do swego pokoju, aby kilkakrotnem budzeniem w nocy skracał ją mamie, śmiał się Jan.

— Mój Boże, tak mało jest tych miesięcy, w których mam wszystkich drogich przy sobie!

— Na przyszły rok jeszcze Duchna cioci ubędzie, odezwał się z nieukrywanem zadowoleniem Wacław.

— Wolę nie myśleć o tem... Uciekasz, Dusiu?

Wanda, siedząca nawprost drzwi stołowego pokoju, ujrzała wchodzącą z kredensu służącą z jakimś papierem w ręku, zerwała się jak wiatr, dopadła do dziewczyny, wyrwała jej papier i obróciwszy ją nagle, wypchnęła z powrotem do kredensu.

— Co to jest?

— Telegram do panicza, do pana Wacława.

Rozerwała papier drżącemi rękoma i nagle zbladła jak płótno, schwyciła się za głowę, a potem bez słowa, bez jęku, zatoczyła się i padła na krzesło.

— Panieneczko! co panieneczce? Maryo Najświętsza! niech się panienka napije wody. Bronka biegnij po panią!

Wanda porwała się, otrzeźwiona odrazu.

— Nie, nie! Nie wołajcie nikogo! I niech nikt, nikt nie wie o depeszy. Rozumiecie? Niech Bóg broni! Ja sama o niej powiem.

— Ale posłaniec czeka na zapłatę.

Wyjęła kluczyk z kieszeni szlafroka.

— Weź z mego biurka, ile trzeba, a nie mów, nie mów nikomu.

Wsunęła depeszę do kieszeni i drżąca, trzymając się ściany, wyszła przez kuchnię do parku. Zaniedbanym, ciemnym szpalerem jaworowym, doszła do sadzawki zieloną pleśnią pokrytej. Siadła na wysokim darniowym brzegu, łokcie wsparła na kolanach, twarz ukryła w dłoniach i pozostała tak jak skamieniała, zastygła w jakimś wielkim, przechodzącym jej młode siły, bólu.

Otoczenie tchnęło spokojem i poezyą, jakaś słodka, upajająca cisza rozpostarła tęczowe skrzydła wśród krzewów jesiennem złotem usianych. Lekko kołysały się gibkie leszczyny, srebrzyły się nici pajęczyn, uwijały się ważki, *) roztaczając blask drogich kamieni, a w jej sercu rósł ból straszny, poczucie krzywdy i lęk przed widmem przyszłości, które wyłoniło się nagle czarne i odrażające.

Wacław nie mógł dosiedzieć po oddaleniu się narzeczonej, pod pretekstem wypalenia papierosa, wyszedł do parku, skierowując się do ulubionego przez nią miejsca nad sadzawką. Zdaleka już spostrzegł jej różową sukienkę, szedł więc wprost ku niej, omijając suche gałęzie, skradając się jak kot ostrożnie. Stanął tuż za nią — nie odsłoniła rąk z twarzy, usiadł obok — nie odczuła go jeszcze, dopiero, gdy złożył pocałunek na jej ręce, drgnęła i cofnęła się z przeraźliwym krzykiem.

— Duchna, przepraszam, przepraszam, nastraszyłem cię. Jaki ze mnie osieł, bałwan, tak cię przestraszyć, drżysz cała. No uspokój się, złota, jedyna, skarbie mój. No, Duchna, co tobie?

A Wanda po opanowaniu pierwszego wrażenia rzuciła mu się na piersi z gwałtownem łkaniem.

— Wanda, Wanduś, Dusienka moja, co tobie?

— Wezmą mi cię, wezmą na wojnę, na tę straszną wojnę!

Pobladł nagle.

— Skąd ci się to wzięło, Duchna?

— Ja tego nie przeżyję!

— Skąd masz tę pewność?

— Przyszła depesza od Zaremby, żebyś przyjeżdżał, bo wysyłają was na wschód. Przyjęłam depeszę — trzeba mamę przygotować. Patrz, masz.

Podała mu telegram.

— Gdy zobaczyłam na werandzie, że Józia niesie papier złożony w ten sposób, coś mnie tknęło, zerwałam się i odebrałam... Ah, Wacku, Wacku, taka straszna, taka bezlitośna wojna! I po co i za co?!

Nagle tknięta nową myślą, cofnęła się od niego. Twarz jej wyrażała silną determinacyę, tchnęła niespodziewaną u niej siłą.

— Uciekaj! zawołała, uciekaj! do granicy stąd blisko, naczelnik powiatu da kartkę na którego z naszych ludzi — przejedziesz... kto sprawdzi!... A nie, to w nocy, lasami. Wacuś, uciekaj, nie idź na tę wojnę!

— Nie mogę, Duchna, nie mogę!

— Przyjadę za tobą, pojadę z tobą, jeśli chcesz. Zamieszkamy w Galicyi, mama z nami. Uciekniesz, dobrze?

— Nie mogę, nie mogę!

— Co cię wstrzymuje? Ta marna przysięga złożona wrogowi? Czy ona może obowięzywać cię wobec Boga? Czy nie odstępujesz od niej na każdym kroku? Bo czy żyjesz i postępujesz tak, jak wiernemu słudze cara przystało? Wacek, czy ty się zastanowiłeś nad tem, co ciebie czeka? Ta mordercza wojna, te niewygody, klimat zabójczy! I czy zdajesz sobie sprawę z tego na co nas skazujesz, mamę i mnie? Wyobraź sobie te dnie, tygodnie, miesiące, w których będziemy zdawać sobie pytanie: czy żyje jeszcze?... Może ranny, może jaki szrapnel!...

I jakby jaki straszny obraz stał się nagle rzeczywistością, zakryła oczy rękami, a usta wykrzywiła okropnem przerażeniem. Ukląkł przy niej i odchylając ręce od jej twarzy, okrywał je pocałunkami.

— Duchno, toć nie wszyscy giną na wojnie.

— Te rany, te straszne rany, zadawane udoskonaloną bronią, powtarzała drżąc jak listek.

— Mam kolegów od ośmiu miesięcy na wojnie. Czeczot już w sześciu bitwach był i dotąd jednego draśnięcia nie ma na sobie.

— A tylu ginie, tylu zostaje kalekami na całe życie.

— Będziesz się za mnie modliła; modlitwa twoja będzie dla mnie puklerzem.

— Nie, ja się nie będę modliła za ciebie, jeżeli dobrowolnie pójdziesz na tę wojnę. Złorzeczyć będę!

— Dobrowolnie!...

— Tak, dobrowolnie! Bo możesz przecie uciekać!

Ujął jej ręce i przytulony do jej kolan mówił stłumionym głosem:

— Uciekać!... czy ty wiesz dziecko, co to znaczy uciec z wojska? To znaczy skazać się dobrowolnie na wygnanie. Wyrzec się tego kawałka ziemi, z takim mozołem utrzymanego przez ojca, a bardziej jeszcze przez owdowiałą matkę. Wyrzec się kraju swego.

— Polska to nie samo Królestwo, przerwała mu żywo. Mamy Galicyę, Wielkopolskę!...

— Tak, to wszystko nasza Ojczyzna, ale to są jej części, które znam tylko powierzchownie, które rozwijały się w obcych mi warunkach, w których ja nie umiałbym przez długi czas żyć pożytecznie. Tutejsze warunki znam, wiem co dla mnie, co dla ludu naszego jest pożytecznem, pożądanem, lub niebezpiecznem, tam przez czas długi byłbym gościem, naleciałością. Wiem jak bronić się przed Moskalem, wiem, jak uczyć naszego robotnika, wiem, do czego przyspasabiać naszę młodzież, tam musiałbym sam na każdem polu być uczniem. A przecież ta walka to jest ową atmosferą, bez której nie umiałbym żyć, która nie jest mi droższą od ciebie, od matki, ale która stanowi tło, na którem wasze drogie istoty tem konkretniej się zarysowują. Przenieś górala w doliny, mieszkańca wybrzeży morskich — do lasów; czy się przyzwyczai? czy będzie się czuł szczęśliwy? Tak i z nami jest. Przenieś koroniarza do Wielkopolski, lub wielkopolanina do Galicyi, o ile nie jest to zwyczajny „zjadacz chleba", będzie w ojczyźnie, a jednak wykolejony, nie dla różnych warunków bytu, ale dla różnych warunków walki.

— Walki! Pamiętaj, że przedewszystkiem przyjdzie ci teraz walczyć na placu boju za nie swoją sprawę i wrogi kraj.

— Tak, ale gdybym uszedł, na moje miejsce wezmą innego, a tu na naszem ciernistem polu będzie o jednego bojownika mniej. A czy myślisz, że tam w Mandżuryi, na leżach nie będzie pracy w bród? Toć tam naszego ludu moc; połowa ich zginie — może więcej, ale co wrócą, na długie lata muszą być rozsadnikami patryotyzmu wśród śpiącego dotąd ludu naszego. Nasz chłop, który wróci z wojny, zmarnowany, czy kaleka, nie powinien widzieć w sobie ofiary ślepego losu, ale musi wiedzieć, że ta wojna to był gwałt zadany jego osobowości narodowej, krzywda wyrządzona jemu, rodzinie i krajowi. Tam, gdy w dniach oczekiwania bitwy, wśród niewygód, głodu i niebezpieczeństw tęsknić będzie za swoim kątem, łatwiej go będzie nauczyć, że to za czem tęskni, to nietylko biała chata, ciepła izba, miska gorącego barszczu,

*) Rodzaj złotej, lśniącej muszki

nocleg wygodny, ale cała ta ziemia rodzinna, usiana takiemi białemi chatami, zamieszkała przez ludzi, mówiących tymże językiem, śpiewających takież piosnki, mających za sobą wspólną przeszłość historyczną, wojny, w których nie walczyło się podstępem i zdradą, wilczemi dołami i arkanami, ale siłą ramienia wzmocnionego wielkiem umiłowaniem zagrożonej ziemi rodzinnej. Ja chcę być z tych nauczycieli, bo obecna chwila, to mozolne burze wieczorne, które nauczą nas dużo i przygotują do pracy, gdy wzejdzie dzień. Chcę być z tych nauczycieli i dla tego nie mogę uciec.

Przygarnęła się do niego z ufnością.

— Niech ci Pan Bóg błogosławi i Matuchna Jego Najświętsza, ale co ja pocznę sama? Co ja pocznę?

— I ty znajdziesz szersze niż zwykle pole pracy narodowej. Rozejrzyj się — a znajdziesz.

III.

W salonie pani Anieli Poręckiej, starszej córki pani Orczyńskiej gwarno było i licznie. Zebrała się cała rodzina dla pożegnania, odjeżdżającego na Wschód Wacława.

Pani Orczyńska rozkoszowała się siedzącym na jej kolanach małym Lulusiem, od czasu do czasu spojrzenie pełne współczucia zwracając ku p. Jackowskiej, która jak smutny cień, wsunięta w głęboki fotel nie odrywała oczu od grupy młodzieży, otaczającej Tadeusza Orczyńskiego, który siedząc na stoliku rozprawiał z przejęciem i skupieniem. Był to młodzieniec lat dwudziestu pięciu, średniego wzrostu, o twarzy dziwnie poważnej i marzycielskiej, dużych rzęsach, któremi bawił się nieustannie i szramie między brwiami, nadającej mu wyraz poważny i marsowy.

Pani Aniela bujając się w fotelu na biegunach patrzała na niego z troską i miłością wielką.

— Ja się o ciebie boję, mówiła niskim, bardzo melodyjnym głosem. Nieraz, gdy obudzi mnie mały, długo nie mogę zasnąć, dręczona strasznem przypuszczeniem, że może w tej chwili żandarmi robią rewizyę w twoim pokoju, że cię wiozą do Cytadeli, badają...

— Qui ne risque rien.... zaczął Tadeusz tonem wykazującym umyślne bagatelizowanie sprawy.

Mój narodowcze, zawołał Zygmunt Poręcki, najdroższym skarbem narodowym jest mowa rodzinna, jeżeli więc komu, to tobie nie przystoi makaronizm.

— On powiedział tak umyślnie, na żarty, żywo ujęła się za bratem Wanda, mająca na równi z siostrą predylekcyę dla Tadeusza.

— Masz słuszność, Zygmuncie, glupie to nawyknienie, z czasów kiedy w przyzwoitym domu koniecznie francuska musiała obcierać polskie noski.

— Obcierano nam je też, obcierano, aż nam się wydłużyły do nieskończoności, odezwał się Wacław.

— To tylko po to, aby żony miały za co wygodnie swoich mężów wodzić, zawołała żywo Aniela, chwytając siedzącego obok męża za bujną czuprynę.

— Nie, po to, abyśmy łatwiej wywąchiwali niebezpieczne zamiary naszych nieprzyjaciół, mówił Tadeusz.

— Już to Polak nie potrafi nigdy być przebiegłym, odezwał się Zygmunt, lubiący drażnić młodzież.

— O panie Zygmuncie, zawołał Wacek, kto zetknął się z podziemną pracą naszych partyi, kto wie jak silnie i daleko rozpuszczają ramiona, kto wie, ile się już zdziałało, a zna przeszkody, z jakiemi walczyć musi, ten zapewnić może, że Polacy nauczyli się pomiędzy innemi i tej chytrości wężowej, zalecanej nam nawet przez pismo święte.

— Może kilku się nauczyło, ale bardzo niewielu.

— Niestety, trudno zaprzeczyć, że naród nasz, ogólnie biorąc jest niesłychanie niewyrobiony politycznie, odezwał się Tadeusz. Jestto nieubłagana konsekwencya stosowanego do nas systemu, nie pozwalającego przez lat tyle prasie na rozstrząsanie polityki innej nad zagraniczną; nie pozwalającej na żadne stowarzyszenia, wiece, zebrania, tłumiącego każdą myśl samodzielną. Znaliśmy najdrobniejsze szczegóły życia społecznego narodów całej Europy i innych części świata, nasze było nam zupełnie obce. Dlatego też, ci co zastanawiali się cokolwiek, co czuli potrzebę jakichś zmian i inowacyi, popełniali błędy kolosalne, chcąc wprowadzać porządki i reformy znakomite dla innych społeczeństw, nie dające się bynajmniej zastosować w naszem.

— A rezultat tego taki, odezwał się milczący dotąd Jan, że w ostatnich miesiącach lud wiejski okazał więcej dojrzałości politycznej niż inne warstwy społeczne. Bo on dojrzewał sam w sobie, a potrzeba okazała jego trzeźwemu, nieobałamuconemu niczem mózgowi, jasno i wyraźnie kierunek w jakim powinien dążyć. Dzięki temu kwestya przeprowadzenia zbiorowych żądań języka polskiego w gminie i szkole, tak nadspodziewanie pomyślnie się rozwija.

Tadeusz szarpnął wąsa i odrzucił dopalający się papieros.

— Pamiętaj, rzekł, że wasza praca jest o tyle łatwiejszą, że nie paraliżują jej socyaliści, którzy dotychczas bardzo słabą tylko sporadycznie wywierają presyę na ludność rolną..

Jan uśmiechnął się pobłażliwie.

— Powiedziałem to bynajmniej nie dla tego, żebym chciał dyskredytować waszą pracę nad ludnością wiejską. Oceniam jej doniosłość, trudność i doprawdy nadspodziewane rezultaty. Ambitny nie jestem szczególniej, gdy idzie o sprawy narodowe; czy ty pierwszy zawiśniesz na szubienicy, czy ja...

— Ah, Jaśku, jak ty możesz nawet żartować w ten sposób! zawołała pani Aniela, zrywając się z miejsca jakby już gotowa była biedz na pomoc bratu.

— Jeszcze wymówisz w złą godzinę, zabobonnie szepnęła Wanda, otaczając czule ramieniem szyję Tadeusza.

Chłopak śmiał się do rozpuku.

— Ot, tak będę wyglądał, zawołał, wywieszając język i zamykając oczy.

— Ty ohydo, szkaradniku! zawołała Wanda, zasłaniając twarz jego gazetą.

— A Wacek będzie właśnie odkomenderowany, żeby assystował przy mojej egzekucyi.

— Przyszlą mnie po to z Mandżuryi, rzekł ze smutnym uśmiechem Wacław, a czując, że wzmianką tą poruszył chwilowo uśpiony ból w sercu Wandy, ujął jej rękę i ucałował.

W tej chwili z wielkim hałasem wpadli do salonu Genio i Witold Orszyńscy, witali matkę i rodzeństwo odpychając się wzajemnie.

— Kolacyi jeszcze nie było? pytał Witold.

— Była, odrzekła z uśmiechem pani Aniela.

— Ojej! nie może być!

— Aleśmy dla was zostawili.

— Dziękuję za resztki!

— Ah, ten niemożliwy łakomiec, odezwał się Genio. Nie dał mi dokończyć fizyki, napędzając do pójścia, żebyście bez nas nie siedli do kolacyi.

— I możeś sam nie odrobił lekcyi? zapytała pani Orczyńska.

— O to może mateczka być spokojną, u mnie lekcye mają pierwsze miejsce, nawet przed panem Kiszkowskim herbu Żołądź. Ale bez żartów, przecież nie sposób, żebyście już zjedli kolacyę; dopiero kwadrans na dziewiątą.

— Proszę państwa do stołu, odezwała się w tej chwili pokojówka we drzwiach jadalni.

— Chwała Bogu, odetchnął Witold.

Wieczerza przeszła w ponurym nastroju, pomimo usiłowań mężczyzn uczynienia jej weselszą. Pani Jackowska i Wanda siedziały jak z krzyża zdjęte, a Wacław spoglądał to na jednę, to na drugą, to znowu na zegar i łzy połykał. Gdy wszyscy podnieśli się, aby znowu przejść do salonu, zatrzymał matkę serdecznym długim uściskiem.

— Matuchno, rzekł, proszę nie być tak zgnębioną. Przecież nie czytają jeszcze nademną wyroku śmierci. Zobaczy mama, w pierwszej bitwie poddam się Japończykom, a w kilka tygodni potem otrzyma mateczka moją fotografkę u stóp jakiej giejszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dwudziestoośmioletnie wygnanie

czyli

ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.

Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

8)

(Ciąg dalszy.)

Słowem, żaden lekarz, oddany ludzkości lub kieszeni, nie odwiedzał swoich pacyentów z taką gorliwością, z jaką ja o wszystkich chorobach i trupach dowiadywałem się, i nie zważając na to, że to trwało blisko trzy miesiące, wszędzie i zawsze, czego szukałem, nie znalazłem.

Ale czas wam nareszcie powiedzieć, czego ja szukałem. Oto chciałem znaleść mojej płci trupa, wiekiem i wzrostem do mnie zbliżonego, i gdy go pochowają dobyć sekretnie, przywieść do domu, ubrać w moje suknie, roztrzaskać mu głowę kilkoma wystrzałami w piwnicy, oblać krwią świeżą na to przygotowaną, a samemu schować się w domu. Żona zaś o tym nieszczęśliwym wypadku miała zawiadomić władzę, słowem, tak wszystło urządzić, aby upewniona władza o mojem samobójstwie, najmniejszego podejrzenia, że ja żyję, mieć nie mogła.

Że zaś Albina oczekiwała słabości w lutym, do którego tylko cztery miesiące zostawało, a doświadczenie nas nauczyło, że trzechmiesięczne poszukiwania trupa okazały się bezskuteczne, postanowiliśmy przeto przemienić plan. Lecz po wyrachowaniu tego nowego planu, póki władza miejscowa zda o tem raport, póki z Petersburga przyszlą mej żonie pozwolenie na wyjazd, aby nie przyszło jej odbyć słabości w Uralsku, a tem samem narodzone dziecię znów klimatowi poświęcić, uradziliśmy przystąpić do niego natychmiast.

W dniu przeto 21-go listopada, 1839 roku, przygotowałem list w języku francuskim, do atamana pułkownika Każewnikowa; dla tego zaś po francusku, że on polskiego nie znał, a ja po rosyjsku wówczas jeszcze nie umiałem.

Oto treść tego listu:

Panie pułkowniku!

„Odbierając sobie życie, nie dbam zupełnie o opinię ogółu, a w szczególności mniej zważam na tych, którzy czyn mój lekkomyślności przypiszą. Wiem, że mało kto zastanowi się nad zagłębieniem prawdziwej przyczyny, która doprowadziła mię do tego ostatecznego kroku, do zbrodni! Boleść i rozpacz do najwyższego posunięte stopnia, nie dozwoliły mi dłużej być opiekunem żony mojej, która dla mnie poświęciła całe swoje życie; lecz prosząc cię o pretekcyą dla niej, chcę ci opisać rzecz całą.

„Opuszczając kraj mój, opuszczałem zarazem narzeczoną, której nie miałem już nadziei zobaczyć, a tem więcej nazwać ją moją żoną. Ale prawdziwa miłość i przywiązanie wiele może. Młoda, bo zaledwie 18 lat licząca, ta nieoceniona kobieta, nie zważając na niebezpieczeństwa i trudy tak wielkiej podróży, przyjechała tutaj, aby i na wygnaniu dzielić los mój, ale za całe poświęcenie maje, cóż znalazła? oto w nagrodę? największe przykrości i udręczenia, które jej życie uczyniło nieznośnem. Od czterech lat już pozostaję w służbie, a dotąd nie czytano mi dekretu. W czasie pobytu gubernatora Parowskiego w Uralsku, żona moja udała się z prośbą do niego, powierzając mu naszą przyszłość. Po upływie roku podała prośbę do cesarzowej, a rodzice nas obojga nie szczędzili starań; podawali prośby do cesarza, żony jego i następcy tronu, prosząc o tę jedyną łaskę, aby mię uwolniono ze służby żołnierskiej, a dozwolono mieszkać w Rosyi prywatnie, byle w innej okolicy, gdyż klimat tutejszy nie jest znośnym dla mojej żony i dziecka. Wiedziałem, że z rozkazu i pozwolenia cesarza każdy Polak ma prawo udać się za urlopem do ojczyzny, dla uregulowania swoich interesów. Przed kilkoma miesiącami pisaliśmy do gubernatora o udzielenie nam tegoż pozwolenia. Tam przyjechawszy, umyśliłem prosić żony, aby pozostała przy familii, sam zaś miałem wrócić i oczekiwać lepszego losu, ale niestety! wszystkiego nam odmówiono.

Jak widzisz pułkowniku, że nie zostało mi żadnej nadziei; położenie moje z każdym dniem staje się okropniejszem, a myśl, że ta, która mię kocha, przezemnie jest nieszczęśliwą, zabija mię i nie wiąże do życia. Zastanowiwszy się nad tem wszystkiem, postanowiłem przez śmierć moją uwolnić ją od tych udręczeń, cios zaś ten, jaki ją spotka, jeżeli przeżyje, to boleść jej powinna ukoić się na łonie rodziny; żeby zaś uchronić ją od widoku mego po śmierci, postanowiłem rzucić się w nurty Uralu, co gdy nastąpi, błagam cię pułkowniku, chciej udzielić tej nieszczeźliwej kobiecie swojej opieki, na którą ze wszech miar zasłużyła. Jeżeli zdrowie jej pozwoli, namów ją pan do opuszczenia tych stron, tem prędzej, że stan, w jakim się znajduje, wymaga starania i opieki rodziny.

„Ufam, że życzenia moje spełnione będą, dla tego śmielej i odważniej do przedsięwzięcia mego przystępuję“.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Mieszkanie przez nas zajmowane, składało się z przedpokoju, sali, sypialnego pokoju i malutkiego o jednem oknie gabineciku. Naumyślnie dom ten wybrałem, ażeby obok innych dogodności miał i tę najgłówniejszą, że właściciel onego kozak Popów, naznaczony na trzechletnią służbę na Kaukaz, zostawił mi tę przynajmniej pewność, że mię kiedy mu się podoba z domu nie wyruguje. Podówczas bowiem pomiędzy Uralcami, umową nie miała najmniejszego znaczenia, można ją było zmienić każdej chwili.

Po napisaniu listu do atamana, zapieczętowałem go czarną pieczęcią, i poszedlszy do Albiny, w głębokiem zamyśleniu na kanapie siędzącej, zawołałem:

— No! moja kochana żono, z mojej strony wszystko gotowe!...

— Gotowe — żałośnym powtórzyła głosem. — Boże mój, co to jutro z nami będzie!...

A po chwili namysłu dodała:

— Czekaj mój drogi, poradzimy się naprzód Boga, albowiem od niego zaczynać należy!

To mówiąc, wzięła ze stolika książkę do nabożeństwa: Tomasza z Kempis, uklękła przed wizerunkiem Zbawiciela, ścisnęła ją w swych rękach jeszcze nierozłożoną, i wzniósłszy oczy do Boga, gorąco się modliła.

Ja byłem wzruszony! Stojąc na boku, patrzałem na nią z taką czcią i uszanowaniem, jakie się nadziemskim tylko istotom należą. Bo i rzeczywiście, jeżeli który z moich czytelników doświadczy kiedyś tak świętego uczucia, jakiegom ja wtedy doznał, to się przekona, że nigdy ukochana kobieta, nie wydaje się uczciwemu człowiekowi tak drogą i piękną, jak wówczas, gdy się modli. W jej upokorzonej postaci, złożonych rękach i wzniesionej twarzy jest coś anielskiego; lecz jeżeli do tego wszystakiego przyłączy się to przekonanie, że ta kobieta modli się za siebie i za przedmiot, który z woli Boga pokochała, to tak miło ci się robi, jak gdybyś widział anioła stróża, nad sobą w każdej chwili czuwającego. Tak było i ze mną. Byłem pewny, że modły tego chodzącego anioła lepszą przyszłość nam zapowiadają.

Tak na modlitwie nie przeszło i parę minut, gdy Albina dotąd ściśniętą księgę raptem otworzyła, i na stronnicy 64 księgi 1. rozdziału 22. pod Nr. 5, następne słowa wyczytała:

„Po co chcesz odkładać do jutra przedsięwzięcie swoje? powstań, zaczynaj natychmiast i mów. Teraz jest czas do działania, teraz czas do walczenia, teraz czas sposobny do porawy. Jeżeli się źle czujesz i strapienie cię uciska, teraz jest czas także do zasługi. Potrzeba ci przechodzić przez ogień i wodę, nim się do ochłody dostaniesz!“

Niech sobie więc każdy wyobrazi, cośmy oboje uczuli, przeczytawszy te słowa! One jakby widocznie z woli Boga pochodzące, przejęły nas największą skruchą i wdzięcznością dla Niego!

Nie jest to tajno nikomu, że pragnąc czegoś, zdaje nam się w najdrobniejszych, a nawet nic nie znaczących okolicznościach, jakieś sprzyjanie naszym planom upatrzeć: słowa, które dwojako tłumaczyć można, proste frazesa, wiatr dmący w jedną stronę, jednostajny turkot warsztatu lub machiny, głos nawet monotonnie bijących dzwonów, słowem, wszystko to choć się i opiera, gwałtem wleczemy za sobą; tak i tu, po odczytaniu powyżej cytowanych słów przez Albinę, skierowaliśmy na naszą stronę, i byliśmy prawie pewni, że sama Opatrzność sprzyja naszym zamiarom.

Przejęty więc, jak powiedziałem, największą skruchą, upadłem obok Albiny na kolana, i korząc się przed boskim majestatem, zawołałem:

— Boże! coś świat z miłością i nieszczęściem stworzył prawie w jednej chwili, błogosław nam w naszych zamiarach! dozwól nam bez najmniejszego szemrania, znieść za-

powiedziany ogień i wodę! ztamtąd niech się wzniosą nasze dziękczynne pienia, Twoją łaskę i wielkość ogłaszające! My zaś, cóż Ci ofiarować możemy? nic zaiste! prócz przyrzeczeń, że zbierając kwiaty z wiosny życia naszego, wierzyć i zdobić będziemy niemi Twoje ołtarze!

Wspomniony gabinet był tak niewielki, że prócz malutkiego pod oknem stolika i dwóch krzeseł obok niego stojących, nic nie było. Do niego udałem się po ukończeniu powyższej modlitwy, pokryłem stolik czarnym suknem, zasłoniłem okno takiegoż koloru chustką, postawiłem na stole krucyfiks, położyłem u stóp jego trupią głowę, na lewym brzegu stolika dużą księgę, na prawym arkusz zapisanego papieru, w środku kałamarz z wetkniętem piórem, i list z czarną pieczęcią, dodajcie do tego dwie nizutkie, stojące zapalone lampy, z których niejednostajny a coraz większy lub mniejszy blask wychodził. Blask ten nierówny, oświecając ściany i inne tam będące przedmioty, przedstawiał jakiś czarodziejski, a zarazem i straszny widok. Do tak przygotowanego naumyślnie, dla lepszego wrażenia, pokoiku, przywołałem Magdusię.

Magdalena Zakrzewska, była to małego wzrostu osóbka. Zapadła między ramionami głowa, garb na plecach dość duży i 38 lat skończonych, nie dawały już żadnej nadziei, aby kiedyś wyrosła.

Urodzona w Galicyi na wsi, od dzieciństwa prawie była wzięta do dworu, i żonę moją na rękach nosiła. Ztąd to ocierając się ciągle koło panów i pochodząc prócz tego z krwi podupadłej szlachty czynszowej, nauczyła się myśleć po dworsku, i dworskim wyrażała się językiem, obdarzona prócz tego zdrowym i naturalnym rozsądkiem, często dość trafnie, dowcipnie i gruntownie o rzeczach sądziła. Dodajmy do tego jeszcze złośliwość i ostrość języka, które w zamian za upośledzenie siebie od natury odebrała, nienawiść przytem i zemstę, jakiemi do całej ludzkości oddychała, że będąc upośledzoną i monstrualną, wyrzutkiem społeczeństwa być się sądziła, dalej stan jej panieński, tyle kwasu i nieukontentowania sam z siebie przynoszący, zresztą znajomość na pamięć mnóstwa godzinek i litanii, do których od dzieciństwa bywała używaną, nakoniec systemaczne zażywanie tabaki, słowem, zbierzmy, to wszystko i zlejmy w jedną malutką istotę, a będziemy mieli obraz Magdusi, którą tak zdrobniale do dziś dnia nazywają.

Albina wyjeżdżając z Galicyi do Uralska, dla tego ją a nie inną wzięła z sobą, raz, że ona sobie tego życzyła, powtóre, że inną niezasłużenie pozbawiłaby ojczyzny, a po trzecie, że każda inna wyszłaby niezawodnie za mąż za którego z naszych wiarusów, i Albina zostałaby się bez sługi.

Gdy przywołana przezemnie Magdusia weszła do tego pokoju, spostrzegła takie przygotowanie, zmięszała się widocznie i z przestrachu cofnęła się o parę kroków.

Lecz ja zawołałem:

— Nie lękaj się Magdusiu! rzecz, którą ci objawię, jest wielkiej wagi, lecz wprzód się o niej nie dowiesz, póki nie przysięgniesz, że jej nikomu nie powiesz. Oto jest panna Albina, (tak ją zwykle nazywała) jej więc szczęście, moje i twoje tej przysięgi wymaga. Jeżeli więc godzisz się z nią, powierzę ci tajemnicę, która nam wszystkim lepszą przyszłość zapewni.

Magdusia nie namyślając się, rzekła:

— Dobrze panie! ja dla państwa wszystko zrobić gotowa jestem, i przekonaną jestem, że nic odemnie takiego wymagać nie będziecie, co by się Bogu nie podobało.

—Słusznie mówisz Magdusiu — odezwała się Albina — zaufanie twoje w nas jest sprawiedliwe, dusza twoja nie będzie potępioną, i Bóg nie odmówi ci błogosławieństwa, jeżeli przysiągłszy na tajemnicę, zachowasz ją u siebie.

— A zatem, czy zgadzasz się na to? — zapytałem.

— Zgadzam! — odpowiedziała.

— Dobrze więc, przystąp bliżej, uklęknij przed tym Bogiem, połóż dwa palce prawej ręki na tej ewangelii, i słuchając z uwagą każde słowo przezemnie wyrzeczone, na głos powtarzaj.

I wziąwszy papier, na głos czytałem:

— „Ja, Magdalena Zakrzewska, przysięgam Panu Bogu wszechmogącemu, w Trójcy świętej jedynemu, Najświętszej Pannie i wszystkim świętym, że tajemnicy mającej mi być powierzonej, nikomu nie powiem, nie zdradzę, ani znakami, że wiem, nie wydam; w przeciwnym razie, niech zemsta sprawiedliwie zagniewanego Boga ściga mnie wszędzie, niech dusza moja na wieki potępiona będzie. i niech nigdy jasności boskiej nie ogląda. Tak mi dopomóż i niewinna Syna twego męko, Amen!“

Po tej ceremonii, panna Zakrzewska dowiedziawszy się o co rzecz idzie, i podpisawszy przysięgę, odeszła. Ja zaś po jej wyjściu, papier z przysięgą spaliłem.

Zostawała nam jeszcze jedna okoliczność wprzód do załatwienia, nim list mój miał być oddany atamanowi. A okoliczność ta tem była trudniejsza, że zamiary nasze trzeba było powierzyć jeszcze jednej osobie, tą zaś była kobieta ruska, Uralka!

Długo z żoną moją naradzaliśmy się, czy przypuszczenie jej do sekretu, więcej nam dobrego, lub złego przyniesie. Lecz postanowiliśmy, że zakomunikowanie jej, stało się nieodzownem. W tym przeto celu posłałem Magdusię, aby poprosiła do nas panią Maryę.

Część druga.

Pani Marya, była to młoda, bo zaledwie szesnastą wiosnę kończąca osoba. Wówczas, kiedy ja do Uralska przybyłem i ją poznałem, od lat trzech powróciła ona z Petersburga z matką swoją, gdzie przez lat trzy, wraz ze swoim ojcem w służbie tam będącym, mieszkała. Męża i ojca pochowano w Petersburgu, a one obie wróciły do Uralska.

W czasie ich bytności w Petersburgu, przypatrzyły się one tamecznym zwyczajom, które, że były całkiem przeciwne uralskim, po powrocie przeto one pierwsze z uralskich kobiet rzuciły stroje i zwyczaje przodków, przebrały się po europejsku, i przyjęły europejskie zwyczaje. Uralcy widząc taką reformę w ich życiu, małym Piotrem w spodniach je nazywali.

Trafiło się, że zakorzeniałe, stare Uralki, widząc przez ulicę pod parasolkami lub w kapeluszach idące, twrzyły nieznacznie znak krzyża świętego, i zatykając sobie uszy rękami swoich szarafanów, nazywały je pomiędzy sobą po cichu „przeklętemi odszczepieńcami“. Dla wyższej zaś klasy były one z początku przedmiotem pokątnych szemrań, następnie zbliżania się, a później naśladować je zaczęto. Nic przeto dziwnego, że obie te reformatorki, mieszkając podówczas pomiędzy taką dziczą, pragnęły lepszego towarzystwa, a że go tylko pomiędzy zesłanymi tu Polakami znalazły, mile ich przeto u siebie przyjmowały. W szczególności zaś córka, młoda Marya, pobierając od nich nauki, i kształcąc się, przywiązała się do naszych zasad, przejęła się naszemi zwyczajami, i prawie mówiła i myślała po naszemu. Gdy do Uralska przybyłem, dawałem jej lekcye języka francuskiego, lecz z przyjazdu Albiny nikt po mnie nie był tyle, ile ona uszczęśliwioną, gdy wstęp jej do mego domu obecnością mojej żony był upoważniony.

Ta tedy panna Marya, w trzy miesiące po naszym ślubie, wyszła za mąż i mieszkała w naszem sąsiedztwie, i chociaż mąż jej będąc najzaciętszym wrogiem Polaków, za to jedynie, że mu tam gdzieś uciekającemu w czasie naszej wojny skórę na płocie wytrzepali, gniewał się na nią, że u nas bywa, chęć jednak widzenia jej wykształconą, przez szpary mu na to patrzyć kazała. Ztąd to dobra Marya po całych dniach u nas z robotą przesiadywała, i najszczęśliwszą w naszem towarzystwie bywała.

Zrywać więc z nią po mojej mniemanej śmierci tak ścisłe stosunki, bez żadnej dobrej przyczyny, byłoby nietylko nierozsądnie, ale nawet i niebezpiecznie. Raptowne bowiem takie zerwanie, wprowadziłoby całe miasto w podejrzenie; przyjmować ją zaś tak jak dotąd, a nie zrobić uczestniczką sekretu, było by jedno, co i narażać moją żonę na ciągłe maskowanie się przed nią, i mnie na całodzienne, a najnieznośniejsze ukrywanie się w domu.

Jednem słowem, jedno drugiemu ustąpić musiało, i albo zaniechać przedsięwziętego planu, albo przystąpiwszy do niego, powierzyć go także i Maryi. Tego więc ostatniego środka tem więcej chwycić się postanowiliśmy, że pewni jej charakteru i przywiązania do nas, liczyliśmy na to, że ona, jako żona urzędnika, wyższe miejsce w kancelaryi wojskowej zajmującego, może dowiedzieć się od niego o urządzeniach względem nas zapadłych, i nas o nich uprzedzić; bytnością zaś w domu naszym usunie wszelkie podejrzenie, jakieby miasto, że ja się w domu ukrywam, powziąć mogło.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

23) (Ciąg dalszy.)

— Teraz jesteś panią twej woli, — szepnęła, — i możesz zostać jego żoną?

— Cicho, na Boga! — odpowiedziała Nora. — Ja i tak już myślę więcej o nim, niż powinnam. Właściwie powinnam się zajmować tylko tym nieszczęśliwym, który tak okropną zginął śmiercią!

Lucyan tymczasem męczył się daremnie pytaniem, kto zbrodnię tę mógł popełnić! Dla kradzieży nie zamordowano hrabiego, bo wszystkie kosztowności, jakie miał na sobie, pozostały nietknięte, więc dla czego? I nagle przyszedł mu na myśl ów zamach na życie Nory, przed kilku tygodniami. Kto chciał ją zamordować, w jakim celu? Obydwa te wypadki były stanowczo w styczności z sobą, a powodem ich mogła być tylko zemsta — i to go niezmiernie przerażało. O chęć zagarnięcia majątku Nory nie mógł przecież nikogo podejrzywać!

Rozdział 8.

Już słońce ukazywało się na niebie, gdy do pałacu przybył dyrektor policyi w zastępstwie prokuratora z lekarzem sądowym i sędzią śledczym — panem Anatolem Latour. Anatol niezmiernie był wzruszony śmiercią hrabiego, którego szczerze lubił, a gdy się dowiedział o strasznej jego śmierci, powziął natychmiast pewne podejrzenie co do mordercy.

Komisarz złożył mu swe sprawozdanie, a on słuchał go uważnie, z groźnie zmarszczonem czołem.

— Więc doktor Darby był jednym z najpierwszych, — rzekł — którzy tu przybyli. On sam stwierdził śmierć hrabiego?

— Tak jest.

Anatol zamyślił się na chwilę.

— Dobrze, — rzekł nakoniec,— teraz ja pójdę i obejrzę ciało, a potem przesłucham świadków. Pan doktor Bardel pójdzie ze mną!

Doktor sądowy Bardel rozmawiał z Lucyanem, lecz na wezwanie Anatola poszedł natychmiast za nim.

Na widok trupa i okropnej rany na szyi zbladł Anatol jak ściana.

— Biedny przyjacielu, — szepnął, — nie spodziewałem się wczoraj, że cię ujrzę dziś tak okrutnie zamordowanym, ale ja cię pomszczę!

Pan Penisset, zastępca prokuratora, zbliżył się do niego.

— Podczas kiedy lekarz zbada rany zmarłego, — rzekł, — możemy przesłuchać świadków.

— Zgoda.

— Sprawa ta wydaje mi się dosyć zawikłaną i niejasną.

— Kto wie, — odpowiedział Anatol, wracając z panem Penisset do saloniku, w którym popełniono morderstwo, — trzeba nam się tylko zręcznie zabrać do rozjaśnienia wszystkiego! Pani hrabina Noirville była pierwszą, która tę zbrodnię odkryła, musimy się więc najpierw udać do niej!

Kilka minut później znalazła się Nora wobec obydwóch urzędników.

— Ah, to pan Latour! — zawołała, poznając sędziego.

— Tak pani! Wczoraj byłem tu gościem, dziś przybywam jako urzędnik i proszę mnie tylko jako takiego uważać! — brzmiała składna jego odpowiedź.

— Cieszę się, że zadanie odkrycia winowajcy właśnie panu powierzono, bo pan zapewne gorliwiej, niż każdy inny zajmiesz się tą sprawą.

— O tem możesz pani być jak najmocniej przekonaną!

Nora była spokojną, nie płakała, nie rzucała się i mimowoli potwierdzała swem zachowaniem się coraz więcej podejrzenie Anatola.

Widoć było po niej przerażenie, ale smutku — zgoła nic!

— Śmierć Gastona wróciła jej wolność, — pomyślał Anatol, — ona cieszy się z tego, nie umie jeszcze dosyć dobrze odgrywać swej roli. Proszę pani, — rzekł głośno, — powiedz nam wszystko, o czem wiesz — od samego początku!

— Ależ ja wiem bardzo mało i powiedziałem to już komisarzowi.

— Muszę pani prosić o powtórzenie zeznania.

Nora zmieszała się i zaniepokoiła nagle. Co miały znaczyć te pytania i surowy ton sędziego? Nikt w życiu jeszcze tak do niej nie przemawiał!

— Jeżeli pani mówić nie chcesz, — odezwał się Anatol teraz nieco łagodniej, to ja zadam ci kilka pytań. Byłaś pani w swoim pokoju, gdy hrabia został zamordowanym?

— Tak!

— Zupełnie samą?

— Tak, pani Beaumont i Helenka właśnie odeszły...

— Bezpośrednio przed tem?

— Nie wiem dokładnie.... może kilka minut....

— Co pani robiłaś po ich odejściu?

— Modliłam się.

— Gdzie był mąż pani?

— Nie wiem, myślę ,że w swoim pokoju.

— Nie słyszałaś pani jakiego hałasu, lub chociaż szelestu w saloniku?

— Nie — to jest, zamykając okno, słyszałam, jak hrabia.... mąż mój wchodził do saloniku....

— Ah, to okno było otwarte?

Nora mieszała się coraz więcej. Sędzia badał ją, jak oskarżoną!

— Tak, — szepnęła, — chciałam odetchnąć na chwilę świeżem powietrzem...

— Czy okno to wychodzi na ulicę?

— Tak!

— Nie widziałaś pani nikogo na ulicy?

— Nie!

— Po co ona otwierała okno? — pomyślał Anatol i dodał zaraz głośno: — A usłyszawszy, że ktoś nodchodzi, zamknęłaś pani okno, nieprawdaż?

— Tak!

— I cóż potem?

— Potem modliłam się, i nagle zdawało mi się, że słyszę cichy jęk w saloniku...

— I pobiegłaś pani zaraz, aby zobaczyć, co się tam dzieje?

— Nie, zaraz nie...

— Czemu? Na co pani czekałaś?

— Na nic, lecz bałam się, nie miałam odwagi wejść tam, i słuchałam, czy jęk nie powtórzy się...

— Jak długo czekałaś pani?

— Nie wiem, może minutę, może kilka minut, byłam tak przerażoną ciszą, jaka po tym jęku nastąpiła...

— A może miałaś pani jakie przeczucie nieszczęścia?

— Może być, — odrzekła Nora spokojnie, nie domyślając się, jaką ironią zamierało to pytanie Anatola. — Weszłam potem do saloniku i ujrzałam...

— Ujrzałaś pani ciało hrabiego i nic więcej, naturalnie!

— Nic więcej!

— Nie mogło być inaczej. Bo podczas kiedy pani wahałaś się, czy wejść do saloniku, czy nie, miał morderca dosyć czasu do ucieczki.

Nora milczała. Nie rozumiała dobrze, co słowa te miały znaczyć, ale zrozumiał je dyrektor policyi. Z prawdziwem współczuciem spojrzał na młodą kobietę, a pochylając się do sędziego, szepnął mu do ucha:

— Czy pan podejrzywasz hrabinę o.......

— A pan? — odrzekł równie cicho Anatol.

— Muszę przyznać niestety, że odpowiedzi jej i całe zachowanie się jest nieco dziwnem.

Rozdział 9.

— A więc, — odezwał się teraz Anatol wolno i poważnie, — zamiast pospieszyć na wołanie nieszczęśliwego z pomocą, czekałaś jeszcze w swoim pokoju?

— On nie wołał przecież, a zresztą byłam, jak już panu mówiłam, tak przerażoną, że nie mogłam się ruszyć z miejsca!

— Musisz mi pani przyznać, że to jest bardzo dziwnem, i trzeba nam wrócić jeszcze do niektórych szczegółów, bo w zeznawaniu pani dużo jest punktów nieprawdopodobnych!

— Co to ma znaczyć? — zawołała Nora przerażona.

— Przedewszystkiem to, że uważam za niemożliwe, abyś pani nie była miała słyszeć nic więcej, jak cichy jęk hrabiego. Morderca ugodził go dwa razy, musiałaś pani więc widzieć go lub słyszeć, gdy uciekał!

— Uwaga pana jest słuszną, lecz przysięgam, że....

Urzędnicy spojrzeli na siebie znacząco i czoło dyrektora zachmurzyło się znowu.

— Kto przyszedł pierwszy na miejsce zbrodni? — zaczął po chwili Anatol.

— Aleksander, kamerdyner hrabiego... mego męża, potem pani Beaumont i jej córka, a w końcu reszta służby i Lucyan, to jest, doktor Darby.

— Pani go znasz

— Tak! — szepnęła Nora, rumieniąc się.

Urzędnicy zauważyli to.

— Jakże się to stało, że pan Darby usłyszał wołanie pani i przybiegł na pomoc? Czy znajdował się tu w pałacu?

— O nie!

— Ale usłyszał wołanie pani?

— Naturalnie, że musiał je słyszeć!

— Więc pani nie posłała po niego?

— Ja nie, chybo kto z służby... ale ja o tem nie wiem!

Nora siedziała jak na torturach. Pytania sędziego męczyły ją i przerażały zarazem i teraz stawiała sobie sama pytanie, zkąd się tu właściwie wziął Lucyan. Dotychczas wcale jeszcze o tem nie myślała. Przeczuwała, że chciał ją może zobaczyć po raz ostatni, ale tego sędziemu powiedzieć nie mogła. To też odpowiedzi jej zaczęły się stawać niejasne i mogły zadziwić każdego, chociaż najmniej podejrzliwego człowieka.

— Może on właśnie tędy przechodził, — pytał dalej Anatol.

— Ach, ja nie wiem tego, — zawołała Nora z łzami w oczach.

— Mieszka on tu w pobliżu?

Nora milczała.

— Proszę, mi odpowiedzieć, — zawołał Anatol ostro.

— Nie, to jest, ja nie wiem... — wyjąkała, wstrzymując z trudnością łzy.

— Widzę, że pani nie chcesz lub nie możesz mi powiedzieć więcej, — rzekł Anatol, — udaj się pani teraz na spoczynek, później zobaczymy się jeszcze.

Po wyjściu Nory zwrócił się Anatol do dyrektora.

— No, i cóż pan myślisz — rzekł.

— Sam nie wiem, ale muszę przyznać, że hrabina nie robi wrażenia niewinnej, — odpowiedział dyrektor.

— I ja tak samo mówię. Wiem, że nie kochała hrabiego i że została żoną jego tylko z woli ojca. Ona kocha doktora Darby!

— Nie może być!

— Tak jest, wiedziałem o tem już wczoraj. Byłem przecież obecnym przy podpisywaniu kontraktu ślubnego i obserwowałem uważnie narzeczoną.

I udzielił mu sumiennie wszystkich swoich spostrzeżeń z dnia poprzedniego, czem jeszcze więcej potwierdził podejrzenia dyrektora policyi.

— A ponieważ nie chodziło tu o kradzież, — odezwał się sekretarz, — przeto musiał być inny powód morderstwa.

— Panna Garrel nienawidziła hrabiego, — powtórzył Anatol.

— Ale to niemożliwe, aby słaba ręka kobiety mogła zadać tak straszliwe rany! Musiały by też być ślady krwi na sukni!

— To też hrabina sama nie popełniła tego morderstwa, tylko doktor Darby, ona go tylko namówiła do tego i ułatwiła mu ucieczkę! Słysząc przecież jęk w przedpokoju, powinna była iść tam zaraz, a nie czekać, aż morderca ucieknie! Mówi to tylko dla tego, aby nas przekonać, że nie widziała zbrodniarza!

— Może być, ale na to wszystko potrzeba nam dowodów!

— Będziemy ich mieć dosyć! Każ pan teraz przywołać tu doktora Darby.

ROZDZIAŁ 10.

Ciekawy jestem, co on powie, — rzekł dyrektor policyi. — Wolałbym jednak, aby tu chodziło o morderstwo w celu kradzieży.

— Ja także! Ale trzeba brać rzecz ostro i dokładnie. mój biedny przyjaciel musi być pomszczony!

— Tak, musimy spełnić nasz obowiązek. Czy przecież możliwe, aby taka młoda, piękna kobieta, z takiej familii, miała być w zmowie z mordercą swego męża?

— Wszystko się już zdarzało na świecie! Moralność upada coraz to niżej!

— I nie trzeba zapominać, że hrabina jest teraz bardzo majętną! Byłaby to świetna partya dla takiego skromnego doktora!

— Masz pan słuszność! Doktorowi była śmierć hrabiego konieczną — teraz może się po roku żałoby ożenić z nią! Już to samo rzuca podejrzenie na niego.

— Wyniknie z tego ogromny skandal!

— Tak, ale uniknąć tego nie można.

W tejże chwili otworzyły się drzwi i Lucyan wszedł do pokoju. Dyrektor policyi, który poprzednio wcale na niego nie zważał, spojrzał mu teraz badawczo w oczy i powiedział sobie w duszy, że ten człowiek chyba zbrodniarzem być nie mógł!

— Jest to raczej człowiek honorowy i uczciwy, — pomyślał, — można się jednak mylić. Tacy na pozór szlachetni bywają czasem najgorsi. Jeżeli on zabił hrabiego, to popchnęła go do tego nie chciwość pieniędzy, tylko miłość!

— Kazaliście mi panowie przyjść, — odezwał się Lucyan, — otóż jestem. Czem mogę służyć?

— Zaraz o tem pomówimy, — odrzekł Anatol. — Siadaj pan, proszę.

Ukończyliśmy właśnie badanie ran hrabiego, — mówił Lucyan dalej, — i zgodziliśmy się z kolegą, że obie były śmiertelne.

Anatol zwrócił się teraz do niego.

— Pan więc jesteś doktorem Darby?

— Tak?

— Gdzie pan mieszkasz?

— Na ulicy Lafayette.

— Daleko ztąd!

— O tak!

— A jednak przybyłeś pan natychmiast na wołanie hrabiny.

— Tak, to jest......

— Gdzie pan byłeś w tym czasie?

— Gdzie byłem? — powtórzył Lucyan widocznie zmieszany.

Urzędnicy spojrzeli na siebie.

— No tak, — rzekł Anatol, — zdaje mi się, że pytam bardzo wyraźnie.

Lucyan zbladł. Jakieś dziwne uczucie opanowało jego serce. Czuł, że na pytanie to prawdy powiedzieć nie może, jeżeli nie chce skompromitować Nory, umilkł więc na chwilę, chcąc się nad odpowiedzią namyśleć.

— Nie zrozumiałeś mnie pan, — zawołał Anatol niecierpliwie. — Gdzie pan wówczas byłeś?

— Przechodziłem właśnie koło pałacu.

— Był to rzeczywiście szczęśliwy przypadek, inaczej bowiem nie byłbyś pan usłyszał wołania hrabiny. Nie musiała ona zresztą głośno wołać, bo o ile wiem, było okno zamknięte.

— Tak, okno było zamknięte, — powtórzył Lucyan, niedomyślając się podstępu, jaki słowa te zawierały.

— Byłeś pan tu już kiedy?

— Nigdy!

— Zkąd pan wiesz zatem, że okno pokoju hrabiny było zamknięte?

Lucyan poznał teraz, jak niezręczną dał odpowiedź i zmieszał się niezmiernie.

— Nie powiedziałem przecież, — rzekł, — że wiem, które okno.....

— Owszem, mówiłeś pan przed chwilą, że okno pokoju hrabiny było zamknięte.

— Więc się źle wyraziłem, chciałem powiedzieć, że zdawało mi się, że okna są pozamykane, cały pałac zupełnie był ciemny!

— Ah, patrzałeś pan na pałac?

— Tak, jak się patrzy na każdy gmach, przechodząc koło niego! Ale nie pojmuję, dla czego mi pan zadajesz te wszystkie pytania!

— Jestem sędzią śledczym i obowiązkiem moim jest, wykryć mordercę i ukarać go. Proszę pana, abyś mi dopomógł w tem zadaniu i odpowiadał otwarcie na moje pytania!

— Bardzo chętnie, pytaj pan o co chcesz, a ja powiem wszystko co wiem.

— Jakim więc sposobem znalazłeś pan się tak późnym wieczorem, tu, blizko pałacu? Przecież mieszkanie pana jest w zupełnie innej części miasta.

— Szedłem właśnie do domu.

— Masz pan tu w pobliżu jakiego pacyenta?

— Tak! Wracałem od niego. — zawołał Lucyan żywo.

— Kto to jest i jak się nazywa?

Lucyan zadrżał. Nie mógł wymienić żadnego nazwiska, bo nie miał tu żadnego pacyenta, a zresztą pytania sędziego niecierpliwiły go i niepokoiły tak, że zaczynał tracić zimną krew i przytomność umysłu.

— Proszę o nazwisko pacyenta, — powtórzył Anatol. — Kto to jest?

— Ja — nie wiem!

— Jakże to być może?

— Wezwano mnie do niego wieczorem......

— Aż z ulicy Lafayette? Chory nie musiał potrzebować szybkiej pomocy, — rzekł Anatol z szyderczym uśmiechem.

Lucyan umilkł, zawstydzony kłamstwem, które musiał uznać sam za niedorzeczne.

Byłby się chętnie chciał namyślić trochę nad tem, co mógł powiedzieć, bez skompromitowania Nory, ale sędzia nie zostawiał mu na to czasu. Badania jego rozgniewały Lucyana tak, że wstał i rzekł stanowczo:

— Nie pojmuję doprawdy wcale, w jakim celu mi pan stawiasz wszystkie te pytania. Chodzi tu przecież tylko o to, kto i dla czego zamordował hrabiego Noirville, a obecność moja o tym czasie na ulicy, przed pałacem, nie może mieć z tem najmniejszej styczności, i nie potrzebuje troszczyć nikogo. Nie jestem oskarżonym, tylko świadkiem i nie mam obowiązku odpowiadania panu na dalsze pytania.

— Doprawdy? Więc pan nie chcesz nam wytłumaczyć swojej obecności przed pałacem w chwili spełnionej tu zbrodni?

— Nie chcę. Dosyć, że przechodząc tędy, usłyszałem wołanie o pomoc i zadzwoniłem do bramy, aby spieszyć z pomocą lekarską. Z tej mojej czynności mogę złożyć tylko rachunek, i tylko o tem będę mówił. Zdaje mi się, że mam prawo chodzenia po ulicach Paryża o każdej porze!

Anatol skinął na sekretarza, aby słowa te zapisał, i zwrócił się znowu do Lucyana.

— Więc mówmy o czem innem, — rzekł obojętnie. — Czy hrabia już nie żył, gdy go pan zobaczyłeś?

— Już nie żył.

— Od dawna?

— Od dziesięciu może minut.

— Ile czasu upłynęło pomiędzy wołaniem hrabiny a wejściem pana do pokoju, w którym leżało ciało?

— Najwyżej pięć minut — tyle czasu potrzeba mi było, aby zbudzić odźwiernego i przybyć tu na górę.

— Więc pan twierdzisz, że hrabina dopiero pięć minut po śmierci hrabiego wołała o pomoc

—Tak jest.

— Jakiego rodzaju są rany hrabiego?

— Obie śmiertelne i zadane ręką silnego i zręcznego mężczyzny. Kolega Bordeau stwierdził to samo.

— Czemu pan mówisz „zręcznego“ mężczyzny?

— Bo kierunek ciosów wykazuje, że ten, kto je zadawał, wiedział dobrze, jak ugodzić, aby ofiara umilkła na zawsze.

— Więc morderca musiał się znać na anatomii?

— Bezwątpienia. Rany te pochodzą od ostrego, lecz nieobosiecznego noża, a na brzegach są ślady silnych kleszczy, w jakie stal jest oprawiona......

Dyrektor policyi porwał się z krzesła.

— Co pan mówisz? — zawołał. — Tak samo opisywano mi rany, które zadano pewnemu biednemu chłopcu, znalezionemu nad rzeką. Umieściliśmy go w szpitalu św. Antoniego i szukamy ciągle jeszcze jego mordercy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DZIAŁ ILLUSTROWANY.

Przed 75-u laty.

(Wspomnienie historyczne).

I.

Wojsko polskie, występujące w roku 1831-ym do zapasów z „olbrzymem Północy“ było nieliczne, lecz wyborowe. Żyły w niem jeszcze tradycye napoleońskie, przeszło też dobrą szkołę pod Konstantym. Co najważniejsze, każdy żołnierz był i czuł się Polakiem i patryotą. To też, jeśli niejeden z oficerów zawiódł w tej kampanii oczekiwania, i mówiąc wprost: zbłaźnił się, żołnierze od początku do końca sprawowali się dzielnie, nastrój patryotyczny był wśród wojska tak podniesiony, że gdy Giełgud, ustępując z Litwy, przeszedł granicę i Prusakom rozbroić się pozwolił, podwładni, uniesieni wściekłością i rozpaczą, wodza swego zastrzelili.

Z taką armią można było dokonywać cudów. I dokonywano ich w istocie — budząc podziw nie tylko w oficerach Dybicza, lecz nawet... w Chłopickim. Raniony pod Grochowem jenerał, leżąc w łóżku, mówił do przyjaciela: — „Widziałeś, jak oni się bili? jak szli na bagnety? Chłopi z kosami stali w ogniu, jak stara gwardya. Nigdym się tego po nich nie spodziewał. Z takiem wojskiem można było wszystkich pobić!“ — Niestety! sceptyczny Napoleończyk do tego przekonania przyszedł zapóźno... I stąd płynęła melancholia, z jaką w starości, pokazując komuś kopiec Kościuszki, mówił smętnie: — „I ja mogłem był mieć taki grobowiec...“



Dwernicki,
jenerał armii polskiej w roku 1831.

Pierwsza bitwa stoczona została 14 lutego pod Stoczkiem. Dowodził tu jenerał Dwernicki, oficer ciężkiej postawy, ale dzielnego, lotnego ducha. Przeciwnikiem jego był Geismar, zaufany w swej artyleryi oraz olbrzymich dragonach.



Jan Skrzynecki,
wódz naczelny armii polskiej w roku 1831.

Walka nie trwała długo, lecz odznaczała się wielką z obu stron zaciętością. Skończyło się zupełnym tryumfem naszych. Nieprzyjaciel uciekł w popłochu, pozostawiając dwustu zabitych, w tej liczbie dwóch pułkowników. Zabrano mu stu jeńców oraz jedenaście armat.

Tutaj to batalion piechoty polskiej, po raz pierwszy znajdujący się w ogniu, gdy go artylerya rosyjska zasypywała gradem kartaczy, stał w miejscu, jak mur, i śpiewał pełną piersią mazurek Dąbrowskiego. Śpiew miał być tak potężny, że huk armat zagłuszał.

O wiele krwawsza i zaciętsza była bitwa, stoczona w kilka dni później (19 i 20 lutego) pod Grochowem, o czem pisaliśmy już w nr. 10-tym „Pracy“.

* * *

Bitwa pod Wawrem,

dnia 31 marca 1831 r.

Po bitwie pod Grochowem zaczął wódz rosyjski Dybicz rozrzucać swe siły. Przyczynił się do tego głównie jenerał Dwernicki. Dzielny ten dowódzca dnia 19-go lutego pobił Moskali pod Nową wsią, zabrawszy im 11 armat, a 3 marca pobił ich znowu pod Kurowem i Markuszewem, gdzie 4 działa zdobyli Polacy. Dwernicki wyruszył następnie w Lubelskie, gdzie stanął pod zasłoną twierdzy Zamościa. Dybicz wysłał przeciw niemu znaczną liczbę wojska, tak samo i w Płockie posłał dość liczny oddział. Wtedy wódz naczelny Skrzynecki powziął dobry plan, aby pobić nieprzyjaciela cząstkowo. W nocy z 30 na 31 marca wyruszyło wojsko polskie w największej cichości z Warszawy, tak że nawet most na Wiśle pokryto słomą, aby jak najmniej było turkotu. Przedsiębrano dla tego te środki ostrożności, aby Moskale o niczem się nie dowiedzieli. Wyprawa ta miała na celu zniesienie korpusów moskiewskich Geismara i Rozena, które stały odłączone od głównej armii.

Pod zasłoną grubej mgły zbliżyło się wojsko polskie do Moskali. Geismar w sile 6000 żołnierzy stał pod Wawrem. Jenerał Rybiński podszedł Moskali z tyłu i bój rozpoczął, pędząc przed sobą nieprzyjaciół, a z przodu od Grochowa natarł jenerał Kicki na czele ułanów. Rybiński tak dzielnie uderzył, że w 2 godziny już byli Moskale rozproszeni. Kicki z powodu mgły przyszedł zapóźno. Zabrano Moskalom w tej potyczce 2000 niewolnika i 4 działa. Polacy stracili tylko 17 zabitych i 33 rannych.



Dembiński,
jenerał armii polskiej w roku 1831.

* * *

A. K. Puzyrewskij, rosyjski generał-lejtnant sztabu głównego w dziele p. t. „Wojna polsko-ruska 1831 r.“ tak opisuje bitwę pod Wawrem:

Porażka straży przedniej Gejsmara.

Armia polska w nocy posuwała się sekretnie. Rybiński ruszył okolną drogą, około 3-ciej wyszedł z Ząbkowskich rogatek, a około 4-tej był pod Kawęczynem. Około 5-tej wyruszyły i inne dywizye. Mgła kryła wszystkie te ruchy. Spędzone placówki nasze dały znać Gejsmarowi o napadzie nie-

przyjaciela; wysłał więc ułanów dla poparcia kozaków, a dla powstrzymania Rybińskiego ruszył 47-my pułk strzelców na brzeg lasu naprzeciwko Wygody i zajął nim wyżynę, znajdującą się przy wyjściu drogi Okuniewskiej z lasu. Na szosie pod Gocławkiem stał podówczas Wileński pułk piechoty z 8-ma działami, przedział zaś między nim a strzelcami, szeroki na wiorstę prawie, zajęty był tylko przez jazdę; pod Wawrem znajdował się Litewski pułk piechoty z 2-ma działami; mógł on wesprzeć jedno czy drugie skrzydło. Polacy z frontu niebardzo napierali na Gajsmara, gdyż najpierw czekali na naczelnego wodza, który do 6-tej oddany był modłom, a następnie, ponieważ Rosyanie, nie znając sił nieprzyjaciela, pokrytych mgłą i miejscowością, szybko uderzyli na niego i to z takiem powodzeniem, że złamali i zmusili do ucieczki 3-ci pułk ułanów, dla poparcia którego musiał się rozwiązać 2-gi pułk strzelców konnych pod samymi wałami Pragi. Tymczasem Rybiński otaczał prawe skrzydło Gejsmara dwiema kolumnami: jedna brygada (pułk 2-gi i 4-ty) szła wprost na 47-my pułk strzelców, druga zaś (pułk 1-szy i 5-ty) skierowała się bardziej w lewo przez las, aby wyjść na tyły Gejsmara. Generał Nasaken z 47-ym pułkiem strzelców długo się opierał nieprzyjacielowi, z tem wszystkiem w trójnasób większe siły przeciwnika (6 batal. przeciw 2-m) zmusiły go do odwrotu. W tymże prawie czasie Polacy zaczęli napierać i na szosie, a kolumna ich, zbliżywszy się do Grochowa, skierowała się ku Olszynie dla połączenia z Rybińskim. Gejsmar, widząc nadmierną przewagę sił nieprzyjacielskich, uznał niepodobieństwo utrzymania się pod Wawrem, ale obawiając się, żeby Polacy szybkim ruchem przez Olszynę nie zatamowali odwrotu znajdującym się na szosie pułkowi Wileńskiemu i artyleryi, wysunął ku Wygodzie pułk Litewski z 2-ma działami, a zarazem kazał posunąć się naprzód strzelcom na prawem skrzydle, współcześnie zaś cofać się pułkowi Wileńskiemu i artyleryi. Lubo strzelcy za nadejściem Litewskiego pułku zwarli się na bagnety ze strzelcami Rybińskiego, a nawet nieco ich odparli, wszelako nie poparci przez pułk Litewski, przeciwko któremu ruszyli Polacy z Olszyny, musieli cofnąć się niebawem. Ponieważ jednocześnie na lewo od pułku Litewskiego i pułk Wileński również się cofał, więc pierwszy znalazł się w wysuniętem wobec nieprzyjaciela położeniu; pomimo tego opierał się jednak, następnie wszakże, ulegając przewadze nieprzyjaciela, zaczął się cofać ku szosie, — ale było już zapóźno, bo strzelcy polscy przecięli mu odwrót; skoro zaś jeszcze walczący na czele pułku dowódca jego, Kurosz, ubył z szeregów, więc Litewski pułk poddał się i złożył broń przed otaczającym go nieprzyjacielem, nie próbując przebicia się przez niego. Polacy zarazem zdobyli i znajdujące się przy pułku cztery działa, gdyż oficer dowodzący niemi, usiłując wydobyć się z pośród Polaków, skierował się na drogę leśną, którą cofali się kozacy; ale działa uwięzły w błocie i zostały wzięte przez nieprzyjaciela wraz ze skłutym bagnetami oficerem. Z innymi oddziałami straży przedniej Gejsmar cofnął się najpierw ku Miłośnie, ku stojącemu tam batalionowi pułku Białostockiego, i starał się zatrzymać przy wyjściu z wązkiej dróżki przede wsią, a następnie pociągnął do Janówka ku drugiemu batalionowi tegoż pułku, nadciągającemu z Woli Grzybowskiej. Nakoniec o 3-ciej po południu, po dziesięciogodzinnej, nieprzerwanej walce z licznym przeciwnikiem, zbliżył się do Dębego Wielkiego ku zebranej tu części korpusu i wojska swoje wprowadził na pozycyę w zupełnym porządku.

Jeśli przednia straż nasza, zbyt biernie pełniąc swą służbę strażniczą, przeoczyła wyjście nieprzyjaciela z Pragi i pierwsze jego natarcie, to z drugiej strony zaznaczyć trzeba, że dzięki tylko energii i sprawności Gejsmara, oraz dzielnemu oporowi 47-go pułku strzelców (dowodzonego przez Polaka Kwicińskiego), oddział wyszedł stosunkowo jeszcze szczęśliwie z trudnego położenia, w jakiem się znalazł; poddanie się pułku Litewskiego w otwartem polu stanowi przykład wyjątkowy w dziejach armii ruskiej, której pułki przekładały raczej zagładę nad złożenie hurtowne broni przed nieprzyjacielem, bez próby otwarcia sobie drogi bagnetem. Co do Polaków, to działania ich w dniu tym odznaczały się o tyle zręcznością, o ile i męstwem; szybkie jednakże w swoim czasie skierowanie przez Rybińskiego brygady jazdy Kamińskiego na szosie ku Miłośnie mogło było sprawić to, że całej straży przedniej Gejsmara byłby odwrót odcięty.

Bój pod Wawrem,
31-go marca 1831-go roku.
(Wspomnienie historyczne).

Nad tą Wisłą, nad tą rzeką,
Mgła świat kryje, jak daleko,
Jak daleko, jak szeroko,
Mgły nie przejrzy ludzkie oko.

A za Wisłą Geismar leży,
Sześć tysięcy ma żołnierzy.
Obozowe ognie płoną
Wskroś tej gęstej mgły — czerwono.

A w Warszawie, tam nad mostem,
Dzielny z lica, dzielny wzrostem,
Nasz Rybiński stał jenerał,
Ku Wawrowi w mglę spozierał.

Aż w milczeniu ręką skinął,
Zebrał roty, szyk rozwinął,
Wyprowadził wojsko z miasta
I za Wisłą we mgle zginął.

Cicho, ciszkiem idzie wiara,
Ku Wawrowi, na Geismara...
A mgła gęsta ją osłania,
Tłumi kroki i wołania.

Już podeszli! Już są blisko!
Otoczyli legowisko...
Skoczy Geismar, konia woła —
A tu nasi już dokoła!

Z przodu Kicki z ułanami,
W mgle zaświecił im lancami,
A Rybiński im jenerał
Bagnetami tył zabierał...

Popłoch, krzyki wśród Moskali,
Sołdat swoich szaszką wali,
Nie wie kogo we mgle bije —
A z wściekłości Geismar wyje!

W dwie godziny Moskwa zmyka...
Wzięli nasi niewolnika,
Wzięli nasi cztery działa,
Rybińskiemu za to chwała!

Gdy marcowe słońce świeci,
Tam pod Wawer idźcie dzieci!
Z tchnieniem wiatru, z tchnieniem wiosny,
Jeszcze gwar tam bitwy leci!

Jan Sawa.

Z ojczystych stron.

Miasto Lidzbark
W PRUSACH ZACHODNICH.
Opisał **Konstanty Kościński.**

(Ciąg dalszy).

IV.

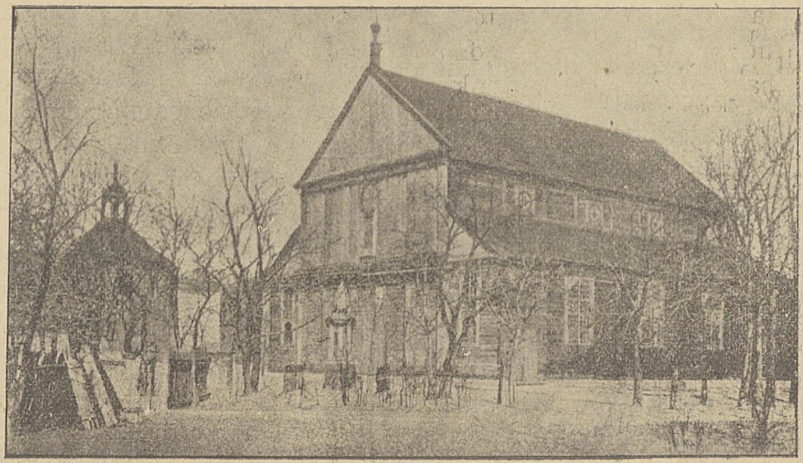
Czasy reformacyi, życie religijne.

Źródła niemiecko - protestanckie [1]) przyznają same, że w Lidzbarku reformacya nie znalazła wcale zwolenników. Tak też było rzeczywiście, bo w aktach i dokumentach nie znajduje

[1]) Plehn, Geschichte, Leipzig 1900, str. 228.

my żadnego śladu o tem, aby w szesnastym, siedmnastym a nawet i ośmnastym wieku, dopóki trwało panowanie polskie, wyznawcy nauki Lutra jakąś znaczniejszą stanowili grupę. Kościoła swego, ani nawet domu modlitwy nie mieli oni wtedy tu wcale. Roku 1672 [2]) były w Lidzbarku wogóle dwie tylko osoby, niezaliczające się do katolików. Jeden wyznawał religię protestancką, drugi był żydem. Parafia lidzbarska graniczy jednakże z tak zwanemi „Staremi Prusami“[3]), w których wrzała na dobre walka religijna. Owe „Stare Prusy“, w historyi polskiej „Prusami książęcemi“ zwane, znajdowały się wtenczas pod panowaniem książąt elektorów brandenbursko pruskich. — Położone w pobliżu kościoły katolickie w Koszelewie, Koszelewkach, Płośnicy, Grodkach, Uzdowie w pierwszych już czasach reformacyi przeszły w posiadanie innowierców. To samo stało się i z kościołem w Łęcku, ale go odzyskał napowrót dla katolików Maciej Prus Rywocki, który nabył dobra Leńckie i patronem był kościoła.

„Było to roku 1609 — pisze Rywocki[4]), — kiedy z prośbą o wydanie kościoła osobiście udałem się do Królewca do Jegomości naszego księcia elektora Zygmunta, do którego państwa Łęck wtedy należał. Ale tam srogie tylko groźby odniosłem od regentów i sekretarzy; a widząc się i życia niepewnym, odjechałem. Teraz przez różne znajome mi u dworu osoby prosiłem o pomoc samego króla Jegomości Zygmunta III. Otrzymawszy nareszcie list królewski, który mnie bronił, znowu ruszyłem do Królewca. Z początku zbywano mnie groźbami, a na ostatek obiecywano mi nawet dwie sute wioski, albo 12 000 złotych dać w podarunku, bylebym żądania mego zaniechał. Ale ja nad te ziemskie skarby wolałem kościół biedny wierze katolickiej przywrócić i tyle dusz ludzkich Bogu pozyskać. Koniecznie tedy obstawałem za wydaniem kościoła. Widząc atoli, że w taki sposób praw moich nie osięgnę, postanowiłem zupełnie pominąć księcia elektora. Poprosiłem więc biskupa chełmińskiego, na ówczas Wawrzyńca Gębickiego, iżby wyznaczył komisyą do odebrania i poświęcenia kościoła. Niebawem też przybył do Łęcka ks. Gołyński, oficyał pomorski, z innym księdzem Gołudzkim. Zaraz następnego dnia, 29 listopada 1609 r., weszli do kościoła, poświęcili go, odprawili mszę św. i jako nowego pasterza ustanowili księdza Bagieńskiego, proboszcza z Lidzbarka. Książę elektor jednak nie myślał tak łatwo wydać zdobyczy katolikom i staroście działdowskiemu Birkanowi rozkazał siłą zbrojną znowu odebrać poświęcony kościół Napadł tedy p. Birkan[5]) wieś naszą w kilkuset rejtgardy, drzwi odbił gwałtem i swojego luterskiego ministra wprowadził. Krótko potem sprosiłem i ja ze wszystkich stron do Łęcka zbrojne zastępy współbraci naszych; niceśmy jeszcze nie uczynili, a rejtgarda, skoro tylko nas ujrzała, odeszła. Od tego czasu książę elektor poprzestał nieprzyjaznych nagabywań, a w łęckim kościele szła teraz chwała Boża niezakłócona“. W podobny niezawodnie sposób, nadmienia ksiądz Fankidejski w dziele swojem o utraconych kościołach, uratowany został kościół i w Przelęku, którego patronem była katolicka na onczas rodzina Rościszewskich. Mnóstwo wtedy w tej okolicy drobnej na zagrodach i możniejszej na folwarkach osiadłej szlachty przeszło na protestantyzm i po największej części się zniemczyło. Jeszcze dziś znajdują się pod Działdowem i Dąbrownem różne szlacheckie rodziny, które były pierwotnie polskie i katolickie, ale teraz są ewangelickie i już zupełnie zniemczone. Takiemu losowi ulegli n. p. Kownaccy w Kownatkach, Browinie, Szuwałdku, Turzy. Podobnie też stało się z Pokrzywnickimi z Franknowa i Żelazna, którym król pruski Fryderyk II nie mogąc wymówić nazwiska „Pokrzywnicki,“ zmienił je na v. Bock. Dla tego też piszą się oni teraz v. Bock - Pokrzywnicki, albo tylko v. Bock.[6]) Z tych była Katarzyna z Jakóbem Bieniszewskim w Lidzbarku.[7]) Wielu też prawowiernych katolików niechętnych nowatorstwu, opuściło wsie i zaścianki w pograniczu „Starych Prus“ i przeniosło się do sąsiednich miejscowości, w których wyznanie katolickie nie doznało uszczerbku. Pomiędzy rodzinami w Lidzbarku osiadłemi, które w ten zdaje się spo-



Stary kościół parafialny w Ostrowie.
(patrz artykuł p. t. „Zgon zasłużonego kapłana-obywatela“.)



Nowy kościół parafialny w Ostrowie.
(patrz artykuł p. t. „Zgon zasłużonego kapłana-obywatela“.)

---

[2]) Wizytacya Strzesza.

[3]) Nazwa ta przyjęta jest tu powszechnie dla odróżnienia Prus Zachodnich, które do r. 1772 były pod panowaniem polskiem.

[4]) Fankidejski, utracone kościoły str. 145 i wizytacya biskupa Potockiego.

[5]) Birkanowie, Berkanowie, właściwie Birkhahn, należeli do starszych rodzin w okolicy. Nazwisko Berkanów znane jest jeszcze teraz w Lidzbarku.

[6]) Genealogia Koenigiana w król. bibl. w Berlinie. Patrz też dzieła Knetschkego i Siebmachera

[7]) Także z tej rodziny Jan Michał, generał-major, † 1812.

sób szeregi mieszczańskie pomnożyły, znajdujemy Olszewskich i Jaroszewskich. Olszewscy prawdopodobnie z pod Niborka wyszli, — a Jaroszewscy roku 1692 [8]) udział szlachecki posiadali w Przełęku.

Podczas gdy spory i rozterki religijne panowały w okolicy, miało miasto Lidzbark dzielnych kapłanów, którzy stali na straży wiary katolickiej. W tym właśnie czasie, kiedy gdzie indziej panowały smutne stosunki, tu kwitła chwała Boża. Wizytacya biskupa chełmińskiego Andrzeja Olszowskiego, dokonana 1667 do 1672 roku, świadczy o tem wymownie. Liczne też zapisy i legacye robiono na rzecz miejscowych kościołów. Jako dobrodziejów, którzy legatami i darami wspomagali kościół farny lidzbarski (św. Wojciecha), wspominają akta Jana z Lidzbarka Lidzbarskiego (1670 roku wikarego przy kościele św. Jana w Warszawie), szlachcica Wawrzyńca Wąpierskiego, posiadacza części dóbr ciborskich, szlachcica Mianowskiego, siedzącego na uczątsku także w Ciborzu, Elżbietę Cikowską, Urszulę Iwińską, Zofię Serwatkową alias Szymańską, Macieja i Zofię Graczyków, Macieja Wąsowicza, Ronowicza, Annę Pokorszczankę, Nadratowskiego, Annę Tesarską, Szymona Perzyna. Jako dobrodziejów kościoła Najśw. Panny Maryi wizytacya biskupa Olszowskiego wymienia: Wojciecha Kotka, Annę Bobrową alias Nowodworską, Jana Durajczyka, Żmijowskiego, Arinka, Wojciecha Bernardyna, Klekotkę, Szczerbowskiego, Marcina Pudło.

Przy kościele farnym (św. Wojciecha) ufundowane były dwie wotywy, a mianowicie: jedna do św. Anny (co środę), druga o Męce Pańskiej (co piątek). Tu też założono 12 lutego 1628 bractwo św. Anny. Przy kościele N. M. Panny natomiast fundowane było 1647 roku bractwo Szkaplerza św. — Ks. wikary, mieszkający przy kościele N. M. Panny, śpiewał co sobotę wotywę. W większe uroczystości odbywało się główne nabożeństwo w kościele Panny Maryi. Jutrznię odprawiano u św. Wojciecha, t. j. u fary, a po skończonej wotywie szła uroczysta procesya do kościoła N. M. Panny na Stare Miasto. Po południu, kiedy skończyły się nieszpory, lud również w procesyi powracał do fary.[9]) Uroczystości N. P. Maryi i dzień św. Jana Nepomucena obchodzono z odpustem.

Takie nabożeństwa trwały aż do czasów podziału Królestwa Polskiego, a nawet i później jeszcze. (C. d. n.)

[9]) Fankidejski, Utracone kościoły, str. 137.

Wspomnienie o Kazimierzu Puławskim.

(Szkic historyczny).

Napisał Karol Cieszewski.

XXXIII.

Jeneralicya.

Duszą jeneralicyi, właściwej władzy konfederacyi, byli jak dotąd Krasiński i Pac, jakoteż sekretarz Bohusz.

Gaszyński Konstanty, w wydanym przez siebie pamiętniku, tak ich opisuje:

„Głównemi personatami jeneralności byli tam: Pan Michał Krasiński, brat rodzony biskupa Kamienieckiego, marszałek jeneralny koronny. — Pan Michał Pac, marszałek jeneralny litewski i pan Ignacy Bohusz, sekretarz konfederacyi“.

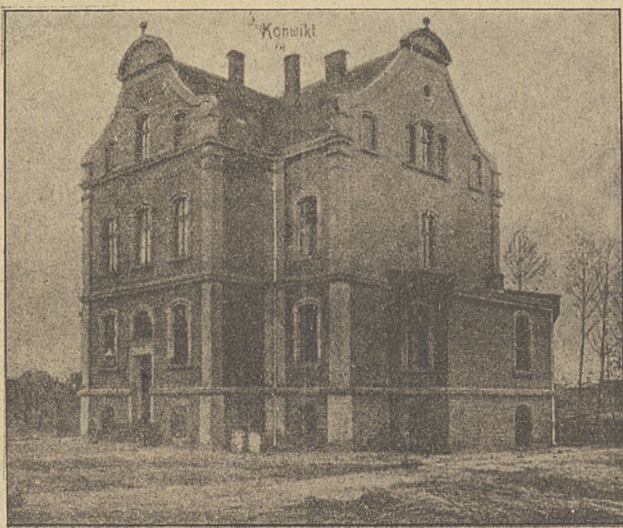
„Wszyscy trzej brzuchacze, miernego wzrostu, ale czupurnej miny, szczególnie Krasiński i Bohusz; pierwszy człowiek przyjacielski, hulaka i facetus; — drugi pełen wiadomości i nadzwyczaj wymowny. Ale obadwa ludzie z impetem, gorączki jakich mało; ci dwaj nosili się po polsku. — Pan Michał Pac niepozornej fizyognomii, ale znakomicie uczony — a tak w obejściu się uprzejmy i słodki, iżby go można było do rany przyłożyć. Pac nosił się z francuska kuso, w peruce — i charakterem swoim łagodnym mitygował porywczość ognistą dwóch swoich kompanów“....

A opisując dalej generalność, tak opowiada następnie:

„Każdy z tych panów miał jaki taki zapas pieniędzy, a oprócz tego bankier Brea z Wiednia przysłał mi resztę subsydiów francuskich, u niego złożonych. Żyła więc jeneralność huczno, po szlachecku, odprawiając traktamenta i festyny. — A jako szerszenie ciągną do otwartego ula, tak do onych stołów jeneralności nazbiegało się z całej rzeszy niemieckiej gdzie jaki był Polak. Znalazło się tam przeto wielu ludzi, nikomu nieznanych i kilku młokosów, wiercipiętów na nic niezdatnych i gorszącego postępowania“....

Na dowód zaś, jaki rodzaj życia prowadził się w miejscu, gdzie przebywała najwyższa władza walczącego ostatnią krwią swoją narodu, przytacza następującą smutną anegdotę, którą za nim powtarzamy:

„Umarł pan Lniński, poczciwy i zasłużony Polak i leżał w swojej gospodzie na katafalku, przyzwoicie przystrojonym. W dzień pogrzebu przychodzim do owej gospody, i widzim co? — Oto wyjęto trupowi krucyfiks, który po katolicku trzymał w złożonych rękach, a na to miejsce wsadzono mu — nizhnika żołęd[illegible]ego. Któryś z tych młodych [illegible] trefnisiów zrobił on żart nieprzyzwoity dlatego, że nieboszczyk za życia lubił karty i był zaciętym graczem. Zgorszeni byliśmy mocno onem świętokradztwem. Nie wiem kto owego figla wypłatał, ale pewny jestem, że za to Pan Bóg go skarał — bo trup jest rzeczą świętą nawet u żydów i Bisurmanów“....



Konwikt arcybiskupi w Ostrowie.

(patrz artykuł p. t. „Zgon zasłużonego kapłana-obywatela“).

Taki był skład członków jeneralności i taki rodzaj ich życia. Krasiński i Pac pomimo patryotyzmu i mnogich innych zalet, byli to wielcy panowie, traktujący nawet sprawę ojczystą od niechcenia, po pańsku — może dlatego tylko, że ich to bawiło. Siedzieli więc za granicą, nieustannie radzili. niby bardzo byli czynni, a owoce tej pracy były raczej zgubne, aniżeli pożyteczne: bo nie mając dość siły a może i poświęcenia do objęcia ruchu, za próżni byli i za dumni, ażeby się usunąć i przyznać do niedołęstwa.

Wielcy panowie nie poprowadzą narodowego powstania. Widzimy to

na konfederacyi barskiej. Widzimy na roku 1831. —

Kierownictwo sprawy tak świętej, jaką jest narodowa, powinno spoczywać w rękach ludu wiary, ludzi czystych, ludzi serca prostego ale szczerego, energicznych i sumiennych. —

Zbawiciel, chcąc rozsiać boską swą naukę po świata obszarze, nie wybrał na apostołów ludzi możnych i bogatych, ale powierzył ją ubogim, ale wierzącym rybakom — i jak świetnie wywiązali się z zadania swego!.....

Klęska Ogińskiego wywarła jak najnieszczęśliwsze na powstanie skutki. Litwa po raz trzeci zawiedziona, więcej już nie powstała w konfederacyi; Kossakowski został od granic Moskwy odwołany i odtąd same tylko ponosił klęski; w Warszawie zaś wieść o klęsce hetmana rozzuchwaliła znowu stronnictwo królewskie i moskiewskie, a i kierunek dyplomacyi zupełnie zmieniła. W Petersburgu bowiem poczęto wznawiać zmowy rozbiorowe z większą niż dotąd jednością, Prusy i Austrya jawniej okazywały swe dla Polski chęci; a chociaż Kossakowski zebrawszy rozbitki Ogińskiego chciał się wyślizgnąć nieprzyjacielowi, przez Prusaków wspólnie z Moskalami pobity, w niewolę austryacką wzięty został. A na dobitek umarł sprzyjający Polsce minister Choiseul, umarł wspierający powstanie stary hetman Branicki, a dumny Dumourier z złorzeczeniem wyjechał do Francyi.

Chwila to była krytyczna! Trzeba było zebrać wszystkie siły, ażeby ją przetrwać i wszyscy oglądali się na jeneralność — ale jeneralność siedziała zdala od teatru wojny, w Eperies, zkąd jej dwór wiedeński wydalać się nie pozwolił, pragnąc, aby była jak najdalej od granic Polski. Przełożeniami dopiero i prośbami Duranda „dał się nakłonić i udzielił pozwolenie udania się do Cieszyna i zjeżdżania w potrzebach do Biały, a w konieczności powrócenia do Eperies‘‘.

Wydawszy przeto uniwersały, zwołujące wszystkich marszałków konfederacyi na główne zebranie do Cieszyna, a następnie do Biały, gdzie ją Branicki — „ów wyszydzony i przepłoszony pośrednik pod Częstochową, zbity pod Wolą Wiązową, pragnąc odzyskać stopień między zabójcami najgodniejszej konfederacyi barskiej‘‘ — porwać lub zniszczyć postanowił.

Nie dopiął jednak swego zamiaru. Ostrzeżona jeneralicya, za słaba by się módz bronić, ratowała się ucieczką, Branicki zaś powrócił na swoje dawne stanowisko, „nie bez żalu zapewne, że mu uszła jedna sposobność więcej okazania, jak daleco nienawidzi niepodległości i honoru Rzeczypospolitej polskiej‘‘....

Od tej chwili, jeneralność żadnego już stanowczego na rozwój konfederacyi nie wywarła wpływu.

Zgon zasłużonego kapłana — obywatela i bohatera z czasów walki kulturnej.

Dnia 3-go b. m. zakończył życie doczesne proboszcz ostrowski śp. ks. dziekan Śmigielski. Śmierć jego zaskoczyła parafian prawie niespodzianie, bo choroba chociaż ciężka, zaledwie na kilka dni go przykuła do łoża boleści. To też wiadomość o jego zgonie tem większym żalem i żałobą okryła serca parafian. Boleśnie nam patrzeć na



Ś. p. ks. Walenty Śmigielski.

śmierć osób blisko nas stojących, ale stratę tę tem dotkliwiej odczuwamy, wiedząc, że ten, który na zawsze rozstał się z nami, był nam bliskim i drogim długim szeregiem lat pracy błogosławionej, był ojcem naszym, a oto nas zostawił sierotami; był pasterzem naszym, a oto musiał złożyć swój urząd; był tyle razy przewodnikiem naszej myśli i pracy, tyle razy z niego czerpaliśmy zachętę i siłę do walki, a teraz na zawsze usunął się z pierwszego miejsca, na zawsze zagasło światło, które tyle razy nam przyświecało.

W osobie śp. ks. dziekana Śmigielskiego schodzi do grobu jedna z wybitnych i prawdziwie zasłużonych postaci społeczeństwa naszego pod pruskim zaborem. Z nim razem zaciera się znowu kawał najszlachetniejszej tradycyi męczeńskich dziejów naszych. Był on bowiem jednym z najdzielniejszych szermierzy walki kulturnej, jednym z owych powoli nas dzisiaj opuszczających weteranów, którzy część życia sterali w ciężkich zapasach i twardej pracy, którym w udziale przypadł zaszczyt osobistej walki o nasze prawa najświętsze.

Urodzony dnia 26-go stycznia 1849 roku w Dolsku, uczęszczał śp. ks. dziekan Śmigielski począwszy od dziesiątego roku życia swego do gimnazyum w Ostrowie, później w Śremie, a następnie od r. 1864 do gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, które ukończył roku 1870. Idąc za głosem powołania swego wstąpił do seminaryum duchownego w Poznaniu, a potem przeszedł na kurs teologii praktycznej do Gniezna, gdzie równocześnie skutkiem ustaw majowych musiał odsłużyć rok wojskowości. Walka kulturna wybuchła tymczasem w całej pełni. W czasie służby wojskowej śp. ks. Walentego 2-go lutego 1874 r. rozniosły telegramy po całym świecie smutną wiadomość uwięzienia ks. arcybiskupa Ledóchowskiego, którego rząd krótko potem złożył z urzędu i z godności.

Do więzienia za pasterzem swoim poszli niebawem najgorliwsi i najwybitniejsi kapłani archidyecezyi naszych, między innymi obydwaj księża biskupi-sufragani, Janiszewski i Cybichowski.

Święcenia kapłańskie odebrał śp. ks. Walenty za pozwoleniem Stolicy Apostolskiej r. 1875 w Pradze czeskiej. Młodego kapłana wysłała władza duchowna jako misyonarza w naszą okolicę, do Kotłowa, gdzie przez trzy lata tajemnie sprawował obowiązki powołania swego. Opis tej działalności złożył ś. p. ks. Smigielski w książce, wydanej w 25-tą rocznicę swoich święceń kapłańskich. *)

Czytającemu te wspomnienia przychodzą na pamięć pierwsze dzieje chrześciaństwa z tem wszystkiem co w nich było szczytnego i szlachetnego. Przypominają się katakumby rzymskie, gdzie wierni nocami się zbierali, aby uczestniczyć w tajemnicach najświętszych i odebrać błogosławieństwo z rąk apostolskich. Tak samo ks. Śmigielski przez lata całe odprawiał msze św., słuchał spowiedzi, dzieci nauczał po strzechach wiejskich, stodołach i spichrzach, nocując często po chlewach i szopach, a czasem i pod gołem niebem. Policya pruska starała się usilnie o uchwycenie gorliwego misyonarza, aż wreszcie po wielu trudach i zabiegach, wzywając na pomoc ułanów i piechotę, uwięziła go w samym Kotłowie, dnia 6-go czerwca 1878 roku.

Sąd kępiński skazał go za przestą-

*) Ks. Walenty Śmigielski. Wspomnienia z kulturkampfu 1875—1878. Czcionkami J. B. Langiego w Gnieźnie 1900 r.

pienie praw majowych i „wpływ demoralizujący“ na ludność przez podkopywanie powagi państwa na dwa lata więzienia. Sąd ostrowski zniżył tę karę na 200 dni, które ks. Śmigielski odsiedział w Ostrowie, w celi sąsiadującej z miejscem, w którem przedtem więziono ks. kardynała Ledóchowskiego. Nieboszczyk jako zaszczyt poczytywał sobie zawsze, że mógł cierpieć za wiarę i za pełnienie obowiązków swoich. Poświadczenie z odbytej kary więziennej, w piękne ramy oprawne, zdobiło ściany jego pracowni.

W kotłowskiej parafii pracował ks. Śmigielski jeszcze dwa lata, ale już bezpieczniej, bo siły rządu tymczasem się wyczerpały i nastały czasy spokojniejsze. W roku 1881 przeniosła go władza duchowna do Cerekwicy pod Borkiem, a w roku 1886 do Mącznik, stamtąd po sześciu latach do Wolsztyna. W r. 1894 objął parafię ostrowską.

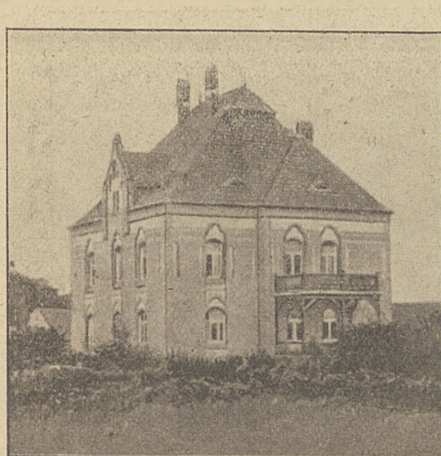
Ten sam zapał do pracy, z którym wyszedł z seminaryum towarzyszył mu życie całe, a Ostrów aż nadto mu sposobności dostarczył, które mu pozwoliły rozwinąć wrodzone zdolności i w czyn przelać gorącego i pracy żądnego ducha. Dzieła jego u nas zbyt świeże, ażeby nad niemi długo się rozwodzić. Wskazać wystarczy tylko na *Dom katolicki*, wystawiony po części własnym kosztem a zupełnie własnym trudem i mozołem; *konwikt arcybiskupi*, do którego w znacznej mierze się przyczynił, wiedziony tylko szczerą chęcią niesienia skutecznej pomocy uczącej się biednej młodzieży naszej; *nowe probostwo, nowy cmentarz*, a wreszcie dzieło, które wieki całe przetrwa, dzieło które na zawsze z imieniem jego związane pozostanie, *nowy kościół parafialny*. Ci, którzy w bliskiej z nim żyli styczności, wiedzą, że ono zajmowało go przedewszystkiem, że pracy tej oddał się całem sercem. Nic go też w ostatnim czasie tak nie cieszyło jak myśl, że wkrótce spełnią się gorące życzenia całej parafii, że nowy kościół odda do użytku wiernym. Pan Bóg nie dozwolił mu doczekać tej pociechy. Kilkanaście godzin przed śmiercią, gdy już przeczuwał zbliżającą się ostatnią chwilę, wyraził się do otaczających go: „Budowałem kościół, ale nie wejdę do niego; tak jak Mojżeszowi Pan Bóg nie pozwolił przeprowadzić naród wybrany do ziemi świętej,“ po chwili dodał, „pewnie to będzie za grzechy moje.“

Śp. ks. dziekan Śmigielski był kapłanem — obywatelem. Gorącem swojem sercem głęboko odczuwał potrzeby biednego, skołatanego społeczeństwa naszego, nie szczędził przeto ni pracy, ni trudu poza kościołem i zakrystyą. Za jego rządów w parafii świetnie się rozwinęły towarzystwa, których on był patronem i opiekunem. Pracował nadto gorliwie i znowu z poświęceniem własnego często grosza dla istniejącej w Ostrowie ochronki dla dzieci, dla biednych naszych w Towarzystwie św. Wincentego a Paulo. Długie lata pełnił urząd w miejscowej dyrekcyi Towarzystwa Pomocy Naukowej imienia dra Karola Marcinkowskiego, był prezesem Komitetu wyborczego, członkiem Rady Nadzorczej, Kasy Pożyczkowej, a wreszcie w ostatnim czasie przyczynił się do założenia Spółki Parcelacyjnej.

W krótkich i pobieżnych słowach skreślony żywot jego daje wyobrażenie o jego pracy i działalności wielostronnej.

* * *

Orszakowi pogrzebowemu towarzyszyły niezliczone tłumy parafian; nieboszczyka żegnały nowe dzwony świątyni, której budowę sam wznosił, sławili żywot Jego liczni mówcy świeccy i duchowni konfratrzy, żegnała go z żalem parafia, bo był jej dobrym duszpasterzem, żegnać go winna cała Wielkopolska, całe młode pokolenie, które go bliżej nie znało, bo naród nasz traci w Zmarłym jednego z najdzielniejszych i najzasłużeńszych kapłanów z czasów walki kulturnej.



Nowe probostwo w Ostrowie.

Niechżeż to, co tutaj zdziałał, imię jego wyryje głęboko w sercach naszych, niechżeż wieki całe mury nowego kościoła, który dźwignął, głos dzwonu, który imię jego nosi, pamięć jego przechowają!

Niechżeż za to wszystko ziemia nasza, którą ukochał gorącem sercem patryoty, lekką mu będzie!

Cześć Jego pamięci, spokój Jego duszy! *Parafianin.*

Nad grobem cichego pracownika.

Miłosław, w marcu 1906.

Śmierć zwyczajnego człowieka, zwyczajnego zjadacza chleba, przeraża nas swą potęgą, a znikomość życia ludzkiego posępne u nas budzi myśli. Ale człowiek taki zapada się w morze zapomnienia! Jak bezużyteczna skorupa na wodę rzucona, tonąc, tworzy nad sobą kółko, które się coraz słabiej i niewyraźniej rozszerza, aż się kółko to równa, powierzchnia wody się wygładza i nikt za chwilę nie oznaczy miejsca, gdzie skorupa w ślamie butwieje; wnet wszyscy o niej zapominają. Nie ma ani powodu, ani przyczyny, by o niej pamiętać.

Gdy przecież dzwony żałobne ogłoszą wieść o zgonie człowieka, co żył dodatnio co szczerze dla dobra swych współbraci działał, co sercem miliony otaczał, co się pomyślnemi owocami swej pracy cieszył i rozbudzoną w bliźnich miłością rozkoszował, to wtedy śmierć nieubłagana odurza nas siłą swego majestatu, wzbudza w nas chęć uczczenia nieboszczyka, odwdzięczenia mu się za zbożną dla dobra ogółu działalność i wyciska z ócz naszych rzęsiste łzy żalu i bólu!

Nad taką to ziemską powłoką, nad zwłokami dnia 1 bm. w trumnie złożonemi, stoi w smutku pogrążony, zamyślony w przyszłość, cały uczciwy Miłosław.

Umarł śp. *Józef Stankowski*, opuścił nas starzec z młodzieńczą energią i z gorącą chęcią do pracy dla naszego dobra, skonał spokojnie, jak dopalona świeca, spracowany obywatel, któregośmy wszyscy szanowali, poważali i kochali, któremu wszyscy jesteśmy wdzięczność winni. Był to niestrudzony, ale cichy nienawidzący rozgłosu pracownik, którego tu nam nikt ani w wychowywaniu przyszłych pokoleń, ani w Banku Ludowym nie zastąpi.

Przez lat przeszło 40 był nauczycielem tutejszej katolickiej szkoły. Wpajał w dziatwę miłość Boga i bliźniego, a dopiero na jej podkładzie rozświecał jej umysł i kształcił ją w potrzebnych naukach. Za czasów nauczycielstwa śp. Stankowskiego wszystkie dzieci z nim na czele codziennie chodziły do kościoła. I modlitwa stała się dla nich potrzebą. Dzieci kochały swego mentora i starały mu się odwdzięczać, cośmy często, a zwłaszcza w dniu św. Józefa zauważyć mogli. Lecz zawiał z stolicy Prus wielce nieprzychylny dla nas wiatr. Za główne zadanie szkoły uznano niemczenie

polskiej dziatwy. Śp. Stankowski nie mogąc się wcale z wrogim polsko-katolickim ideom systemem pogodzić, zażądał emerytury i z radością mu ją przyznano.

Od tego czasu poświęcił się całkowicie i z zapałem urzędowi w Banku Ludowym.

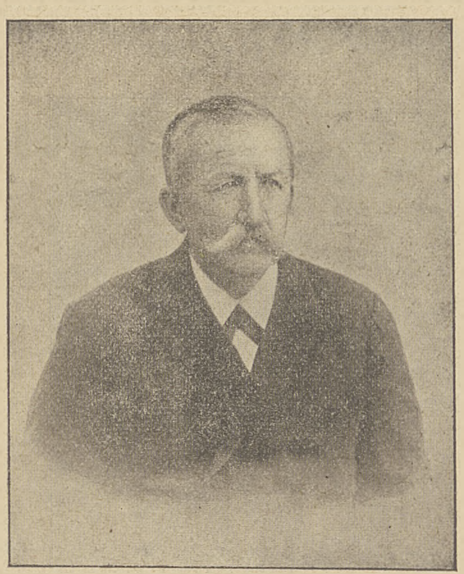
Gdy prowadzone przez niego księgi kasowe przejrzymy, to zadziwimy się ich czystością i wyrazistością. Wszelkie napisy i cyfry są piękne, jakby były litografowane. Nie znajdziemy tu żadnego przekreślenia, a tem mniej wydrapywania. Przy najściślejszych zaś rewizyach nie znaleziono żadnej omylki, a tem mniej błędu. Gdy zważymy, że wszelkie obliczenia odbywały się wobec licznej publiczności i zaraz na czysto do ksiąg wnoszone były, przed akuratnością i dokładnością pochylimy czoła. Bank nasz przed 35 laty, gdy pierwsze odbył zebranie, miał 16 talarów dochodu i nie mógł od razu pokryć kosztów. Dziś jego przychód i rozchód w milion marek wchodzi. Weksli mamy grube setki, depozytów grube tysiące, a tylko trzy razy tygodniowo Zarząd się schodzi, by prolongaty i pożyczki uchwalać, a reszta pracy wyłącznie na kasyerze polegała. Kasyer tworzył Spółkę! Ale też jego biuro było często przez całą noc oświecone. Często przez całą noc pracował. Poza biurem widziało go się tylko w kościele, gdzie się gorliwe modlił, a w czasie modlitwy często mu łzy z ócz spływały. Gdy przed rokiem był jeszcze trochę silniejszym, wyszedł czasem przed południem na godzinkę za miasto na przechadzkę, a resztę czasu nad rejestrami przepędzał i Spółka rosła i rosła. Dola ojczyzny bardzo mu też leżała na sercu. Każde prawo wyjątkowe oburzało go, każdy sprzedawczyk-kolonizator budził w nim obrzydzenie, z czem się wcale nie tail.

Był to charakter nieskazitelny, czysty jak łza i niktby go z drogi uczciwości zepchnąć nie zdołał.

I nadszedł dzień 1 marca, wnuk jego składał właśnie w gimnazyum ostrowskiem egzamin dojrzałości, a w sąsiednim pokoju łoża boleści zgromadziła się cała Rada Nadzorcza Banku, by wspólnie z ks. prałatem Koteckim odbyć zwyczajną rewizyę Spółki, gdy cicho nadleciał anioł śmierci i powołał szlachetnego człowieka przed tron Pana nad Pany. I zamknęliśmy mu oczy, by na nędzę świata nie patrzał. Z nami i dla nas pracował i umarł między nami. Dziwny zbieg okoliczności.

Ziemskie jego resztki wprowadził z domu do kościoła ks. prob. Bogdański, któremu senior i jubilat dekanatu ks. prob. Kowalski z Czeszewa i ks. prob. Durzyński z Murzynowa kościelnego asystowali. Ludu było bardzo wiele i kilka pięknych wieńców spoczywało na trumnie, nad którymi wieniec Rady Nadzorczej i Zarządu Banku dominował.

Dnia 5-go b. m. po wigiliach i mszy żałobnej, podczas której śpiewacy tutejsi pięknymi hymnami za nieboszczyka się modlili, wyprowadził ks. prob. Bogdański z ks. prob. Jasińskim z Biechowa, ks. prob. Jałoszyńskim z Sokolnik i ks. prob. Durzyńskim z Murzynowa ciało nieboszczyka na cmentarz. Nieśli je uczniowie ś. p. Stankowskiego. Wielu ubiegało się o ten



Ś. p. Józef Stankowski.

zaszczyt, bo nieboszczyk aż trzy tutejsze pokolenia wychował. Bardzo też wielu żałowało, że stenografować nie umiemy, bo mowa pogrzebowa ks. prob. Bogdańskiego była tak piękną, że ją rozpowszechnić by należało. — Posłuchawszy jeszcze wzniosłego, melodyjnego, dobrze wyćwiczonego i dobrze oddanego śpiewu Koła śpiewackiego, rzuciliśmy na trumnę po gródce ziemi z życzeniem, by śp. Józefowi Stankowskiemu była lekką, bo była ojczystą, którą on tak bardzo ukochał. Żałobnej publiczności zgromadziło się niezwykle wiele.

Cześć mężowi zasłużonemu!

Aforyzmy.

Stopień szczęścia zależy od stopnia znajomości praw natury i od opanowania jej.

Jacy oni szczęśliwi, ci wszyscy, w których tylko głód wywołuje apatyę, a jedynem cierpieniem jest zimno!... I jak łatwo ich uszczęśliwić.

Wyrok krwią pisany.

Wreszcie pokończono śledztwa...

Jeneral Gołozow w końcu grudnia r. 1838 zjechał do Wilna i wszystkich winnych przesłuchiwał...

Trubecki wyczerpał wszystkie tortury i wszystkie męczarnie powtarzać kazał po raz setny, a nikt się do winy nie przyznał.

Jednak — wyroki wydano.

Winni zostali podzieleni na trzy klasy:

Do pierwszej ci, którzy mają być wieszani.

Do drugiej ci, którzy pójdą do podziemnych robót na całe życie.

Do trzeciej ci, którym przeznaczono Sybir, sołdaty i korpus kaukazki.

Wyroki podpisał car...

Więc oto dnia 27-go lutego 1839 roku będzie rozstrzelany Szymon Konarski.

Ponieważ miał stopień kapitana, więc nie może być powieszony. Łaska wspaniała, zamiast stryczka, dwanaście kul w piersi.

Przyszedł do Wilna wyrok podpisany ręką cara... Teraz ma być pisany krwią męczennika...

Na trzy dni przedtem dali rozkaz matce Konarskiego, ażeby z Wilna wyjechała.

Błagała, prosiła, wiła się u nóg katów żebrząc o łaskę.

— Pozwólcie mi zostać... Ani najcichszy jęk z mej piersi nie wyjdzie... Ani słowa jednego nie przemówię do niego, chcę go tylko widzieć...

Lecz nie!...

Silni, potężni wykonawcy sprawiedliwości, bali się obecności nieszczęsnej matki... Musiała wyjechać...

Konarski więc pożegnał matkę listem, pisanym dzień przed śmiercią...

A Wilno nagle przerażone zostało ogłoszeniami, rozlepionemi po rogach ulic:

Dziś, o godzinie 8-mej rano, będzie karany śmiercią za zbrodnię stanu emisaryusz, Szymon Konarski. Miejsce egzekucyi na placu tracenia za Trocką bramą; ktokolwiek chce być obecnym sprawiedliwej karze zbrodniarza, może się tam udać.

Wieść smutna, żałosna, bolesna, szła jak piorun szybka...

Od drzwi do drzwi, od okna do okna, od ust do ust...

— Dziś go stracą!... Dziś wyrok spełnią!...

I kto żyw spieszył za Trocką bramę i kto mógł wybiegać z domu, stawał przy drodze wiodącej za Wilno i kto mógł dławił w sobie ból i gniew, ażeby nie rzucić się na oprawców i nie wzy-

wać pomsty Boga na siepaczy krwi chciwych....

Mróz był silny. Wicher palący męczył i dokuczał, śnieg chwilami oczy zasypywał...

Od 8-mej do 12-tej czekały tłumy... A Moskale bojąc się znać siły ludu, wywiedli Konarskiego boczną furtką, wsadzili go na sanki i otoczywszy konwojem, wieźli...

Jechali przez plac targowy. Tam obecny lud począł się cisnąć...

Odpychali i bili nahajkami Moskale.

— Rozstąpcie się, zawołał z siłą Konarski, lud chce mnie pożegnać, mój lud chce mnie obaczyć...

I rozstąpili się żandarmi, a Konarski ręką ku ludowi wiewał, jakby mu chciał przesłać ostatnie swe pozdrowienie.

Za miastem droga z obu stron otoczona była wieńcem spłakanych kobiet.

Podnosiły białe, zmarzłe łzami mokremi, chustki wysoko i wiewały męczennikowi na pożegnanie, a cichy jęk płaczu szedł przed Konarskim, jak śpiew żałobnej pieśni pogrzebu...

Konarski dźwignął się w górę. Zabrzęczały ciężkie kajdany... nie zdjęte nawet i w tej chwili, w chwili wiezienia go na śmierć.

— Płaczecie nademną? zawołał Konarski donośnym głosem... Ja już będę wolnym, ale wy jeszcze niewolę dźwigacie.

Czem dalej, tem biadania tłumów większe...

Istotnie!... tylko człowieka, który bardzo kochał Ojczyznę, mogą tak żegnać tłumy rozżalone... a żegnają go, bo wyrok nad nim napisany ręką cara...

Przybyli na wzgórze, z którego wspaniałe widoki na Wilno, na góry Ponarskie, na jary i rzekę Wiliję.

Konarski popatrzył w dal...

Cudnie mu się ten kawał ziemi ojczystej rysował w tej chwili.... W bieli śniegu i szronu w jasności dnia pogodnego... w smutku ostatniej chwili życia...

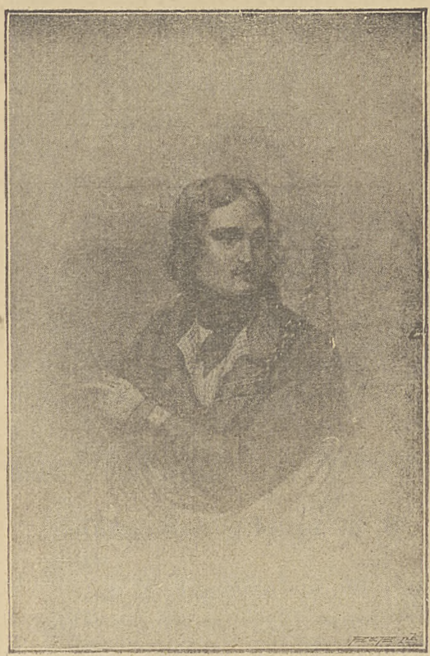
Ostatnia chwila życia!

Oto komendant miasta, oficerowie wyżsi i niżsi, wszystko zgromadzone... oto wszyscy słyszą czytany wyrok śmierci...

Wyrok ten zaczynał się od słów:

— Emisaryusz — propagandy rewolucyjnej Szymon Konarski, rodem z Królestwa Polskiego, z gub. Augustowskiej, stanu szlacheckiego, wieku lat 31, wszedł do służby wojskowej w roku 1825, szeregowym do pułku strzelców b. wojsk polskich, w roku 1827 podniesiony na stopień podoficera i t. d. i t. d. a na końcu: — Sąd wojenny, na osnowie postanowień państwa i ustawy 2-go rozdziału, 6 punktu Ust. wojsk. 127 art. ustawy morskiej 5 księgi, 85 art XV. tomu połączenia praw kryminalnych 247 i 248, ustaw 25-go lipca 1833 roku i prawideł wydanych 10-go grudnia 1838 roku o podzieleniu przestępców na rzędy — osądził — emisaryusza S. Konarskiego, jako głównego herszta, który miał na celu urządzić bunt i który pociągał innych do tak zbrodniczych działań, policzywszy go do pierwszego rzędu przestępców państwa na rozstrzelanie, kazał majątek jaki się u niego znalazł skonfiskować.

Po odczytaniu — dano papier Konarskiemu do rąk.



Szymon Konarski.

Spojrzał — spokojnie oddał mówiąc:

— Bladym car atramentem podpisał, ale jego wyrok będzie krwią pisany...

Zaczęła brzmieć straszna, okropna, muzyka śmierci przybywającej, zaczęły huczeć bębny — trąba nawoływać, rozkazy starszych przelatywały jak kruki czarne...

— Nabijaj.

— Mierz.

— Pal!...

Dwanaście karabinów uderzyło piorunami śmierci... w piersi Konarskiego pięć kul skąpało się we krwi...

Z tysiąca piersi ludu ozwał się jęk płaczu i żalu... a darmo oprawcy usiłowali wtrącić jak najprędzej ciało męczennika w wykopany grób.

Lud przerwał szeregi żołnierzy, zdjął z Konarskiego szary, więzienny płaszcz, niebieską czapeczkę z głowy... koszulę śmiertelną i wszystko to w oka mgnieniu na strzępy rozszarpano, rozdając jako pamiątkę po tym, który jak powiada Goszczyński:

On za lud umarł! cześć jego pamięci!
A lud w swem sercu wiecznie go przechowa.

Wyrok bladym atramentem pisany, został wykonany krwią...

Wilno dzień ten cały przepędziło przy grobie emisaryusza i takie tłumy szły z miasta na mogiłę Konarskiego, iż policya zatrzymywała na rogatkach, żądając, ażeby każdy własnoręcznie podpisał swe nazwisko w księdze urzędowej. Nic to jednak nie przeszkadzało.

Szły tłumy — i tłumy nazwiska sypały swe na karty księgi. Nikt nie miał trwogi przed tem co będzie — bo każdy chciał stanąć przy grobie niewinnego bohatera — którego imię po wieki przekazał potomności wyrok — krwią pisany.

Było to 27-go lutego, 1839-go roku.

Mróz ostry, śnieg i lody dokoła, a mogiła Konarskiego zielenić się poczyna, rozkwita kwiatami barwnemi.

Cóż się dzieje?

Czary czy nie czary — złudzenie to czy prawda? Oto z miasta idą kobiety i niosą w ukryciu wazonki z okien pobrane, układają do koła grobu a wyrok pisany krwią, wydaje wielkie plony miłości Ojczyzny — czci dla męczenników wolności.

A potem, a na drugi dzień... cóż się w Wilnie stało w kuźni kowala starego, iż tłumy tam spieszą i młodzi i starzy i kobiety i dziewice!

Kowal kuje i bije... łańcuch ciężki staje się coraz lżejszy — ogniw co raz mniej...

To łańcuch Konarskiego dano do roboty, niech kowal ogniwa rozbierze, niech z tych ogniw pokuje pierścionki, ciężkie, czarne, krwią męczennika skropione pierścionki, niech je Polki biorą na ręce, niech młodzieńcy niemi się wiążą w służbę dla Ojczyzny... Niech oto idzie wielki wyrok miłości ludu i wolności, wyrok przez męczeństwo Konarskiego pisany, wyrok obowiązku wytrwania dalej w pracy nad ludem.

Łańcuch Konarskiego rozprysł się w liczne obrączki żelazne i przykuwał pamięcią męczeństwa do trwania w walce...

Tak przeszła pamięć w serca naro-
Tak przeszła pamięć w serca narodu.

Jan Świerk.

(„Ojczyzna.“)

Obrazek warszawski.

Byłeś pan w kantorze X. X. po pieniądze?

— Oj, byłem! Takich spraw, jakie się teraz robi, to ja ani panu pryncypałowi, ani wrogom swoim nie życzę.

— Ciężko płacą?

— Nie tylko ciężko płacą... Zaraz wszystko opowiem. Byłem u X. X. pierwszy raz, nie wiedziałem gdzie się ruszyć... Pytam się w przedsionku szwajcara: „Gdzie to do kasy?“ A on powiada: „Do kasy?“ Zaraz ja cię kotku zaprowadzę... I czy pan pryncypał wie, jak on mnie zaprowadził? Wziął mnie za kołnierz, podniósł do góry i tak niósł... Zdaje mi się, że nawet mi z tyłu pomagał... Dotąd nie mogę usiąść... Zaniósł mnie do pokoiku, gdzie jeszcze trzech drabów, takich samych siedziało... W jednej chwili przewrócili mnie, wygnietli i zrewidowali. „Nie ma rewolwera — mówią — ani bomby. No, gadajno prawdę, pocoś przyszedł? — znów pytają. Mówiłem przecież, że do kasy... Tak, a po co? jakto po co: Po pieniądze! — Aha, Jakób, daj no mu jeszcze, niech ma pamiątkę, a później do policyi... — Wtedy dopiero domyśliłem się, o co chodzi. Wzięli mnie za anarchistę - komunistę... Wreszcie udało mi się wytłumaczyć, kto ja jestem, po co przyszedłem. Przeprosili mnie za nieporozumienie. Ładne mi nieporozumienie... wszystkie gnaty mię bolą.

— Mniejsza o to, ale pieniądze zapłacili?

— A jakże, zapłacili co do grosza.

— Dawaj pan!

— Żebym ja je miał! Pan wie, jakie to teraz czasy? Wychodzę od X. X., spotykam dwóch bardzo porządnych jegomościów. Zaczepiają mnie, czy kantor X. X. jeszcze otwarty?

— Otwarty — mówię. — Ale pewnie już nic nie wypłacają? Jakto nie wypłacają. — mówię — w tej chwili odebrałem właśnie... A oni jak nie krzykną: Dawaj pan! Zupełnie tak samo, jak teraz pan pryncypał... I zaraz jeden przykłada mi do twarzy rurę żelazną, taką zimną, że mi się aż gorąco zrobiło... Ani mru-mru! — powiada. To ja ani mru-mru. Niech ich dyabli wezmą! wzięli wszystkie pieniądze z inkasa...

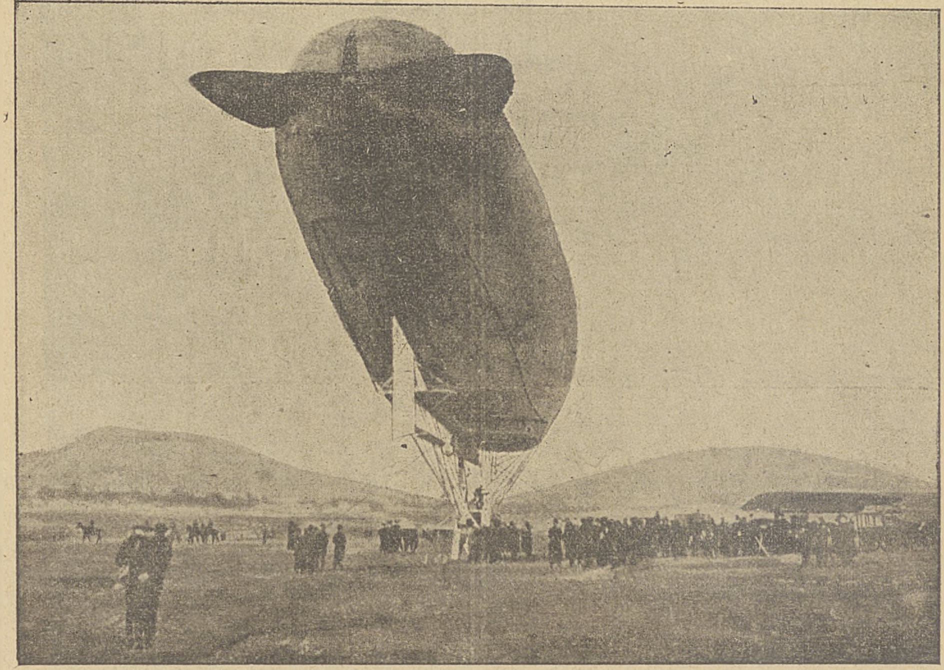
— To pan zapłacisz swoje!

— Jaki pan pryncypał gorący! Zapłacę aha! Ja właśnie chcę prosić o zaliczkę! Tu już przed samym domem, spotkali mnie znów anarchiści, tylko w gorszym gatunku. Ci zabrali mi moją własną portmonetkę i zegarek... Nie mam nawet ani na obiad.

— Co mnie pański obiad obchodzi! Idź pan do dyabła!

— Zaraz, ja jeszcze nie wszystko powiedziałem... Tamci to się bardzo gniewali, że tak mało miałem pieniędzy finansowych, oni bardzo brzydko wyrazili się o panu pryncypale... Powiedz pan temu — nie mogę powtórzyć — że my sami wkrótce do niego wpadniemy na minutkę.

— Niech pana razem z nimi wszyscy dyabli wezmą.



Balon wojenny francuski, zwany „Lebaudy“, zaopatrzony w przyrząd do kierowania.

Francuzowi Lebaudy, którego nazwisko jako wynalazcy ulepszonych balonów jest oddawna znane i słynne, udało się w ostatnim czasie wynaleźć udoskonalony balon, zaopatrzony w przyrząd do kierowania. Balon po dokonanych w Toul w obecności francuskiego ministra wojny pomyślnych próbach, uznało francuskie ministerstwo wojny oficyalnie za balon wojenny.

Na nutę ludową.

Wieczór... cicho... senne pola,
Wokoluśko mgła...
Kaś zadziała mi się dola,
Kaś zadziała mi się złota,
I ostała mi tęsknota
Żal, co w sercu łka
Ogromny,
Żal, co w sercu łka...

Hej, pobiegłbym pod twej chaty,
Pod znajomy próg,
Kędy wonne rosną kwiaty,
Czekać na cię jak bywało
Nieraz, znowuż nockę całą
Gdybym ino mógł,
Dziewczyno, ą
Gdybym ino mógł....

Poleciałbym ptaka lotem
Przypaść do twych nóg,
Choćby przyszło skonać potem,
Gdy już dola moja taka...
Hej leciałbym lotem ptaka
Gdybym ino mógł,
Moja ty!
Gdybym ino mógł...

Wieje wicher, drzewa targa,
Cicho dzwoni liść,
Jak za zmarłem szczęściem skarga...
Mgła się wlecze przez te pole,
A mnie znowuj na niedole
Trza już iść, trza iść
Dziewczyno
Trza już iść, trza iść...

Józef Trawiński.

Algeciras.

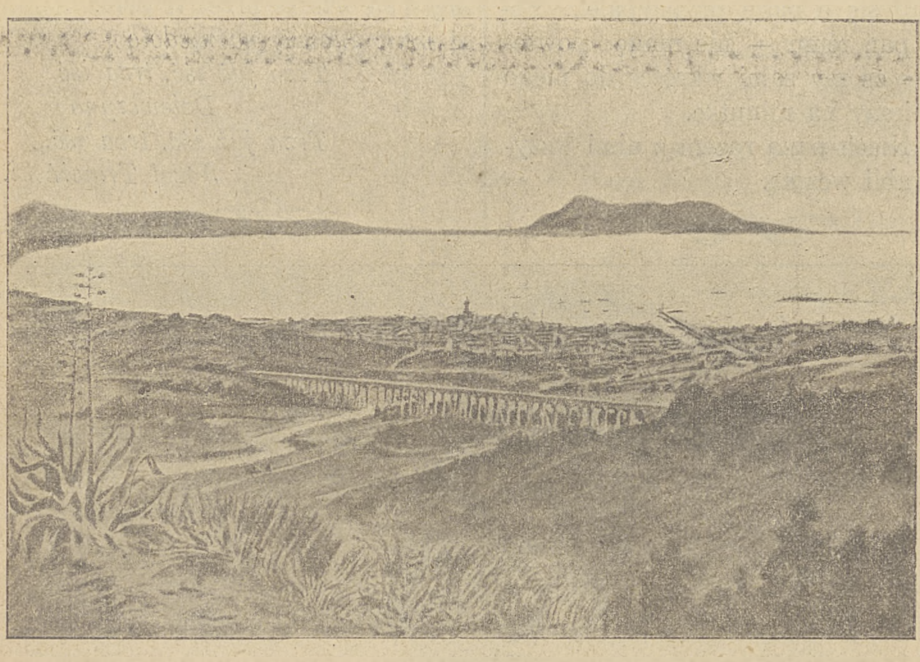
Konferencya marokańska w Algeciras interesuje obecnie w wysokim stopniu opinię świata, jako zarzewie, z którego mogą wybuchnąć nieobliczalne międzynarodowe komplikacye, a nawet wojna. To też nie od rzeczy będzie zaznajomienie naszych czytelników z tą miejscowością.

Miasto Algeciras położone jest w hiszpańskiej prowincyi Cadiz nad zatoką Gibraltaru i liczy 13 000 mieszkańców, prowadzących handel zbożem, skórami i węglami.

Algeciras jest pamiętnem w historyi. Tutaj toczyły się bitwy morskie w dniach 6-go i 12-go lipca 1801-go roku; w pierwszej bitwie zwyciężyli Francuzi Anglików, w drugiej pobili Anglicy zjednoczoną flotę francusko-hiszpańską.

Algeciras było jedną z pierwszych osad Arabów, którą z powodu położenia pośród zieloności, — a tę zaletę za-

trzymało dotychczas, — nazwali „Al Gezira". Ale oprócz nazwy nie pozostawili nic prócz resztek nędznych budowli, które próchnieją na lewym brzegu Mielu. Po prawej stronie tej leniwej rzeczki położony jest port i miasto, które w obecnej postaci na nowo założyły hiszpańskie rodziny przybyłe po



Algeciras.

roku 1704 z Gibraltaru. Od owego czasu mało tu się zmieniło. Dobudowano tylko kilka pięknych wil wyglądających nad wybrzeżem z rozległych ogrodów. Od wybrzeża wspina się miejscowość amfiteatralnie na wzgórze, dla którego byłoby pochlebstwem, gdyby się oszacowało jego wzniesienie na sto metrów. Miałoby ona miejsca dosyć do rozszerzania się i powiększania, ale zasłonięta od północy, a wystawiona na żar napływający z Afryki, starała się jak najmniejszą powierzchnią wystawiać na spiekotę i niskie swe pobielone domy mieszkalne wcisnęła we wąskie kręte uliczki.

Tu i owdzie z za muru wygląda palma lub ciemna konifera. Drzewa kiwają się jak ktoś, który usnął stojąc. Trudno też pośród tej ciszy oprzeć się senności; nadaremnie nasłuchuje się, by gdzieś z oddali usłyszeć uderzenie młota, struganie hebla lub furczenie koła. Rękodzieła nie znalazły przytułku w Algeciras.

Dopiero wieczorem, kiedy upał nieco ustąpi, większe można dostrzegać ożywienie i można zrozumieć, że miasto ma przecież 13 000 mieszkańców; nawet sądząc z rojenia się ludzi możnaby przypuścić, ze dwa razy jest ludniejszem. W trzech lub czterech kawiarniach pojawiają się trzy lub cztery światełka, a przed drzwiami kręcą się wszyscy dandysi pięknej okolicy w zbyt obcisłych spodniach i zbyt szerokich kapeluszach. Hichotają i paplą, a jeżeli zatrzymują się niekiedy w ożywionej swej gestykulacyi, to po tylko, ażeby z niezrównanym artyzmem i z namaszczeniem splunąć na ziemię. Od czasu do czasu któryś z nich rzuca słów parę w tłumy, pomiędzy które przewijają się młode kobietki z mantylą zasuniętą na biodra. Każda kroczy, jakoby świat cały do niej należał; każda za uchem ma goździk, albo kwiat granatu.

—ski.

Olbrzymy.

Nie wszyscy wiedzą, że olbrzymy są to istoty słabe i źle zbudowane. Pewien oryginał z miasta Rouen zapisał testamentem znaczną sumę w celu wyposażenia corocznie pary olbrzymów. Zamierzał on w ten sposób udoskonalić rodzaj ludzki przez dobór systematyczny ludzi niezwykłego wzrostu. Ów filantrop nie domyślał się wcale, co to jest olbrzym.

Wśród olbrzymów spotykamy przeważnie istoty niezdolne do rozmnażania i „akromegale", to jest indywidua, posiadające ogromne kończyny, oraz wybitnie zwiększoną objętość kości czaszkowych i twarzowych. Ale podobne osobniki o ile zyskują na wzroście, o tyle tracą na zaletach organicznych i intelektualnych. Uczeni współcześni odjęli olbrzymom ich starożytny i mityczny urok. Mitologia ustąpiła patologii. Jesteśmy obecnie bardzo daleko od legend i epoki, w której Hezyod opiewał Tytanów, owych synów ziemi. Niegdyś odkryto kości, które przypisano ludziom odznaczającym się podobno olbrzymim wzrostem. Według Plutarcha i Pliniusza ludzie ci mieli około czterech metrów wysokości. Nic dziwnego, skoro według niektórych podań, Adam miał dochodzić czterdziestu a Ewa trzydziestu ośmiu metrów. Później obniżono skalę. Herkules mierzył zaledwie trzy metry, Aleksander Wielki jeden metr dziewięćdziesiąt cztery centymetry. Juliusz Cezar był zupełnie mały, miał metr i sześćdziesiąt dwa centymetry. Jednakże w XV wieku wykopano w Szwecyi w jaskini Trapani lub jaskini Olbrzymów kości, które przypisywano Polifemowi; według podania, Polifem mierzył więcej, niż trzy metry. W okolicach Luzerny w roku 1577 znaleziono piszczel i czaszkę według których, mniemany ich właściciel musiał mieć około sześciu metrów! We Francyi widziano gdzieś kości olbrzyma Buscarta etc. Ale w owych czasach anatomia porównawcza nie była znana. Wszystkie owe szczątki nie należały do rodzaju ludzkiego. Najzabawniejszem jest, że otoczono je czcią i umieszczono u bram katedry. Od czasów Cuviera dopiero nie bierzemy kości zwierzęcych za ludzkie.

Badania antropologiczne wykazały przeciwnie, że dawniejsi ludzie wcale nie byli więksi od dzisiejszych. Dawni Egipcyanie byli naszego wzrostu. Ludzie mieszkający nad brzegami Sekwany zaledwie dorównali nam wzrostem. Antropologia położyła koniec legendzie. A przecież poważni badacze utrzymywali, że Patagończycy są olbrzymami. Tak nie jest, D'Orbigny mieszkający wśród nich 18 miesięcy, powiada, że wzrost ich oscyluje od 1.72 m. do 1.92 m. Są to zatem poprostu ludzie wysokiego wzrostu. Olbrzym zaś jest nie tylko człowiekiem, który wzrostem przewyższa znacznie ogół, ale prócz tego przedstawia anomalię w rośnięciu, bardzo wybitną, dzięki której jest istotą nienormalną. Olbrzymy są to potwory i ludzie chorzy, tak jak karły.

Prace panów Marie, Brissand Meige stwiedziły tę prawdę, której domyśliwano się dwadzieścia lat temu.

Przyczyną gigantyzmu jest chorobliwa wybujałość procesu rośnięcia. Tworzenie się kości przechodzi zwykłą miarę i wyradza potworność. Normalnie od procesu asymilacyi zależy, wydłużanie się szkieletu. Około roku dwudziestego chrząstki się spajają i człowiek przestaje rosnąć. Rośnięcie normalne odbywa się szczególnie w chrząstkach, a skoro te skostniały, członki przestają się wydłużać. Ale kiedy chrząstki nie kostnieją na czas i dalej funkcyonują bez zmiany, szkielet nie przestaje rosnąć. Gdyby ta funkcya nie ustawała nigdy, człowiek rosnąłby całe życie. Otóż w pewnych

razach można zauważyć, nieograniczoną młodzieńczość chrząstek. Indywiduum rośnie ciągle. Najczęściej w końcu rośnięcia wyradza się proces odkształcania, który wiedzie do zmian, znanych pod nazwą akromelagii, hypertrofii kości itp. Otóż olbrzym, który rośnie bardzo długo z powodu opóźnienia skostnienia się chrząstek, posiada wewnętrzne cechy dziecinne. Jest to dziecko starsze. Jeżeli zaś skostnienie nastąpi bardzo późno, wyradzają się deformacye, a olbrzym-dziecko zamienia się w olbrzyma akromegala. Olbrzym akromegal jest zwykle nieproporcyonalny, ręce i nogi jego mają objętość ogromną, twarz jest odrażająca, tułów osiadły. Różnica pomiędzy temi dwoma stopniami gigantyzmu jest ogromną. W roku 1895 wystawiono jednego olbrzyma akromegala na esplanadzie inwalidów. — Miał ciało ogromne, ale bezkształtne, szczękę dolną wystającą, ręce i nogi niesłychanej wielkości. Wzrost jego dochodził poprzednio do dwóch metrów i dwudziestu centymetrów, obecnie zaś ma tylko metr ośmdziesiąt sześć cent. Tors jego pod wpływem choroby rozszerzył się a zarazem skrócił.

Prawie wszyscy olbrzymi cierpią na dyabetes.

Wogóle, z małymi wyjątkami, olbrzym jest istotą o słabem ciele, miernej inteligencyi, nie odporny na chorobę. Bywa on wielkiem dzieckiem, albo istotą zwyrodniałą. *„S. P.“*

Szanujmy język ojczysty!

Germanizmy i prowincyonalizmy powszechnie w mowie polskiej używane.*)

(Ciąg dalszy.)

131. Cóż to za budynek? — To *rajtbana* hr. Ponińskiego. — Co to jest *rajtbana? — Rajtbana* to jest taka *rajtszula!* — Rajtbana — rajtszula — to ujeżdżalnia, w której tresują konie to jest wprawiają je do konnej jazdy.

132. Z tego *„klocka“* było 10 desek, a więc 9 sznytów. — Z tego odziemka było 10 desek, a więc 9 rznięć. Znacznie gruby odziemek nazywamy „kłodą.“

133. Daj mi *sznytkę* chleba! — Daj mi skibkę — skrajkę — kawałek chleba! — Mówimy „skibka“ lub „skrajka,“ jeżeli ukrajana tylko z jednej strony bochenka.

*) Za każdem złem zdaniem, zawierającem germanizm lub prowincyonalizm, zamieszczone jest dobre zdanie, oczyszczone z tych naleciałości. — Przyp. Red.

134. Dziś dostałem wielką *knagę* (z niem. Knacken) mięsa na obiad. — Dziś dostałem wielki kawał mięsa na obiad.

135. Umie *sznyclować* ładne rzeczy z drzewa. — Umie wyrzynać — wyrabiać ładne rzeczy z drzewa.

136. Całą zimę woziliśmy *szwele*



pod *ajsebanę.* — Całą zimę woziliśmy „progi“ czyli „podkłady“ pod kolej żelazną.

137. Jużeśmy naprawili na *ajzebanie sztrekę* od Orzechowa do Dębna, co ją powódź popsuła. — Jużeśmy naprawili „tór“ na kolei z Orzechowa do Dębna, który powódź popsuła.

138. Dziś *rasztakujemy.* — Cóż to znaczy? — Dziś mamy *rasztag* (od niem. Rasttag — Ruhetag), bo się *trybrad* popsuło i maszyna musi *stojeć.* — Dziś wypoczywamy — nie poszliśmy do roboty, bo koło popędowe się popsuło i machina stanęła.

139. *Verwalter.* — Rządzca — zarządzca — zawiadowca.

140. *Plenipotent.* — Pełnomocnik.

141. Wsadziłem wieprza do *kubla.* — W okolicy Rawicza nad granicą Śląska mówią: Wsadziłem wieprza do „karmika.“

142. *Koprowe* naszynia trzeba dobrze chędożyć, bo się osadza na nich *grynszpan,* który jest wielką trucizną. — Miedziane naczynia trzeba dobrz[e] czyścić, bo się osadza na nich *„śniedź,“* czyli „niedokwas miedziany,“ który jest wielką trucizną. — W latach mokrych osadza się na zbożu „śnieć.“

143. Piwo się w drodze rozgrzało i wysadziło *„szpunt.“* — Piwo się w drodze rozgrzało i wysadziło „czop“ czyli „zatykadło.“

144. Ten malarz słynie z tego, że maluje prześlicznie *„landszaftty.“* — Ten malarz słynie z tego, że maluje prześlicznie „krajobrazy.“

145. Skąd wy się znacie? — To przecież jest mój *„landsman.“* — To jest mój ziomek — rodak — sąsiad, znajomy.

146. Ten kupiec jest rzetelny *„liwerant“* — on wszystko do naszego

dworu „*liweruje.*“ — Ten kupiec jest rzetelnym „dostawcą“ — wszystkiego do naszego dworu dostarcza.

147. Lis wszedł „*luką*“ w płocie na podwórze i porwał nam kurę. — Lis wszedł „dziurą“ w płocie na podwórze i porwał nam kurę.

148. To nowa stodoła, a ściany już [illegible] „*rysy*“ — już się „*rysują.*“ (Od [illegible]

nej p[illegible] Na[illegible] szę z[illegible] śpiew[illegible] Sied[illegible] ofila[illegible] żeńst[illegible] nie w[illegible] on z [illegible]

Le[illegible] że w [illegible] który [illegible] stare [illegible] i zwy[illegible] ten błąd popełnił, przekręcając [illegible] ny mu wyraz „*obieży*“ na „*odzieży,*“ ale to już nie jest winą autora owej wzniosłej naszej pieśni o Opatrzności Boskiej. Z szacunkiem

I. Kaczmarek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nasza ofiarność.

Złożono do dnia 19-go marca włącznie:

Na urnę srebrną dla hetmana Żółkiewskiego: 1 mr.

Na Macierz Szkolną w Królestwie, p. Marczyński z Drezna 1 mrk. Razem wpłynęło 297 mrk 68 fen.

Na Tow. Pomocy Naukowej Karola Marcinkowskiego

a) dla chłopców 2 mr.

b) dla dziewcząt 10 mrk.

Na Czytelnie Ludowe 23 mr.

Na „Straż“: dotychczas złożono 11 mr.

Na stacyą kolonii wakac. „Stella“

Na „Gniazdo“-budowę sali „Sokoła“ w Poznaniu 2 mrk.

Na elementarze dla biednych dzieci 18 mrk. 50 fen. Sumę tę wręczyliśmy komu [illegible]

[illegible] 5) Książę Poniatowski na koniu. 6) Kościuszko, Washington i Jefferson. 7) Na Wawel, na Wawel! 8) Mickiewicz 9) Słowacki. 10) Henryk Sienkiewicz. 11) Chopin. 12) Matejko. 13) Moniuszko. 14) Wilija Bożego Narodzenia. 15) Wielkanoc. 16) Dyngus czyli śmigust. 17-20). Cztery karty z kolorowemi typami ludu śląskiego w narodowych strojach, każda inna. Cena pocztówki z przesyłką 15 fen., wszystkie 20 razem wzięte za 1,50 mr., za co przesyłka franko.

Pocztówki w światłodruku po 5 fen., 1) Kościuszko i Puławski w Ameryce. 2) Mickiewicz, Słowacki i Krasiński. 3) Wiejskie wesele podług Grotgera. 4) Dzieci ukraińskie podług Grotgera: 5) Polak poddaje się tylko Bogu, czyli Sowiński pod Warszawą. 6) Napoleon i Niegolewski pod Somo-Sierrą. 7) Lech, Czech i Rus. 8) Pomnik Mickiewicza w Poznaniu jak obecnie wygląda. 9) Staszyc, Marcinkowski i M. Jackowski. 10) Szczerbiec, miecz koronacyjny królów polskich. 11) Krakowianka. 12) Orzeł karpacki. 13) Bazar w Poznaniu. 14) Jan Kiliński. 15) Kopalnia soli w Wieliczce. 16) Mapka Księstwa Poznańskiego w narożnikach pomnik Mieczysława i Bolesława, katedra gnieźnieńska, wieża kruświcka i ratusz w Poznaniu. 17) Mapka Księstwa Cieszyńskiego, gdzie wypływa Wisła. 18) Washington mianuje Kościuszkę generałem. 19 Korona królowej Jadwigi. 20 Posągi Mieczysława i Bolesława w. w katedrze poznańskiej. Cena tych 20-tu pocztówek razem wziętych 75 fen. z przesyłką 80 fen.

„Tęczy“, *miesięcznika poświęconego sztuce fotograficznej, z dodatkiem „Poradnika Drogeryi „Universum“, wychodzącego w Poznaniu nakładem i pod redakcyą p. Bronisława Śniegockiego przy ulicy Rycerskiej nr. 38*, opuścił pracę numer 6-y.

Zeszyt ten tak jak poprzednie przedstawia się okazale, a pod względem redakcyjnym odznacza się doborowemi artykułami, traktującemi o dążeniach artystycznych w fotografii i zagadnieniach techniki. Treść zeszytu jest następująca: Wyrób przezroczy (diapozytywów). — Jak osięgnąć wzorowe negatywy. (Ciąg dalszy). — Wywoływanie płyt zwykłych i ortochromatycznych — Rozmaitości: Sposób do wypośrodkowania czasu naświetlania papierów bromosrebrnych. — Wzmacnianie negatywów. Dobry a tani wywoływacz żelazowy. — Dodatek: „Poradnik Drogeryi „Universum“: Jak pielęgnować płeć? (Dokończenie). — Chemia a odżywianie. — Wskazówki pszczelnicze na miesiące marzec i kwiecień. — Fosforan wapnia jako konieczny dodatek do paszy naszych zwierząt domowych. — Ogłoszenia. Dwa dodatki ilustrowane.

„Przeglądu Kupieckiego“, *organu Towarzystwa Młodzieży kupieckiej* w Poznaniu, wychodzącego 15-go każdego miesiąca, opuścił prasę numer 4-y i zawiera doborową treść artykułów ekonomicznych, handlowych i przemysłowych.

Nekrologia.

† Ś. p. *Paweł Leporowski*, dnia 5-go b. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Władysława Dressler z domu Ostrowiczowa*, dnia 6-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 71.

† Ś. p. *Józef Fonrobert*, kupiec, dnia 5-go b. m. w Lubawie, w Prusach Zach. w 74-ym roku życia.

† Ś. p. *Edmund Wardecki*, w Toruniu, dnia 8-go b. m., przeżywszy 24 lata.

† Ś. p. *Stanisława z Sawickich Poleska*, dnia 8 go b. m. w 46 ym roku życia w Poznaniu.

† Ś. p. *Paweł Kroll*, dnia 11-go b. m. w Trzaskach. Pogrzeb odbył się w Lutogniewie dnia 14-go b. m.

† Ś. p. *z Święcickich Aniela Choynacka*, dnia 12-go b. m. w Bydgoszczy.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Walne Zebranie Kółek rolniczych

rozpoczęło się dnia 13-go b. m. o godzinie 11 przed południem na wielkiej sali Lamberta w Poznaniu z udziałem przeszło tysiąca osób. Zagaił je i przewodniczył mu patron p. Józef Chłapowski z Rzegocina, który powołał na ławników pp. dra Jackowskiego, dra Brodnickiego, Jantę-Połczyńskiego, gospodarzy Walkowiaka z Ostrowitego, Królaka z Szymborza, Jerka z Barcina i księży Gierłachowskiego, Dziegieckiego i Spychałę z Roska.

Przewodniczący witał w serdecznych słowach licznie zebranych gospodarzy, obywatelstwo i duchowieństwo, poświęcił kilka słów wspomnienia zmarłemu patronowi Jackowskiemu, którego portret wywieszono na estradzie, a następnie dał krótki pogląd na dotychczasową działalność Kółek rolniczych.

Wszystkich Kółek rolniczych jest obecnie 288 i 13 025 członków. W ostatnim czasie przystąpiło tylko 14 Kółek. Miesięcznych zebrań było 2 700, powiatowych 25. Urządzono 350 lustracyi gospodarstw i liczne wystawy. Działalność Kółek wydaje jak najlepsze rezultaty. Chów bydła się podnosi, a z niem gospodarstwo mleczne. Gospodarze miewają już własne separatory. Prawie wszyscy członkowie zabezpieczeni są od ognia, od gradobicia niestety tylko połowa. Mówca podnosi znakomitą redakcyą „Poradnika Gospodarskiego“, którego każde Kółko najmniej 20 egzemplarzy mieć powinno.

Po przyjęciu porządku dziennego odczytał p. Thomas, prezes Kółka w Wirach, referat na temat: „Rzut oka na rozwój gospodarstw włościańskich w ostatnich 40 latach“. Mówca rozpoczął od założenia pierwszego Kółka w Dolsku z udziałem p. Bukowieckiego i ks. proboszcza Wiśniewskiego i wykazał stopniowo, jak z dzieciątka tego wyrósł obecny olbrzym. Prelegent porównuje Kółka rolnicze z dobrze zorganizowaną armią, podnosi zasługi jej głównych oficerów i szeregowców, a na końcu wygłasza sążnisty poemat o Kółkach rolniczych — płód własnej muzy. Odczyt nagrodzono hucznemi oklaskami.

Następny mówca, gospodarz pan Kaczmarek z Czerwonej wsi wykazał „jak trzeba gospodarować w obecnych czasach“. Referent dowodził, że ziemia jest podstawą wyżywienia rodziny. To też należy uprawiać ją umiejętnie. Dochód powinien żyć z rozchodem w zgodzie. Gospodarze powinni starać się o oświatę, którą im dają Kółka rolnicze. Należy wychowywać dzieci tak, aby trzymały ziemię w rękach, a nie handlowały nią jak towarem. — Bardzo ważną jest dla gospodarza rachunkowość, gdyż bez niej maca się o ciemku. Mówca radzi czytywać dobre gazety i pisma, wzywa obecnych, aby tylko zdatnym synom oddawali gospodarstwa, a ci bronić będą ziemi i nie staną się sprzedawczykami zasługującymi na pogardę całego społeczeństwa. — I ten wykład przyjęto głośnymi oklaskami.

Z kolei mówił p. Jan Zawidzki, syn gospodarski z Odolanowa o złych skutkach dzielenia gospodarstw pomiędzy dzieci. Referent dowodzi, że rozdrabnianie gospodarstw na równe działy między wszystkie dzieci prowadzi do upadku gospodarstw i radzi, aby tylko najzdolniejszemu z synów oddawano gospodarstwo, a inne dzieci przeznaczano zawczasu do innych zawodów, n. p. do rzemiosła lub kupiectwa. Najzdolniejszy rolnik, obejmujący gospodarstwo, powinien spłacić resztę rodzeństwa, a uniknie się niezgody i procesów. Wymiaru rodzicom przez dzieci radzi mówca udzielać tylko w gotówce.

Pan prezes dr. T. Jackowski nie ze wszystkiem podziela wywody mówcy poprzedniego i wykazuje, do jakiej granicy można gospodarstwo dzielić bez szkody. Różnica ziemi i różnica uzdolnienia powinny być miarodajnemi przy podziale. Od wychowania synów zależy, czy na małem gospodarstwie staną się panami, czy żebrakami. Spłaty są bardzo piękne, ale prawie zawsze brak na nie kapitału. Aby brakowi temu zapobiedz, poleca mówca trzy środki: oszczędność, amortyzacyę w landszafcie lub zabezpieczenie na życie, z którego gospodarze prawie wcale nie korzystają.

Na temat zabezpieczeń wywiązuje się krótka dyskusya, w której jedni polecają zabezpieczenie dzieci gospodarskich do pewnego roku życia, inni radzą korzystać z dobrowolnego zabezpieczenia państwowego na starość.

Następny mówca, pan dr. Hebanowski, rozwodzi się „o sposobach usuwania chwastów“ i poleca dwa środki: 1) za pomocą kultury, 2) za pomocą płodozmianu. Środki te mogą być pośrednie i bezpośrednie. Mówca na tej podstawie rozprowadza obszerny wykład czysto rolniczy, streszczający się w tem, że chwasty usuwać można za pomocą narzędzi (brony lub obdziabywania), za pomocą środków chemicznych (wapno gryzące, rozczyn witryolu żelaza) lub przez osuszenie roli za pomocą drenarki i przez sianie ziarna tylko czystego.

Wykład uzupełnia p. Sulerzyski uwagami o pasożytach roślinnych, polecając rozmaite środki na ich wytępienie.

Ostatni referat wygłasza pan mecenas dr. Swinarski z Inowrocławia „o sądach polubowych.“ Wyjmujemy z niego najważniejsze szczegóły. Sądy polubowe mogą załatwiać tylko sprawy cywilne. Urządzanie takich sądów nie jest wzbronione prawem, lecz przeciwnie rząd poleca, aby je urządzano jak najczęściej. Działalność sądów polubowych może być prawidłową tylko wtedy, jeżeli istnieć będą stałe sądy, a nie wybierane przy każdej potrzebie. Taki sąd stały ma już Kółko w Chojnie. Urządzeniem sądów stałych zajmie się osobna komisya. Wykazując, że sądy polubowe działają prędzej i taniej od sądów państwowych, że każdy może tam sprawy swoje załatwiać osobiście bez pośredników, wyraża mówca życzenie, aby się sądy polubowe w Kółkach pomyślnie rozwijały.

W dyskusyi nad wykładem oświadcza pan patron Chłapowski, że osobna komisya, składająca się z panów mecenasa Swinarskiego, dra Hebanowskiego i Brodnickiego, opracuje jednolite ustawy dla wszystkich sądów polubowych w Kółkach rolniczych.

Na tem wyczerpano porządek obrad. Przewodniczący streszczając krótko wykłady, które ukażą się w druku, żegna zebranych życzeniem, aby w przyszłym roku zobaczyli się wszyscy w jak najpomyślniejszych warunkach.

Po oficyalnem zamknięciu walnego zebrania jeszcze dwóch gospodarzy dosiadło pegaza i, nie ustępując p. Thomasowi, wygłosili dłuższe płody swego ducha w formie rymowej. Oba poematy kończyły się okrzykami na cześć pana patrona, który dziękował wzruszony.

DZIAŁ KOBIECY.

Obowiązki matek polskich.

Wychowanie dzieci to dziś najważniejsza dla nas troska. Kto dla siebie dzieci pozyska, ten będzie miał w ręku przyszłość społeczeństwa. Wie o tem rząd pruski i dlatego wytęża wszystkie siły, aby dziatwę naszą zniemczyć, aby zaszczepić w jej serduszkach wyłącznie miłość do Prus, a pogardę dla wszystkiego, co nasze, co polskie.

Wszystko też, co naszych spraw ojczystych dotyczy, starają się przeciwnicy i germanizatorzy z błotem mieszać, a swoją kulturę, którą całemu światu pragną narzucić i nawet do Afryki naszym kosztem zanoszą, wywyższają pod niebiosa.

A cóż my tej potędze pruskiej przeciwstawić możemy? Otóż przedewszystkiem dzielność kobiet i matek polskich, które dziatki swe bronić powinny przed zniemczeniem i zlutrzeniem. Zabraniają nam niejednego obchodu i uroczystości, któraby mogła oddziałać w duchu patryotycznym na naszą polską dziatwę, ale nigdy matce Polce zakazać nie mogą kształcenia dziecka tak jak jej się podoba, bo przed progiem naszego ogniska domowego kończy się potężny wpływ systemu pruskiego. Tutaj niech matki-Polki korzystają z rady „Orędownika'', który pisze:

Zamiast stękać i jęczeć, niech się jeno nasze kobiety Polki w stanie średnim i robotniczym zabiorą do rączej roboty. Niech nawzajem powiadamiają o wszystkiem, co się z nami dzieje; te, które tego dobrze nie pojmują, niech się pouczają. Niech się zabiorą do małych dzieci i niech opowiadają to, co dziecko rozumie, aby wiedziało, w jakich stosunkach wzrasta.

Niech to mówią swoim i nieswoim dzieciom, nie w podnieceniu i rozdraźnieniu, ale w sposób poważny, rozsądny, aby się to w duszy polskiego dziecka dobrze na przyszłe życie układało.

Niech się nasze kobiety Polki zabiorą do codziennej agitacyi żywego słowa — od kobiety do kobiety. Taką agitacyą żywego słowa mogą nawet praczki przy praniu prowadzić.

Na wszystko jest sposób!

Wiec kobiet w Berlinie.

Na wiecu, odbytym w stolicy Niemiec, w niedzielę dnia 4-go b. m., przyjęto w sprawie omijania przez Polaków kościoła N. M. Panny następującą uchwałę:

1) omijać kościół Panny Maryi, a chodzić do tych kościołów, w których odprawiają się nabożeństwa w polskim języku;

2) Płacić za czynności kościelne najniższą taksę, a niektóre żądać za darmo;

3) Ławek nie zadzierżawiać;

4) Na Msze św. nie dawać, lecz posyłać do naszych księży w kraju;

5) Do spowiedzi św. chodzić do sąsiednich kościołów;

6) Oświadczamy, że za wszystkie złe skutki czynimy odpowiedzialnemi władze kościelne;

7) Postanowienie to ma trwać dopóty, dopóki władze kościelne słusznych żądań naszych nie uwzględnią.

W sprawie powyższej odbył się dnia 16-go b. m. w Berlinie także wiec kobiet, w którym mimo niedogodnego dnia (piątku) i słoty, uczestniczyło 300 kobiet i kilkunastu mężczyzn. — Przemawiało dziewięć kobiet i sześciu mężczyzn, poczem przyjęto jednogłośnie następującą rezolucyę:

„My Polki-katoliczki, zebrane na wiecu w dniu 16-go marca 1906 roku, przyłączamy się do decyzyi wieca ogólnego; zgadzamy się powtórnie na to, aby omijać kościół N. M. Panny dopóty, dopóki nie będzie nam w nim przyznane równouprawnienie dla naszego języka. Smutno nam, że czynić to musimy, ale wolimy pomodlić się w innym kościele, w którym nabożeństwa nasze w języku polskim się odbywają, a jeżeli czas nam na to nie pozwoli, wtedy uklękniemy przed obrazem Matki Boskiej i przed Nią się pomodlimy, w skrusze wzywając Jej pomocy z przyrzeczeniem, że Kościołowi zawsze wiernemi pozostaniemy i starać się będziemy, aby śladem naszym wszystkie rodaczki i wszyscy rodacy postępowali''.

Bądź cierpliwą!

Cierpliwość, to piękna, rzadka roślina, niecierpliwość zaś, to zielsko prawdziwe, którego wykorzenić nie łatwo. I tak jest rzeczywiście. Cierpliwość jest cnotą, która nas uczy znosić spokojnie to, co naturze naszej jest przeciwnem, cierpienia, bóle, niewygody, kłopoty, jednem słowem wszystko, co nam się nie podoba i co staje w drodze naszej woli. Niecierpliwość natomiast jest oporem przeciw niepowodzeniom i cierpieniom — jest to złe, które od nich nie uwalnia, tylko, które przeciwnie, jeszcze nam je cięższemi i mniej znośnemi czyni. Cierpliwość ułatwia nam wszystkie przykrości, w jakiejkolwiekbądź postaci nas one nawiedzają, niecierpliwość pogarsza je. I czemu pomimo to tyle jest niecierpliwych, a tak mało cierpliwych ludzi na świecie? Dla tego, że chcąc się nauczyć cierpliwości, musimy się sami ćwiczyć w panowaniu nad sobą i zaparciu się własnej woli.

Kto żyje w wygodnych warunkach, komu jeden dzień upływa tak jak drugi w dostatkach i zbytkach, komu szczęście w wszystkiem sprzyja, ten zapewne tak łatwo cierpliwości nie straci. Ale kto ciężko pracować musi, kto ma kłopoty pieniężne i chorobę w domu — temu nie można się dziwić, że staje się niecierpliwym, a pomimo to zdarza się często, że ludzie żyjący wprost w niedostatku mają więcej cierpliwości, niż tacy wybrańcy losu, mają więcej pokory i pobożności i zdawają się na wolę Bożą, co najlepszym jest środkiem przeciw niecierpliwości.

Temperament odgrywa tu naturalnie także wielką rolę: ludzie spokojni, flegmatyczni mają więcej cierpliwości, niż żywi i nerwowi, czas zaś obecny, pełen życia, nerwów, dążenia naprzód, pełen wrzawy i szumu machin elektrycznych, nadaje się jak najlepiej do podniecenia niecierpliwości. Wiek nerwów wydał pokolenie nerwowe.

Ale z tem wszystkiem jest cnota cierpliwości konieczną, mianowicie dla kobiety. Kobieta powinna ją sobie zdobyć, wywalczyć i zachować na zawsze — jest to nieraz mozolna praca, ale za to też błogie przynosi owoce. Żona, matka, pani domu musi być cierpliwą, w przeciwnym razie bowiem cierpią na tem mąż, dzieci i służba. Przyznaję, że nieraz można stracić cierpliwość — mąż niezadowolony, dzieci niegrzeczne, roboty pełne ręce, a służba leniwa lub znika z domu — która z nas pozostałaby wówczas spokojną i cierpliwą? A jednak musimy panować nad sobą, musimy być dla męża uprzejme i względem dzieci sprawiedliwe, bo inaczej......

Niech sobie każda z czytelniczek reszty w duszy zaśpiewa. Dodam tylko jeszcze, że jeżeli żona w takich wypadkach nie umie panować nad swoją niecierpliwością, wtedy mruczy mąż pod nosem coś o piekle w domu i ucieka...

ROZMAITOŚCI.

Pogrzeb mankietnika. Z Warszawy donoszą: Dnia 10-go b. m. o godz. 11 rano z domu przy ulicy Elektoralnej wyprowadzono zwłoki śp. Piotra Maciejeca, b. urzędnika magistratu warszawskiego, mankietnika. Kondukt żałobny prowadziło 11 księży mankietników z ks. Kowalskim na czele. Wśród księży zauważyliśmy ks. ks. Furmanika, Wierzchlejskiego, Przyjemskiego, Czerwińskiego, Zaborskiego. Księża ubrani w komże białe, szli przed karawanem czterokonnym z odkrytemi głowami po obu stronach ulicy, śpiewając przez całą drogę pieśni żałobne. Przed konduktem szedł chłopiec z krzyżem przywiezionym z Leszna w Kongresówce. Księża ubrani byli w komże białe, prowadzący kondukt w kapą żałobną. Ubranie niezbędne do ceremonii, przywiózł z Leszna zakrystyan kaplicy mankietników w Lesznie, Paweł Skroński, który, po pogrzebie niósł walizę z rzeczami na kolej. Po obu stronach trumny szło sześć kobiet, ubranych w czarne żakiety i białe chustki na głowach. Były to panienki maryawitki, które przybyły na pogrzeb z Płocka, wysłane przez mateczkę Kozłowską, kuzynkę zmarłego. Nad grobem księża odśpiewali „Salve Regina“, pokropili ziemię wodą święconą, przywiezioną także z Leszna, a po zasypaniu trumny, włożono w nagrobek zwykłą tablicę blaszaną. Śp. Maciejec przed śmiercią nie chciał przyjąć spowiednika z kościoła św. Karola Boromeusza, a kościół na tej zasadzie nie wysłał na pogrzeb krzyża.

* * *

Brat Gapona. Kto wie czy przypadek aresztowania w Londynie pewnego pijaczyny w stanie zupełnej nieprzytomności nie wykrył tajemnicy sobowtóra Popa Gapona, dzięki któremu donoszono równocześnie z Paryża i Londynu, lub z Genewy i Berlina, o pobycie tam Gapona. Mianowicie pijaczyna ów w pierwszej chwili mógł tyle tylko powiedzieć, że nazywa się Gapon i że jest Rosyaninem, skąd powstało przypuszczenie, jakoby to był głośny agitator rosyjski, tak w ostatnich czasach przez swoje stosunki z Wittem skompromitowany. Później jednak aresztowany, kiedy się wytrzeźwił i kiedy go stawiono przed trybunał w Eastburn, oświadczył, że jest tylko bratem popa Gapona, że był jako kapitan w Porcie Artura, skąd zdołał uciec przed rokiem i że w powrocie do Rosyi „zwiedza“ Anglię, a zamierza też zwiedzić Francyę. Kapitana Gapona postanowiono wydalić jako „niepożądanego cudzoziemca“.

* * *

Spalenie dziecka przez matkę. Nędza panująca wśród robotników, pisze „Nasza Żizń“, stała się w ostatnich czasach jedną z przyczyn wypadków w rodzaju poniższego: robotnica fabryczna, włościanka, Antonia Malcowowa, mająca lat 20, a mieszkająca na Narowskim Prospekcie w Petersburgu, zostawszy matką i nie widząc, co robić z nowonarodzoną dziewczynką, przeszkadzającą w zarobkowaniu, rozpaliła ogień w piecyku żelaznym swej komórki i wrzuciła weń noworodka.

Malcowową aresztowano.

* * *

Dziwne wykopalisko. Gazety amerykańskie donoszą o następującem wykopalisku nad brzegiem Oceanu w Venice. Uczeni zadziwili się niemało wykopaliskami jakiejś przedhistorycznej rasy ludzkiej, jakie znaleziono na wybrzeżu zatoki, gdy robotnicy budowali drogę dla kolei elektrycznej. Wykopano szkielet ludzki, bardzo mały, kilka sprzętów czy narzędzi z kamienia zrobionych i kawał skamieniałego drzewa. Przedmioty te leżały w głębokości ośmiu stóp pod ziemią. Uczeni nie mogą powiedzieć na razie, z której epoki pochodzi szkielet i znalezione rzeczy. Kilka miesięcy temu wykopano w pobliżu tego samego miejsca szkielet olbrzymiego wieloryba. Szkielet ludzki ma $7^1/_2$ cala długości, 5 cali szerokości i pochodzi widocznie z bardzo dawnych, przedhistorycznych czasów. Uczeni zgadzają się co do jednego punktu, że obecnie niema na całym świecie takiej rasy ludzi. Przedmioty z kamienia wyciosane przypominają poniekąd niektóre staroindiańskie sprzęty domowe.

* * *

Reporter o swem zamordowaniu. Rzecz dzieje się naturalnie w Ameryce, w mieście Cincinati. Pewnego dnia przyjaciele reportera z gazety w Charlston, zadziwili się niemało, czytając wiadomość o jego morderstwie w Cincinati. Gdy przyjaciele czytali tę smutną wiadomość, lekarze pracowali nad ocuceniem reportera, który chciał się pozbawić życia przez zaczadzenie gazem w hotelu Palace. Gdy go znaleziono, miał chusteczkę zawiązaną naokoło szyi; po kilku godzinach odzyskał przytomność. Z początku twierdził, że został napadnięty przez złodziei, lecz gdy mu pokazano list, który napisał do jednej panny, oznajmiający jego zamiar samobójstwa, przyznał się, iż rzeczywiście miał zamiar odebrać sobie życie. Po przyznaniu się powiedział, że wymyślił historyę morderstwa, aby dać swej gazecie rozgłos i większą cyrkulacyę. Opisał całą historyę swego morderstwa szczegółowo i posłał do gazety. Później rozmyślił się i telegrafował, aby tego nie umieszczano, gdyż to był tylko figiel. Zadziwił się bardzo, gdy otrzymał telefoniczną wiadomość, że całe zdarzenie opisano w gazetach, zanim nadesłał zaprzeczenie.

Humorystyka.

Duma o „Dumie."

Wysiliwszy swą głowę
Na przepisy czasowe,
Których całe układa foljały,

Bez programu i planu
Zasnął w krześle Mąż Stanu,
Syty pracy, obiadu i chwały.

Sen z marzeniem go kuma:
Sni mu pierwsza się Duma
W Taurydzkim zebrana pałacu.

On z papierów wszedł pliką...
Zrazu jakoś mu dziko,
Ale spojrzał — i panem jest placu.

Snadź sprzyjają mu Nieba:
Posłów tylu, co trzeba,
Trzystu starych porządków czcicieli.

Mało będzie frazesów:
Ni lewicy, ni Kresów
Niema bowiem na pluszach foteli.

Projekt pierwszy wykłada
I do posłów powiada:
„Wy jesteście mą radą przyboczną.

Gdy mnie zgniewać nie chcecie,
Więc ten projekt przyjmiecie"...
A posłowie w chór krzykną: *Tak toczno!*"

„Oto projekt jest drugi,
Jasny, zwięzły, niedługi,
O co chodzi — to później się powie;

Bez głosowań, gawędy,
Podpisujcie w te pędy"...
„*Toczno tak!* —" — odpowiedzą posłowie.

„Jeszcze projekt mam cenny,
Dobroczynny, zbawienny,
Bardzo ważny, w szerokim zakresie;

Gdy mi dobrze życzycie,
Wnet on może wejść w życie"...
Głupstwo: głosy, dyskusye i zamęt!

Wzór z naszego narodu
Wezmą nacye z Zachodu,
Jak wzorowy utworzyć parlament.

Rad z was jestem, panowie,
Że wam swary nie w głowie,
I warcholstwa szał mózgów nie pęta,

Jedźcie teraz do chatek,
W uścisk żon swych i dziatek,
Bo już sesya doroczna zamknięta.

Byście mieli baczenie,
Jak patryotyzm wasz cenię
I ojczystej oddanie się sprawie,

Jako druh wasz najszczerszy,
Przy okazyi najpierwszej,
Do orderów was wszystkich przedstawię".

. . . .

Takie marzeń tasiemki
Snuł Mąż Stanu wśród drzemki,
Gładząc prze sen wspaniałą swą brodę;

I powtarzał wśród tego:
„Cóż na świecie milszego
Ponad spokój, harmonię i zgodę!"

Jest sposób.

— Kolega musisz mieć ogromną praktykę, skoro po całych dniach jeździsz wynajętym powozem!...

— Nie mam ani jednego pacyenta.

— Więc?

— A no, wynajmuję powóz i jeżdżę to się praktyka wyrobi...

Trudne pozwolenie.

— O czem tak zamyśliłeś się?

— Widzisz... chciałbym się żenić z panną Maryą, i nie wiem, czy dostanę pozwolenie.

— Od jej rodziców?

— Nie, od moich... wierzycieli.

Jaki zawód?

— Twój syn już dorasta, jakiej więc karyerze myślisz go poświęcić, może na doktora?

— On na doktora?... Mój kochany, on ma takie serce, że nie mógłby nawet muchy zabić!

Dawniej a dziś.

Była praczką,
Brudy prała,
I nad balją
Stała zgięta;
Teraz sekta
Głosi cała:
To „mateczka"
Nasza święta!
Więc satyry
Jadem bryznę:
Jej nie obce
Dawne trudy,
Brudną prała
Wciąż bieliznę,
Dziś w kościele
Czyni brudy!

Także racya.

— Ja sam jestem za mankietnikami.

— Czy pan podziela ich wierzenia religijne?

— E, nie, ale oni mają się żenić, a ja mam sześć córek na wydaniu.

Ze scen małżeńskich.

Zona: Jesteś skąpcem nieznośnym!... Ale będzie cię to drogo kosztowało. Ze zmartwienia, że mi nie chcesz kupić nowego okrycia, rozchoruję się i umrę. Na pogrzeb wydasz więcej, niż na okrycie!

Mąż: Tak, to prawda. Ale zważ moja droga, że to będzie wydatek jednorazowy.

Rumianek.

Nie znałem nigdy piękniejszej
Od mej kochanki.
Wplatała sobie we włosy
Rzymskie rumianki.

I kwiaty w kruczych jej splotach
Lśniły z białości
I były jakby symbolem
Jej niewinności.

Często do siebie mnie przyzywała
Głosem metalu,
A jam namiętnie cudnie całował
Usta z koralu.

I choć się niby za pocałunki
Trochę gniewała,
Jednak mi zawsze w zamian pieszczoty
Rumianek dała.

Miłością dla niej bez granic
Ja tylko żyłem,
Aż w końcu drogą istotę
Mą poślubiłem.

I lata naszego pożycia
Przeszły bez wieści,
Gdyż żyjem ze sobą przeszło
Lat już czterdzieści.

Dzisiaj chorobą złamany
Ja leżę w **łóżku,**
Ona mi daje rumianek,
Ale w garnuszku.